



Z tego szpitala
nie każdy
wyjdzie żywy

PASOŻYT

Alicja Horn

Alicja Horn

PASOŻYT



Copyright © by Alicja Horn, 2022
Copyright © for this edition by Faros Wydawnictwo

Warszawa 2022

All rights reserved

Redakcja: Beata Wójcik
Korekta: Anna Kubik
Projekt graficzny okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Faros Wydawnictwo
wydawca@farosproza.pl
tel:691962519
www.farosproza.pl

Wydanie I
Warszawa 2022

ISBN 978-83-964687-0-3

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

ROZDZIAŁ 1

Daniel Schulz próbował się obudzić, ale midazolam sprawiał, że powieki niezwykle mu ciążyły. Słyszał, jak drzwi izolatki otworzyły się i do sali wszedł ktoś obcy. Daniel nie rozpoznał ani kroków, ani zapachu intruza, choć na punkcie zapachów miał prawdziwą obsesję. Kroki ucichły, tak jakby wchodzący przystanął nieruchomo lub rozplynął się w powietrzu. To drugie było możliwe, zważywszy na miejsce, w którym Schulz właśnie się znajdował – Warszawski Szpital Kliniczny im. Wandy Błęńskiej miał opinię jednego z najbardziej nawiedzonych miejsc w mieście. Mówiono, że duchy Polaków rozstrzelanych tu podczas wojny przez Niemców nadal błąkają się po labiryncie korytarzy. Ale Schulz nie bał się umarłych. Miał z nimi sporo do czynienia i wiedział, że nie mogą mu nic zrobić. Tym bardziej nie obawiał się żywych, wprost przeciwnie – to jego się obawiano i nie bez powodu przykuto do łóżka, na którym właśnie leżał. Zresztą słuch mógł go oszukać, ale węch nigdy. Zapach osoby, która weszła do sali, drażnił jego nozdrza, wyraźnie sugerując, że jest ona z krwi i kości, w dodatku nadal obecna gdzieś w pobliżu. Był przyjemnie podniecający, wskazywał na kobiety i Schulz poczuł zbliżającą się erekcję.

– Panie Schulz, przyszedłam sprawdzić, czy wszystko u pana w porządku.

Jej zimny głos wyrwał go z półsnu, dzięki czemu mógł wreszcie otworzyć oczy. Zobaczył nad sobą szczupłą kobietę o blond włosach i niebieskich oczach. Była piękna. Jej biały fartuch i zawieszony na szyi stetoskop wskazywały na to, że jest lekarzem. Nie widział jej wcześniej, choć na oddziale leżał już trzy dni. Patrzyła na niego z wyraźnym obrzydzeniem, co tylko spotęgowało erekcję, ale nie czuł z tego powodu żadnego skrępowania. Wprost przeciwnie. Z przyjemnością chłonał jej zapach, żałując, że nie może zrobić nic więcej.

– Tak, wszystko dobrze. Zważywszy na okoliczności. – Szarpnął ręką przypiętą pasami do poręczy łóżka. – Mam tylko jedną prośbę. Czuję, jak od tego leżenia znowu zatyka mi się nos. Czy mógłbym prosić o pomoc z tym. – Wskazał ruchem głowy na stojący obok niewielki pojemnik z Etometazonem. O tej porze roku miał silne objawy alergiczne, a przymusowa pozycja horyzontalna sprawiała, że miewał trudności z oddychaniem, dlatego regularnie przyjmował sterydy. Teraz skłamał, nie miał żadnych dolegliwości, ale bardzo pragnął powąchać ją z bliska.

– Oczywiście, nie ma problemu – odpowiedziała bez emocji. Podeszła do szafki stojącej przy łóżku i wzięła do ręki opakowanie z zawiesiną. – Proszę wykonać głęboki wdech – dodała, sprawnie rozpylając aerozol.

Docenił jej profesjonalizm. Pozostałe kobiety, lekarki i pielęgniarki, które spotkał w szpitalu, albo bez słowa wymykały się z przestrachem, albo raczyły go przekleństwami. Ta tutaj z całą pewnością również nie była zachwycona przydzielonym jej obowiązkiem, ale przynajmniej starała się tego nie okazywać. Zdradzało ją jedynie spojrzenie.

Kiedy pożegnała się z nim i wyszła z sali, Schulz poczuł żal, że nie została dłużej. Jej zapach ulatniał się, stawał się coraz mniej wyczuwalny. Pragnąc na dłużej zatrzymać go w pamięci, Daniel wykonał głęboki wdech. Postanowił, że jeśli uda mu się uciec, a taki miał plan od początku, symulując objawy, z powodu których go tu

przywieziono, odnajdzie tę lekarkę. To nie powinno być trudne. Poczekaj przed szpitalem, będzie ją śledził i dowie się, gdzie mieszka. A potem zrobi to co zwykle. Nawet jeśli zwiększą mu wyrok, nie będzie to miało znaczenia. Dla takiej kobiety warto ryzykować!

Coś zapiekło go wewnątrz nosa i Schulz potarł go o prawe ramię. Pieczenie ustąpiło. Daniel zupełnie się nim nie przejął, w końcu, jak sądził, była to błahostka.

Nie mógł mylić się bardziej. Dokładnie w tej chwili stworzenie wielkości zaledwie dziesięciu mikrometrów przenikało przez nabłonek węchowy jego jamy nosowej, kierując się w stronę mózgu. Droga, którą miało do pokonania, wydawała się nieskończenie długa, biorąc pod uwagę wielkość mikroorganizmu. Jednak ta mała, bezkształtna masa, która docierała powoli w okolice kości sitowej, była w istocie potężna. W ciągu doby miała rozpocząć wytwarzanie enzymów, rozpuszczających osłonki mielinowe neuronów Schulza, zamieniając jego mózg w papkę.

Naturalnie, Daniel Schulz tego nie wiedział. W tej chwili myślał wyłącznie o lekarce, którą przed chwilą spotkał, i o tym, co jej zrobi, kiedy uda mu się wydostać z tego przekłętą szpitala. Zapamiętał nazwisko, które zauważył na identyfikatorze przypiętym do jej fartucha – Marta Wolska. Pragnął ją dopaść.

Tyle że Daniel Schulz miał już nigdy żywy nie opuścić murów Warszawskiego Szpitala Klinicznego. Choć czuł się zdrowy, jego los został właśnie przypieczętowany. Za dziesięć dni zostanie znaleziony martwy na łóżku oddziału intensywnej opieki medycznej szpitala, w którym leżał. Przyczyna choroby zostanie ustalona tuż przed jego śmiercią, a artykuł naukowy, w którym opisany zostanie przypadek Daniela Schulza, będzie szeroko komentowany przez wszystkich specjalistów chorób zakaźnych w Polsce. I nic dziwnego, skoro znajdzie się w nim opis pierwszego w kraju przypadku negleriozy – zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych wywołanego przez amebę pożerającą mózg.

* * *

Marta Wolska skończyła dyżur i właśnie wracała do domu. Na placu Zbawiciela doszło do niewielkiej stłuczki i teraz dwóch kierowców żywo ze sobą dyskutowało, tarasując tory tramwajowe. To z kolei wyraźnie nie podobało się motorniczemu, który za pomocą ciągłego sygnału dzwonka próbował zmusić ich do zjechania na bok. Na placu panował taki harmider, że ludzie siedzący w ogródkach restauracyjnych zatykali uszy dłońmi. Marta szybko oceniła, w jakim stanie są obaj uczestnicy wypadku, a kiedy było jasne, że nic im nie jest, obojętnie ruszyła dalej. Była wykończona po ciężkim dniu, a właściwie tygodniu pracy, i jak najszybciej chciała znaleźć się w domu.

Z ulgą przekroczyła próg mieszkania. Pomimo upału wewnątrz panował przyjemny chłód. Zrzuciła z siebie na wpuł służbowe ubranie, wzięła szybki prysznic i włożyła krótką, luźną tunikę. Potem odgrzała resztki wczorajszego obiadu i włączyła telewizor. Trafiała na serwis informacyjny i – jak można się było spodziewać – doniesienia o Danielu Schulzu. Nie miała ochoty słuchać tego przy jedzeniu, więc zmieniła kanał na coś przyjemniejszego. Tym czymś był program o metamorfozach wnętrza. Okazał się strzałem w dziesiątkę. Jej mieszkanie, poza kuchnią, wymagało remontu, a ona nie miała żadnego pomysłu, jak go przeprowadzić. W trakcie oglądania nie mogła się jednak powstrzymać, by nie wracać myślami do Schulza.

Po raz pierwszy dowiedziała się o nim miesiąc temu. Jego aresztowanie odtrąbiono jako wielki sukces policji, choć nie udawało się go złapać przez co najmniej trzy lata. W tym czasie zdążył brutalnie zgwałcić czternaście kobiet. Dwie z nich zmarły. Trzy dni temu usłyszała o nim po raz kolejny, tym razem od komisarza Michała Łazowskiego. Powiedział jej, że Schulz jest chory, a lekarze więzienni nie potrafią stwierdzić, co mu dolega. Miewał bóle głowy i nawracającą gorączkę, dlatego postanowiono przewieźć go na oddział zakaźny „Błęńskiej” (jak w skrócie nazywano szpital, w którym pracowała Marta), aby wykonać pogłębianą diagnostykę.

Marta zrozumiała, w jakim celu Michał przekazał jej tę wiadomość. Nie musiał dodawać niczego więcej. Spotykała się z nim od kilku miesięcy. A od czasu, kiedy pomógł ukryć ciało seryjnego mordercy, który porwał Martę i usiłował ją zabić, byli praktycznie nierozłączni. To znaczy nierozłączni wtedy, gdy akurat nie pracowali. Bo praca wypełniała im obojgu znaczną część życia. Większą, niżby tego chcieli.

Oboje byli częścią tajnego układu, który miał na celu eliminację niebezpiecznych przestępców. Takich, z którymi nie potrafił poradzić sobie wymiar sprawiedliwości – morderców, pedofilów, gwałcicieli. Takich jak Daniel Schulz.

Ludzi, którzy byli w ten układ zaangażowani, Marta nazywała Wyleczonymi, choć Michał tego nie lubił. Tłumaczył, że nie tworzą formalnej organizacji i nie powinni mieć nazwy. To grupa zwykłych, uczciwych osób, wyleczonych ze złudzeń co do tego, że opieszale sądy będą w stanie im pomóc. Dlatego postanowili wymierzać sprawiedliwość na własną rękę, a Michał pomagał w tym, koordynując ich działania. Poszczególni członkowie nie wiedzieli o swoim istnieniu, a wyroki śmierci na przestępcach wykonywane były w taki sposób, by stwarzać pozory naturalnych zgonów.

Marta dobrze pamiętała dzień, w którym dowiedziała się o istnieniu Wyleczonych. Pamiętała również słowa Michała:

– Wielu z tych przestępców miało już procesy i siedziało w więzieniach, ale zostało wypuszczonych. Na przykład za dobre sprawowanie. Wychodzą i są jeszcze gorsi. Więzienie ich degeneruje. Uczy nowych technik, dostarcza współników i daje większe możliwości. Niektórych po prostu nie da się zresocjalizować. Urodzili się, by szkodzić. To zwyrodnialcy i sadyści. W imię czego mamy to tolerować? Patrząc na cierpienie rodziców, którzy tracą przez nich dzieci? Na krzywdę dzieci pozbawionych rodziców? Włóż jedno zgniłe jabłko do skrzynki, a za chwilę pogniją i inne. Dlatego szukamy tych zgniłych jabłek i pozbywamy się ich, zanim zaszkodzą reszcie. Znajdziesz wśród nas ludzi w każdym wieku i różnych zawodów. Większość nie uczestniczy aktywnie w tropieniu przestępców. Tym zajmujemy się my, policjanci. Kiedy znajdziemy kogoś takiego, szkodnika, uruchamiamy naszą sieć. Pamiętaj, że przestępcy również muszą jakoś funkcjonować – kupują jedzenie, naprawiają samochody, leczą się...

Schulz był takim właśnie przypadkiem. Jego ujęcie było dla policji wyjątkowo skomplikowanym zadaniem. Ale o wiele większym wyzwaniem okazało się udowodnienie mu winy. Nagrania z telefonu Schulza zostały odrzucone przez sąd jako pozyskane w nielegalny sposób. Pozostałe dowody, w ocenie adwokata, również miały istotne wady i czekały w kolejce do uznania za „niedopuszczalne”. Sprawa, która wydawała się oczywista, z niejasnych powodów zaczęła się komplikować.

Na dodatek Daniel Schulz posiadał legitymację osoby niepełnosprawnej, dzięki której otrzymał w więzieniu szczególne przywileje – pojedynczą celę, specjalnie przygotowane posiłki oraz regularne zajęcia z fizjoterapeutą. Jego niepełnosprawność

miała złożoną historię. Piętnaście lat wcześniej próbował udusić swoją ówczesną konkubinę. Ta, w obronie własnej, posłużyła się jedynym przedmiotem, jakiego mogła dosięgnąć, leżąc na kuchennym stole i desperacko łykając powietrze. Był to długopis. Wbiła go Schulzowi głęboko w przewód słuchowy, przebijając błonę bębenkową i uszkadzając kosteczki słuchowe, w konsekwencji pozbawiając Schulza słuchu w lewym uchu. W ten sposób Schulz zyskał status osoby niepełnosprawnej słuchowo.

Schulz w przeszłości trafiał za kraty wielokrotnie, ale najczęściej powodem były drobne kradzieże i rozboje, więc odsiadki nie trwały zbyt długo. Jednak szybko dostrzegł, że bycie osobą niepełnosprawną w więzieniu ma ogromne zalety. Załował jedynie, że nie ma orzeczonej niepełnosprawności ruchowej, która wiązałaby się ze znacznie większymi możliwościami. Zainspirowany opowieściami współwięźniów, wśród których samookaleczenia były na porządku dziennym, odrąbał sobie kciuk lewej dłoni. Udało mu się przekonać komisję orzeczniczą, że jest osobą leworęczną, dzięki czemu otrzymał dodatkowy, upragniony symbol przyczyny niepełnosprawności: R – upośledzenie narządu ruchu.

Tuż po aresztowaniu, jako oskarżony o gwałty i zabójstwa, napisał długi list do Rzecznika Praw Obywatelskich. Skarżył się w nim na łamanie praw osób niepełnosprawnych przez funkcjonariuszy więzienia, w którym właśnie przebywał. Rzecznik, którego głównym zajęciem było tworzenie raportów w rodzaju „Weryfikacja traktowania więźniów z niepełnosprawnością fizyczną i sensoryczną”, zwołał konferencję prasową, podczas której kategorycznie potępił działania straży więziennej.

Wkrótce potem Schulz otrzymał nową celę, znacznie większą od poprzedniej, z porządnym sygnałem wi-fi. W końcu zarzut wykluczenia cyfrowego wobec osoby niepełnosprawnej to było ostatnie, czego życzyłby sobie naczelnik więzienia. Zatrudniono również fizjoterapeutę, specjalnie na potrzeby Schulza, a kucharz więzienny otrzymał listę dań, które Schulz mógł i chciał jeść jako osoba niepełnosprawna „na specjalnej diecie”, co stworzyło konieczność przygotowywania odrębnego menu i zwiększenia składu personelu kuchennego o jedną osobę.

Tego wszystkiego Marta dowiedziała się od Michała. Były to informacje, które media trzymają z daleka od zwykłych ludzi. I być może słusznie, bo Marta wcale nie poczuła się szczęśliwsza, posiadając taką wiedzę. Na dodatek miała świadomość tego, że Michał nie powiedział jej tych wszystkich rzeczy bez powodu. Schulz miał trafić na jej oddział, a Michał oczekiwał, że Marta zachowa się jak przystało na Wyleconą, którą została kilka miesięcy temu, kiedy udało jej się zabić swojego porywacza – seryjnego mordercę o przydomku Bestia z Mokotowa.

Gdy usłyszała o Schulzu, zgodziła się pomóc Michałowi, choć pod pewnym warunkiem. W zamian zażądała dokumentów ze śledztwa w sprawie śmierci rodziców, zamordowanych, kiedy Marta była jeszcze dzieckiem. Jako przypadkowy świadek zabójstwa widziała napastników, ale pomimo tego nie zostali oni nigdy ani odnalezieni, ani ukarani. Poza jednym, którego po latach Marta przypadkowo spotkała w szpitalu. I na którym zemściła się, pozbawiając go życia przy użyciu wiedzy i umiejętności, jakie posiadała.

Michał pewnie pomógłby uzyskać dostęp do akt sprawy morderstwa rodziców także i bez jej zaangażowania w sprawę Schulza. Jednak uważała, że Wyleczeni postępują słusznie i nie miała nic przeciwko temu, by być jedną z nich. Oczywiście tak długo, jak nie zagrażało to jej własnemu bezpieczeństwu. A zagadkę śmierci rodziców chciała

rozwiązać sama, bez pomocy Michała. Grzebanie w rodzinnych tajemnicach mogło okazać się zbyt bolesne, by dzielić się tym z kimkolwiek, nawet z nim. Poza tym dokonanie zemsty było prawem i obowiązkiem tylko jej, nikogo innego. Dlatego dotąd nie poprosiła Łazowskiego o żadną przysługę w związku z dawną tragedią. Tylko że od dnia zgonu jednego z morderców rodziców mijały miesiące, a ona nadal nie wiedziała, jak dotrzeć do pozostałych. W dokumentach ze śledztwa mogła znaleźć coś, co by jej w tym pomogło.

Tuż po przyjęciu Schulza na oddział zakaźny Marta pożyczyła od Michała samochód i pojechała nad Jezioro Gosławskie w okolicy Konina. Jest ono podgrzewane przez pobliską elektrownię, dlatego nawet w zimie jego temperatura nie spada poniżej siedmiu stopni Celsjusza. Wiedziała o tym, ponieważ kilka lat wcześniej prowadziła prace badawcze nad obecnością w jeziorze pierwotniaków potencjalnie niebezpiecznych dla ludzi.

Wyniki badań, które wówczas otrzymała, nie były optymistyczne. Wody Jeziora Gosławskiego, a także czterech sąsiednich jezior podgrzewanych przez elektrownię, były siedliskiem wyjątkowo groźnego pasożyta o nazwie *Naegleria fowleri*, znanego lepiej jako ameba pożerająca mózg. Aby dostać się do mózgu, ameba musi zostać wciągnięta przez nos razem z wodą, w której żyje. Dochodzi do tego zwykle przypadkowo, podczas pływania lub zabawy w wodzie. Zakażenie tym pasożytem kończy się najczęściej śmiercią – nie istnieją skuteczne leki, które mogłyby sobie z nim poradzić. Na szczęście przypadki zakażeń *Naeglerią* są niezwykle rzadkie. W Stanach Zjednoczonych, w których prowadzi się diagnostykę takich zakażeń, zdarza się to zaledwie kilka razy w roku. W Polsce nie zdarzyło się to jeszcze nigdy. Tyle że w Polsce nikt nie bada płynu mózgowo-rdzeniowego w kierunku zakażeń amebą. Objawy przypominają zapalenie mózgu wywołane przez bakterie lub wirusy i z taką diagnozą pacjent umiera, nie uzyskując poprawy po antybiotykach. „Nie ma diagnostyki, nie ma problemu” – jak często mawiał Tomasz Czechowski, ordynator Kliniki Chorób Zakaźnych w „Błęńskiej”, a jednocześnie szef Marty.

Kiedy kilka dni temu ponownie dotarła nad Jezioro Gosławskie, spędziła tam zaledwie godzinę. Tyle wystarczyło, by pobrać próbki z wód powierzchniowych. Miała nadzieję, że wykryje w nich to, po co przyjechała. Nie myliła się. Znalazła, i to w każdej z próbek. Jako pracownik naukowy miała dostęp do szpitalnego laboratorium, więc po powrocie do Warszawy bez problemu i bez świadków zagęściła pierwotniaki w płynie, który następnie przelała do buteleczki po Etometazonie. Od Michała dowiedziała się, że Schulz regularnie zażywa sterydy donosowe i pomyślała, że jej badania nareszcie się do czegoś przydadzą – artykuł o *Naeglerii* w jeziorach konińskich, napisany przez nią przed kilkoma laty, nie zrobił na nikim wrażenia.

Podarła mu fałszywy lek w trakcie dyżuru, podczas obchodu, podmieniając opakowanie, które stało przy jego łóżku. Schulz zainhalował *Naeglerię*, niczego nie podejrzewając. Marta miała nadzieję, że któraś z tych małych stworzonek rzeczywiście dotrze tam, gdzie bardzo chciała, by dotarło. Bo nie miała planu B.

Ziewnęła i przeciągnęła się jak kot. Znudził ją program o metamorfozach wnętrza, choć kanapa, którą projektant wstawił do salonu pary nowożeńców, była urocza. Zapisała nazwę producenta, postanawiając, że sprawdzi cenę w Internecie. Wstała ze swojej własnej kanapy, tak wytartej i wyblakłej, że nie mogła już na nią patrzeć, i poszła do Parapetu Chwały, jak nazywała miejsce, gdzie trzymała ulubione rośliny. Miała prawdziwego hople na punkcie kwiatów doniczkowych i wciąż kupowała nowe.

Jej siostra, Kamila, przepowiadała, że mieszkanie zostanie wkrótce wchłonięte przez rośliny, jak słynny kambodżański zespół świątynny Angkor Wat, i któregoś dnia Marta z siekierą będzie musiała przedzierać się przez liany w drodze do kuchni, by zaparzyć herbatę. Ale Kamila się nie znała. Nie rozumiała, jak to jest, gdy dzięki determinacji i odżywkom (które czasami pochłaniały zbyt dużą część pensji, to akurat musiała siostrze przyznać) można sprawić, by niewielka maranta, której nikt nie dawał większych szans, przemieniła się w królową salonu. Maranta była piękna, podobnie jak rosnące obok kroton i aglaonema. Marta mogłaby patrzeć na nie wszystkie godzinami.

I patrzyłaby, w końcu nic nie relaksowało jej bardziej, zwłaszcza po dyżurze, niż buszowanie w liściach ulubionej monstery w poszukiwaniu nowych dziur, gdyby nie dźwięk domofonu. Michał przyszedł wcześniej, niż zapowiadał.

Kiedy przekroczył próg jej mieszkania, wyglądał zupełnie jak wtedy, gdy zrobił to po raz pierwszy – wysoki, ciemnowłosy, z szelmowskim błyskiem w zielonych oczach.

Dobrze, że miała na sobie jedynie tunikę. W drodze do sypialni mogła poświęcić się wyłącznie rozbieraniu Michała.

– Jak poszło w pracy? – spytał, kiedy leżeli wtuleni w siebie, popijając lodowatą lemoniadę, której zapasy Marta przezornie przygotowała wcześniej. Wiedziała, do czego zmierzał.

– W porządku. Zgodnie z planem. Teraz pozostaje tylko czekać. Zobaczymy, czy się uda.

– Lepiej, żeby się udało. Jeśli dojdzie do procesu, zostanie skazany tylko za gwalty. Dwa morderstwa ujdą mu najpewniej płazem. Prokurator mi dzisiaj powiedział.

– Przecież w jego domu znaleźliście przedmioty należące do zamordowanych kobiet?

– Dla sądu może się to okazać za mało.

– To skąd niby miałby je wziąć, jeśli nie zabił tych kobiet?

– Schulz twierdzi, że je znalazł. Przechodził niedaleko miejsc, gdzie leżały zwłoki, i tam właśnie natknął się na te przedmioty.

– Przecież to tłumaczenie urąga logice i... i w ogóle zdrowemu rozsądkowi. Niemożliwe, by sędzia w to uwierzył.

– To poczytaj o seryjnym gwałcicielu prostytutek z Częstochowy. Jedną z nich zabił. Przy nim również znaleziono rzeczy należące do zamordowanej kobiety, ale sąd uznał, że to żaden dowód.

Marta przygryzła usta. Jej siostra, Kamila, która była prawnikiem, też opowiadała takie historie, jeszcze z czasów, gdy pracowała w zawodzie. Teraz zajmowała się swoją córką, Weroniką, i z roku na rok odwlekała powrót do pracy i starych obowiązków. Marta się nie dziwiła. Sama niejednokrotnie miewała dni, kiedy chciała rzucić swoją pracę w cholerę.

– Nie rozmawiajmy już o tym. Nie ma sensu marnować czasu na takie dyskusje. – Odgarnęła kosmyk włosów z twarzy Michała. – Coś wymyślę, jeśli się nie uda.

– Wiem, jesteś moim ekspertem od zadań specjalnych. – Michał był mistrzem odwzajemniania czułości. Dotyk jego palców był jednak zdecydowanie lepszy niż nowa aglaonema „Crete Flame”.

Marta przytknęła oczy i momentalnie zapomniała o Schulzu, problemach w pracy i starej kanapie.

ROZDZIAŁ 2

Poranna droga do pracy zajęła jej mniej czasu niż zwykle. Tak się działo zawsze, gdy wyruszała z domu znacznie wcześniej, niż musiała. Gdyby wyszła w ostatniej chwili, na pewno nie obyłoby się bez przygód.

Przy drzwiach prowadzących na oddział zamknięty zobaczyła policjanta. Wiedziała, że drugi pilnuje wejścia do sali, w której przebywał Schulz. Nie myślała o nim od wczoraj, ale widok munduru sprawił, że na nowo zaczęła się zastanawiać, czy jej plan ma szansę na powodzenie.

Punktualnie o dziewiątej trzydzieści zaczęła się odprawa, w trakcie której zazwyczaj omawiano trudne przypadki pacjentów hospitalizowanych na oddziale. Dziś tematem numer jeden był Schulz.

– W nocy próbował uciec. Nasze okna nie mają krat, więc zamierzał spuścić się w dół po sznurze, który upłótł z pościeli. W ostatniej chwili zauważył go ktoś z zewnątrz i dał znać ochronie szpitala, a ta powiadomiła policjantów – relacjonował dyżurny.

– Przecież miał być skutny kajdankami – zdziwił się doktor Hołowacz.

– Był, przez pewien czas. Ale nasza szpitalna rzeczniczka praw pacjenta uznała, że kajdanki na oddziale naruszają te prawa. Nie mogliśmy go też trzymać cały czas w pasach, bo przecież nie jest ubezwłasnowolniony. Poza tym musielibyśmy wówczas co piętnaście minut sprawdzać jego parametry życiowe. Nie mamy na to wystarczającej liczby pracowników. Musielibyśmy przydzielić dyżur dodatkowej pielęgniarki i jeszcze jednemu lekarzowi – odpowiedział ordynator Czechowski, zwany przez lekarzy Starym.

– To morderca i gwałcieł kobiet, a na naszym oddziale pracują głównie kobiety. Co z ich prawami? – zirytowała się doktor Zawada.

– Łapie pielęgniarki za piersi, ale poza tym jest niegroźny – odpowiedział Czechowski.

– Nie wierzę w to, co słyszę. Pan tego nie powiedział!

Czechowski wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno. To nie on musiał wchodzić do sali Schulza i nie on był przez niego obmacywany.

– Leży u nas już czwartą dobę. Ani razu nie zagorączkował, choć z tego powodu tu trafił. Wykonaliśmy mu wszystkie badania, łącznie z tomografią komputerową brzucha, bo w USG wyszedł mu jakiś podejrzany naczyniak wątroby. I nic. Wszystko w najlepszym porządku. Wygląda na to, że symulował, być może właśnie po to, by spróbować ucieczki. Dlaczego w takim razie go nie wypiszemy? – drażył temat Hołowacz.

– Obiecałem naczelnikowi więzienia, że przebadamy Schulza wszerek i wzdłuż. Żeby wykluczyć wszystkie ewentualne choroby i żeby bez żadnych opóźnień mógł wziąć udział w procesie. Jeśli jeszcze nie zauważyliście, ten człowiek jest gwiazdą mediów. Jeśli coś przegapimy, zjedzą nas żywcem.

Schulz faktycznie był numerem jeden w mediach. O czym codziennie przypominały telefony od dziennikarzy oraz kamery co rusz pojawiające się przed szpitalem, wycelowane w okna głównej dyżurki lekarskiej oddziału chorób zakaźnych.

– Ale po ostatniej nocy mam już tego dosyć. Uznaję, że zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Idzie do wypisu. Niech go sobie zabierają z powrotem – skapitulował na koniec Czechowski.

W tym momencie drzwi pokoju lekarskiego otworzyły się i do środka weszła jedna z pielęgniarek.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale Schulz właśnie zagorączkował. I to wysoko. Ma prawie czterdzieści stopni.

Wszyscy zgromadzeni spojrzeli po sobie. Szansa na pozbycie się Schulza z oddziału właśnie oddalała się z zawrotną prędkością.

Spośród lekarzy zebranych w dyżurce Marta była jedyną osobą zadowoloną z usłyszonej informacji. I to z dwóch powodów.

Po pierwsze, gorączka Schulza oznaczała, że plan z amebami zjadającymi mózg najpewniej z powodzeniem się realizował. Oczywiście, Schulz mógł znów udawać, przyjmując jakąś substancję, która wywołała gorączkę, ale było to mało prawdopodobne. Pokarmy i napoje wnoszone do jego sali podlegały ściśłemu monitorowaniu. Czas wystąpienia objawów był co prawda zaskakująco wczesny, ale w literaturze medycznej czytała już o takich przypadkach. Zresztą bardzo mocno zagaściła ameby w płynie, który zainhalował Schulz. To mogło być wyjaśnienie.

Po drugie, to nie ona została wyznaczona do roli lekarza prowadzącego Schulza. Wybrańcem losu (a raczej Starego) został Leszek Skalski, który tak często następował na odcisk ordynatora, że stał się pewnym kandydatem praktycznie do każdej niewdzięcznej roboty.

Marta postanowiła przyglądać się wydarzeniom z daleka i z pokerową miną. Mogła sobie na to pozwolić – Schulz był pacjentem na jej oddziale, miała dostęp do jego dokumentacji medycznej i wiedziała o wszystkim, co się z nim dzieje. A przy tym nie musiała brać bezpośredniego udziału ani w jego diagnostyce, ani w leczeniu. Była poza wszelkim podejrzeniem. Mogła w spokoju skupić się na swojej pracy.

Tym bardziej że tego lata mieli na oddziale dwójkę studentów, którzy odbywali tu swoje obowiązkowe wakacyjne praktyki. Studenci medycyny traktowani byli przez większość lekarzy jak zło konieczne – niewiele jeszcze potrafili i nie nadawali się do żadnej odpowiedzialnej pracy. Marta chciała jednak, by czegoś przez te cztery tygodnie się nauczyli, dlatego starała się, by asystowali przy badaniach, oraz przydzielała im drobne obowiązki. Zauważyła, że z roku na rok komunikatywność studentów stawała się coraz mniejsza – młodzi unikali rozmów z obcymi ludźmi, a kiedy musieli je przeprowadzać, robili to w niezdatny sposób. Trudno powiedzieć, z czego wynikały problemy młodzieży, ale należało nad nimi popracować. Przecież nie było specjalizacji, w której komunikacja z drugim człowiekiem miałaby drugorzędne znaczenie. Nawet patomorfolodzy musieli posiadać „miękkie kompetencje”. Dlatego do głównych zadań studentów w „Błęńskiej” należały rozmowy z nowo przybyłymi pacjentami oraz monitorowanie stanu tych, którzy już na oddziale leżeli.

Aby sprawdzić, jak sobie radzą, stanęła dyskretnie w drzwiach sali numer dwa, w której studenci rozmawiali właśnie z jednym z pacjentów. Kilka lat temu, z powodu nieleczzonej cukrzycy, Damianowi Markockiemu amputowano prawą stopę. Od tego czasu co kilka miesięcy trafiał na oddział z powodu róży – bakteryjnego zakażenia skóry w obrębie kikuta. Markocki był znanym żartownisiem-gawędziarzem i nie miał nic przeciwko rozmowom ze studentami. Wprost przeciwnie, leżąc na oddziale, nudził

się jak mops i kontakty z młodymi ludźmi traktował jak świetną rozrywkę. Marta wiedziała dlaczego.

– Usłyszałem jakieś krzyki. Wynurzyłem głowę i zobaczyłem, że ludzie na brzegu coś do mnie wołają i pokazują palcami. Wtedy go zobaczyłem. Najpierw płetwę grzbietową, a jak z powrotem się zanurzyłem, to resztę. Wielki był, skurczybyk, ważył chyba z dziesięć ton. Przez chwilę patrzył na mnie tymi swoimi zimnymi oczkami, a potem chap! Capnął mi stopę i było już po wszystkim, nawet nie poczułem bólu. Zresztą chyba straciłem przytomność, bo następne, co pamiętam, to szpital na Synaju. Potem mi dopiero powiedzieli, że krwi w wodzie było tyle, że wszyscy myśleli, że całego mnie zeżarł.

Studenci patrzyli na Markockiego okrągłymi z przerażenia oczami. Marta słyszała już historie o walce z niedźwiedziem w Bieszczadach, o wnykach, w które Markocki wpadł, zbierając grzyby w Lesie Kabackim („To było może pięćset metrów od mojego bloku. Tam matki z dziećmi na spacerzy chodzą. To jakiś psychopata musiał zastawić”) oraz obronie sąsiadki przed wściekłym lisem. Rekin pojawił się po raz pierwszy. Pogroziła mu z daleka palcem, na co pacjent odpowiedział porozumiewawczym mrugnięciem oka.

Po zakończeniu pracy nie wyszła do domu. Późnym popołudniem w szpitalu odbywało się spotkanie Towarzystwa Naukowego Chorób Zakaźnych, którego była członkiem. Przewodniczącym był Stary, który zwołał spotkanie w trybie nadzwyczajnym i Marta zastanawiała się, co było tego przyczyną. Do spotkania pozostała godzina – za mało, by pojechać do domu, coś zjeść i wrócić, dlatego postanowiła kupić w szpitalnej kafeterii. Rzadko się do niej zapuszczała, bo mieli marny wybór dań dla wegetarian, ale dzisiaj nie miała wyjścia.

W wielkiej sali gęsto wypełnionej stołami i krzesłami jak zwykle panował zgiełk. Przychodzili tu wszyscy – pacjenci, ich rodziny, lekarze, pielęgniarki, pracownicy administracyjni szpitala. Każdy cierpliwie czekał na swoją kolej, by złożyć zamówienie – bez żadnych przywilejów i taryfy ulgowej. Było to najbardziej „demokratyczne” miejsce w szpitalu, w którym zniknęły jakiegokolwiek podziały społeczne i zawodowe.

W kolejce stała grupa obcojęzycznych studentów medycyny, odbywających zajęcia kliniczne w „Błęńskiej”. Śniady chłopak, który właśnie zamawiał, usiłował dogadać się z kasjerką po polsku.

- Pophosię piehogi.
- Co takiego?
- Pophosię piehogi.
- Pierogi? – Kasjerka dotknęła ucha w uniwersalnym geście.
- Tak, piehogi.
- Jakie? Ruskie?
- Nie, nie, polskie! – odparł chłopak z przejęciem w głosie.

Kiedy nadeszła kolej Marty, zamówiła ryż z jabłkami. Odebrała tacę i rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu wolnego miejsca. Nie było żadnego, w szpitalu rozpoczęła się pora odwiedzin i pacjenci, którzy leżeli w wieloosobowych salach, szukali teraz prywatności nad talerzami frytek i szarlotek. Na szczęście w rogu pomieszczenia dostrzegła Marka Leśniowskiego. Siedział samotnie przy stoliku i skupiał się na jedzeniu czegoś, co przypominało gulasz z końskich kup.

– Witam pana doktora. Sto lat się nie widzieliśmy. – Postawiła tacę na blacie jego stołu. Rzeczywiście nie widzieli się bardzo długo. Od czasu, gdy zidentyfikował

gatunek grzyba porastającego mieszkanie jej sąsiadki i gdy do jego laboratorium wkroczyła policja, nie szukali ze sobą kontaktu. Choć każde z innego powodu. Marta nie miała ochoty wyjaśniać, jak skończyła się sprawa sąsiadki, a Marek wolał uniknąć pytań o resztki pożywki, którą zataił przed policją.

– O, Marta! Cześć. W sumie nie wiem, czy powinienem cieszyć się na twój widok, czy wprost przeciwnie. Ty zawsze wróżysz kłopoty.

– Myślałam, że nie lubisz nudy?

– Nie lubię, ale wkrótce obrona mojego doktoratu i akurat teraz nuda jest tym, czego bardzo potrzebuję.

Marek był najlepszym mykologiem – lekarzem specjalistą od zakażeń grzybiczych – w Polsce i Marta nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego doktorat był dla niego takim problemem. Pisał go już prawie sześć lat.

– Gratuluję. Kiedy masz obronę? Chętnie przyjdę posłuchać. – Mówiła szczerze. Znała Marka od strony zawodowej i była pewna, że jego doktorat był dobry.

– Za cztery tygodnie. Wiesz, co zrobić, żeby nie umrzeć przez ten czas ze stresu?

– Propofol, duże dawki. Zawsze pomaga.

Pokiwał głową, bez uśmiechu, choć żart był dobry – propofol w dużych dawkach powoduje całkowitą utratę świadomości. Marta dopiero teraz zauważyła cienie pod jego oczami. I bladą cerę. I fartuch, który wisiał na nim jak na wieszaku. Najwyraźniej o stresie mówił zupełnie poważnie.

Przez chwilę w milczeniu jedli posiłek.

– Nie będę wciskała ci kitów, że nie ma co przejmować się obroną. Sama, wygłaszając referat, miałam stan przedzawałowy. Ale wiesz, co mówią – parę minut wstydu, a stopień na całe życie.

Posłał jej spojrzenie bez wyrazu. Pewnie wszyscy karmili go teraz mądrościami rodem z Wykopu. Musiała się zrehabilitować.

– Dam ci dobrą radę, zawsze działa. Podczas obrony wyobraź sobie, że wszyscy są ubrani, a ty jeden nagi. I że stoisz wśród nich taki nagusieńki, a oni się na ciebie gapią.

Parsknął śmiechem.

– Słuchaj, muszę już iść, za chwilę mam spotkanie. – Spojrzała na zegarek i wsunęła do ust ostatnią porcję ryżu. – Ale gdybyś chciał pogadać, o czymkolwiek, a zwłaszcza o obronie, to dzwoń. Jeśli chodzi o coaching, to jestem samodzielnym talentem. Zresztą jak widzisz.

Machnęła mu na pożegnanie i poszła w stronę podziemnego łącznika.

O szesnastej trzydzieści była już w wielkiej sali konferencyjnej szpitala, razem z innymi członkami Towarzystwa. Tuż przed rozpoczęciem spotkania dosiadł się do niej Leszek Skalski. Wcale jej to nie ucieszyło. Leszek miał zwyczaj wtrącania się do wszystkich dyskusji, co wiecznie ściągało na niego kłopoty. Siedząc obok niego, mogła oberwać rykoszetem.

W pobliżu siedział ktoś jeszcze – człowiek, którego obecność budziła z kolei jej niepokój. Był to Filip Feld, szef organizacji zrzeszającej pacjentów o nazwie Nowa Nadzieja, zajmującej się prawami osób zakażonych HIV i zwalczaniem ich stygmatyzacji. Przynajmniej w teorii, bo w praktyce jego fundacja zajmowała się głównie lobbowaniem na rzecz zwiększenia finansowania leków antyretrowirusowych przez budżet państwa. Nowa Nadzieja powstała z inicjatywy jednej z firm farmaceutycznych i była przez nią hojnie dotowana. Taki mechanizm działania firm

farmaceutycznych – „na organizacje pacjenckie” – znany był na świecie od wielu lat. W Polsce dopiero się rozwijał, przez co nadal był tak skuteczny – rzewne historie o ludzkim cierpieniu nie były jeszcze traktowane jako przekręt. Wystarczyło kilku opłacanych przez firmę farmaceutyczną dziennikarzy, aby można było przeczytać lub usłyszeć historie o tym, jak to pacjenci chorujący na chorobę x lub y nie mogą doprosić się leków od bezdusznych urzędników Ministerstwa Zdrowia. Leków, które jako jedyne mogą im w cudowny sposób pomóc. I które, zupełnym przypadkiem, kosztują miliony złotych. W ten sposób firmy farmaceutyczne, działając w białych rękawiczkach, wywierały wpływ na opinię publiczną tak, że większość osób nigdy nie orientowała się, że właśnie została poddana manipulacji.

Feld nie odpuszczał żadnej konferencji dotyczącej HIV i AIDS, więc jego obecność w tej sali wyraźnie wskazywała na temat dzisiejszego spotkania Towarzystwa. Feld co prawda nie był jego członkiem, nie był również lekarzem, ale zażyłość ze Starym otwierała mu wszystkie drzwi, nawet te, które powinny pozostać przed nim zamknięte.

Na mównicę wszedł Adam Miły, sekretarz Towarzystwa, który miły był jedynie wobec Starego i jego gwardii przybocznej – ludzi, dzięki którym kariera mogła nabrać należytego rozpędu.

– Szanowny panie profesorze – zwrócił się do Starego. – Po pierwsze, w imieniu wszystkich członków Towarzystwa chciałbym panu podziękować za znamienite przewodniczenie naszemu gronu. Chciałbym również życzyć panu dobrego odpoczynku w okresie letnim i udanego wyjazdu... nie wiem, czy na Dominikanę, tak jak zwykle? A teraz poproszę pana o zabranie głosu i wprowadzenie nas w temat dzisiejszego spotkania.

– Hm... tak... dziękuję za te... eee... miłe słowa. Dziękuję również państwu za tak liczne przybycie. Nie będę ukrywał, że sprawa jest pilna i ważna – rozpoczął Stary. – Właśnie otrzymaliśmy informację, że firma Zeliga Pharm, producent leku Volanda, stosowanego w profilaktyce przedekspozycyjnej zakażenia HIV, będzie starać się o objęcie go refundacją. Wiem, że macie państwo ogromne doświadczenie z tym preparatem, i myślę, że wypowiem się w imieniu wielu tu zgromadzonych, kiedy dodam, że jest to jeden z lepszych leków, jakie weszły na rynek światowy w ostatnim czasie. Niewielkie, jednoskładnikowe tabletki, przyjmowane raz dziennie, praktycznie bez żadnych działań niepożądanych i dedykowane wyłącznie profilaktyce HIV. Znów wierzę, że wypowiadam się w imieniu wszystkich tu zebranych, mówiąc, że jest to świetna wiadomość zarówno dla naszych pacjentów, jak i dla nas. Na dodatek długo oczekiwana wiadomość. Lek dostępny jest już bezpłatnie na zachodzie Europy, w takich krajach jak Wielka Brytania, Francja czy Belgia. U nas, jak zwykle, wszystko zajmuje więcej czasu, być może chodzi o nasze purytańskie podejście do spraw seksu... Ale wreszcie pojawiła się nadzieja, by również nasi pacjenci uzyskali dostęp do skutecznej profilaktyki. Jak w cywilizowanym kraju, za który bądź co bądź uważamy naszą ojczyznę. Firma Zeliga Pharm zwróciła się z prośbą do naszego Towarzystwa, zrzeszającego lekarzy chorób zakaźnych z całej Polski, o list poparcia w tej sprawie do Rady Transparentności działającej przy Agencji Oceny Nowych Produktów Medycznych i Refundacji. Za chwilę poproszę tu zebranych o głosowanie w tej sprawie, ale wierzę, że jest to tylko formalność. Jestem pewien, że wszyscy państwo podzielacie moje zdanie, że Volanda powinna być refundowana. Profesorze

Franczak, tak? Chciał pan coś powiedzieć? – Stary wskazał na mężczyznę siedzącego w pierwszym rzędzie, który uniósł w górę dłoń.

– Tak, chciałem rozpocząć dyskusję, zanim przejdziemy do głosowania. – Profesor Franczak wstał ze swojego miejsca i przejął mikrofon. – Powiedział pan, że wreszcie nasi pacjenci uzyskają dostęp do profilaktyki zakażeń HIV. A przecież oni mają już ten dostęp zapewniony od kilku lat. W Polsce Volanda jest dostępna i lekarze mogą ją przepisywać.

– To prawda, może wyraziłem się niezbyt fortunnie. Chodziło mi o to, że objęcie Volandy refundacją sprawi, że będzie mogło pozwolić sobie na nią więcej osób. Obecnie koszty wizyty lekarskiej, koszty badań, które należy wykonać, oraz koszty samego leku są tak duże, że dostęp do leku jest dla sporej grupy pacjentów ograniczony, a nawet nie istnieje.

– Koszt leku to około stu dwudziestu złotych miesięcznie. Koszt wizyty i badań to około czterystu złotych, ale co trzy miesiące. Naprawdę uważa pan, że są to kwoty zaporowe dla osób, które decydują się na Volandę?

– Dla niektórych owszem.

– Naprawdę pan tak uważa? Biorąc pod uwagę, kto przyjmuje Volandę?

– Co ma pan profesor na myśli?

– Zgodnie z naszymi własnymi rekomendacjami ten lek zalecamy osobom, które używają narkotyków dożylnie, świadczą usługi seksualne i odbywają kontakty seksualne pod wpływem substancji psychoaktywnych. Chce pan nam wmówić, że osoby, które stać na kupowanie narkotyków po to, by pod ich wpływem uprawiać seks, nie stać na Volandę?

– Panie profesorze, naprawdę? Po kim jak po kim, ale po panu takich wypowiedzi bym się nie spodziewał – wybuchł niespodziewanie Feld. – Na Volandę decydują się osoby świadome, które troszczą się o własne zdrowie i nie chcą zachorować na AIDS. Takie wypowiedzi jak pańska jednoznacznie wskazują, po której stronie tej ideologicznej wojny pan staje.

Franczak posłał mu zdziwione spojrzenie.

– Nie jest pan członkiem Towarzystwa. Nawet do końca nie rozumiem, jaka jest pana rola na tym spotkaniu i co pan w ogóle tutaj robi. Ale dobrze, ustosunkuję się do pana wypowiedzi. Tak się składa, że wiem, o czym mówię, bo w swoim gabinecie zajmuję się również pacjentami przyjmującymi Volandę. Większość z nich decyduje się na ten lek, bo przynajmniej raz w tygodniu uprawia chemsex. Czym jest chemsex, pewnie większość z państwa wie. Dla tych, którzy nie zajmują się zawodowo tym tematem, wyjaśnię, że chemsex jest to uprawianie stosunków seksualnych pod wpływem narkotyków, a często także i alkoholu. Najczęściej w tym celu używa się pigułek gwałtu i amfetaminy, przyjmowanych dobrowolnie i celowo po to, by wywołać różnego rodzaju doznania. Aż do granicy utraty przytomności. Taki człowiek budzi się po wszystkim bez pamięci, co się z nim działo i z iloma partnerami niedawno współżył. Nie wie, czy ci partnerzy byli zakażeni HIV i czy używali prezerwatyw. A Volanda zapewnia w takiej sytuacji ochronę przed HIV, oczywiście jeśli przyjmowana jest codziennie i regularnie. Kolejna grupa ludzi, do których skierowana jest Volanda, to bywalcy tak zwanych darkroomów. Znowu wyjaśnię tym z państwa, którzy nie wiedzą, czym są darkroomy. Otóż są to specjalne pomieszczenia w nocnych klubach, zwykle bez oświetlenia, służące do uprawiania seksu. Wchodzi się tam w poszukiwaniu naprawdę mocnych seksualnych wrażeń. W ciemności, praktycznie po

omacku, znajduje się partnerów, których tożsamości nigdy nie będzie można ustalić. Pozostaną anonimowi, tak jak informacja o tym, czy byli zakażeni HIV. Muszę wyraźnie zaznaczyć, że nie interesuje mnie życie seksualne innych ludzi. Każdy ma prawo robić w łóżku to, co zechce, pod warunkiem że nie krzywdzi innych. To są prywatne wybory, których nie oceniam i które mnie nie obchodzą. Ale nazywanie przez pana ideologiczną wojną sytuacji, w której ludzie podają racjonalne argumenty, uważam za niestosowne i żenujące.

– Profesorze Franczak, przecież są jeszcze inne, konkretne wskazania. Zapomniał pan o parach, w których jeden z partnerów zakażony jest HIV. – Stary wydawał się spokojny, ale Marta знаła go zbyt długo, by nie wiedzieć, że rozsądza go wściekłość.

– Nie zapomniałem, ale takie pary mogą używać prezerwatywy.

– Prezerwatywy nie są skuteczne w stu procentach.

– Przecież Volanda też nie. – Do rozmowy wtrącił się Leszek. Oczywiście, nie byłby sobą, gdyby nie zabrał głosu. – W niektórych badaniach Volanda osiągała skuteczność równą zaledwie czterdziestu siedmiu procentom.

– A w niektórych dziewięćdziesięciu – odparował Stary.

– Tak, w grupie ludzi, którzy przyjmowali ją regularnie, co dwadzieścia cztery godziny. Większość jednak zapomina dawek. Wtedy skuteczność Volandy spada o połowę.

– A co z parami starającymi się o dziecko, w których partner lub partnerka są zakażeni HIV? Chcecie panowie zostawić ich bez pomocy?

– Ale ile w tej chwili jest w Polsce takich par? Pewnie dziesięć? Maksymalnie. Poza tym w takiej sytuacji zakażony partner lub partnerka przyjmują leki na HIV, co obniża liczbę cząsteczek wirusa w płynach ustrojowych do niewykrywalnych wartości. Skuteczność takiego postępowania jest co najmniej tak duża jak skuteczność Volandy.

– Skupiamy się na wskazaniach, a zapominamy, jakie oszczędności przyniesie państwu refundacja Volandy. A ilu zakażeniom HIV zapobiegnie, dzięki czemu nie będziemy musieli płacić za leczenie AIDS. – Stary nie dawał za wygraną.

– Co do oszczędności, to znowu ja pozwolę sobie zabrać głos. – Leszek ponownie włączył się do dyskusji. – Tam, gdzie Volanda refundowana jest już od dawna, w tak zwanych „cywilizowanych krajach”, jak pan to określił, obserwuje się wzrost zachorowań na inne choroby przenoszone drogą płciową – na kiłę, rzeżączkę, chłamydiozę i wirusowe zapalenie wątroby typu B i C. Ludzie przestają bać się HIV i tym samym przestają używać prezerwatyw, zarażając się różnymi chorobami, przed którymi prezerwatywy mogłyby ich ochronić. Jak pokazują statystyki, zwiększa to koszty, zamiast je zmniejszać.

– A co zrobić z tymi, którzy nie mogą stosować prezerwatyw? – Głos Felda drgał z wściekłości. Marta widziała go takiego po raz pierwszy.

– Mówimy poważnie, jakie są przeciwwskazania do stosowania prezerwatyw? Proszę, niech pan wymieni choć jedno. I nie przyjmuję informacji o alergii na lateks, na rynku dostępne są prezerwatywy bez lateksu.

– Wielu ludzi nie stać na prezerwatywy. Chce ich pan skazać na przewlekłą chorobę tylko dlatego, że są biedni?

– Na to pytanie akurat łatwo ja panu odpowiem. – Profesor Franczak zrobił kilkusekundową pauzę. – Jestem w takim wieku, że pamiętam doskonale pewną strategię Światowej Organizacji Zdrowia, lansowaną w latach dziewięćdziesiątych

ubiegłego wieku, która miała na celu ograniczyć rozprzestrzenianie się chorób wenerycznych, ale głównie HIV i AIDS. Nosiła nazwę ABC, żeby łatwo ją było zapamiętać. „A” od „abstinence”, czyli nieuprawiania seksu w ogóle albo poprzestawaniu na masturbacji, „B” od „be faithful”, czyli wierności jednemu partnerowi, i „C” od „condoms”, czyli stosowanie prezerwatyw. Wie pan, która z tych literek jest najtańsza i ma stuprocentową skuteczność? Mogą pozwolić sobie na nią nawet najbiedniejsi.

– To już jest bezczelność z pana strony, panie profesorze. – Twarz Felda przybrała kolor purpury.

– A z pana strony ignorancja, panie Feld. Strategia ABC miała ogromne znaczenie w ograniczeniu liczby zakażeń HIV w Afryce. Proszę poczytać na ten temat i się doedukować. Mam nieodparte wrażenie, że w przypadku Volandy chodzi o coś innego. A wiecie państwo o co? O to, że grupa ludzi nie lubi uprawiać seksu w gumkach i chce, żeby reszta zrobiła w tej intencji zrzutkę z publicznych pieniędzy. Tak właśnie uważam.

– No wie pan, panie profesorze, to już naprawdę przesada. Poziom, na jaki weszła ta dyskusja... – przerwał Stary.

– Jaki, panie profesorze, jaki? Wspominał pan coś o purytańskim podejściu do seksu. Nigdy takowego nie posiadałem. Uważam, że otwarcie powinniśmy o pewnych rzeczach rozmawiać. Jak na przykład o tym, że mężczyźni nie lubią prezerwatyw. Stosunki bez mechanicznego zabezpieczenia są o wiele przyjemniejsze. Ja też nigdy nie lubiłem seksu w lateksie, pewnie jak większość panów na tej sali. – Wśród zgromadzonych rozległ się śmiech. – Ale wie pan co? Do głowy by mi nie przyszło, żeby robić z tego jakąś światopoglądową bitwę.

– Proszę państwa, nie wierzę własnym uszom. Jesteśmy lekarzami, powinniśmy stać na straży dobra naszych pacjentów. Tymczasem, jak słusznie zauważył pan Feld, wdajemy się w jakąś ideologiczną dyskusję. – Stary mówił już podniesionym głosem.

– Nie widzę w niej nic ideologicznego – odparł Leszek. – Jak do tej pory na tej sali padły tylko suche fakty. To pan próbuje zrobić z tego jakąś ideologiczną wojnę i z braku argumentów poprowadzić dyskusję w tym kierunku. Uważam, że nie popierając Zeligi Pharm, działamy dla dobra pacjentów. Wszystkich pacjentów, nie tylko naszych, zakaźnych. Budżet nie jest z gumy. Jeśli podciągniemy tę finansową kołdrę za uszy, to zmarzną nam stopy. Osobiście wolę, żeby te pieniądze przeznaczone na inne cele, na przykład leczenie chorób rzadkich wśród dzieci.

– Zgadzam się z doktorem Skalskim. W ustalaniu wydatków na opiekę zdrowotną nie powinniśmy faworyzować ani narkomanów, ani prostytutek – podsumował profesor Franczak.

– Teraz na niefrasobliwe panie mówi się sexworkierki, nie prostytutki – podpowiedział scenicznym szeptem z trzeciego rzędu profesor Czaplński, rześki staruszek o wesołych oczach.

Sala gruchnęła śmiechem. Marta uwielbiała profesora Czaplńskiego już od czasów studenckich. To między innymi dzięki niemu oraz profesorowi Franczakowi wybrała specjalizację z chorób zakaźnych.

Jeśli chodzi o profesora Franczaka, Marta wiedziała, skąd tak naprawdę brała się jego niechęć do refundacji Volandy. Kilka lat temu jego żona, którą mimo czterdziestu lat małżeństwa ubóstwiał ponad wszystko, zachorowała na raka piersi. Był to rzadki rodzaj nowotworu, w którego leczeniu skuteczne były jedynie leki nierefundowane

przez NFZ. Bardzo drogie leki, na które rodziny Franczaków nie było stać. Jeden z wychowanków profesora utworzył internetową zbiórkę, w którą zaangażowali się praktycznie wszyscy pracownicy „Błęńskiej” – profesor Franczak był popularnym i lubianym lekarzem oraz mentorem wielu młodych medyków. Niestety, nie udało się zebrać wystarczających środków i żona profesora zmarła. Lek nadal był nier refundowany i Marta mogła tylko sobie wyobrażać, co Franczak czuł, słysząc o pomysle refundacji Volandy, skierowanej do osób uprawiających chemsex i korzystających z darkroomów.

Nikt więcej nie zabrał głosu. Stary przez następne dziesięć minut próbował przekonać zebranych, że Volanda zasługuje na refundację, przytaczając dane „z cywilizowanych krajów zachodnich”, które już od dawna ją refundowały. Z wykresów wynikało, że dla ich ministerstw zdrowia finansowanie Volandy było interesem życia.

– Wiesz, skąd są te dane? – Leszek nachylił się w stronę Marty.

– Skąd?

– Z Instytutu Danych z Dupy.

Marta parsknęła głośnym śmiechem. Dowcip starszy od węgla, ale zawsze śmieszny. Stary przerwał na chwilę i spojrzał w ich stronę spod ła.

– Mówię poważnie. Nie masz się co śmiać – ciągnął Leszek.

Marta wierzyła. Za długo zajmowała się pracą naukową, by nie wiedzieć, co można wyczyniać z liczbami. Kiedy przed napisaniem publikacji oddawała wyniki swoich badań statystykowi, ten za każdym razem zadawał pytanie: „co ma wyjść?”.

Kiedy Stary skończył, zarządził głosowanie. Jednak, jak można było się spodziewać po przebiegu dyskusji, wynik głosowania nie przypadł mu do gustu. Członkowie Towarzystwa Naukowego Chorób Zakaźnych nie zgodzili się podpisać pod rekomendacjami dla Zeligii Pharm.

– Zawsze musisz wszystkim następować na odcisk? – spytała Leszka po zakończeniu zebrania.

– Nie wszystkim, tylko tym, którym trzeba.

– A tym trzeba?

– Nie mów, że nie wkurza cię sponsorowanie bezpiecznych orgii cwaniakom, którym nie chce się założyć gumki na fiuta. Bo przecież o to tu tak naprawdę chodzi. Franczak mówi prosto z mostu, ale przynajmniej prawdę.

– Przecież to i tak niczego nie zmieni. Stary wymyśli jakiś sposób.

– Prawdopodobnie, ale nie pójdzie mu tak łatwo, jak by chciał. Franczak to guru chorób zakaźnych w Polsce, wiele osób zwraca baczną uwagę na to, co mówi. Poza tym zna wiele osób z Rady Transparentności i Ministerstwa Zdrowia. A ja, jak wiesz, mam poczytnego bloga, na którym wkrótce pojawi się wpis na ten temat. Ludzie dowiedzą się, kto tak naprawdę skorzysta na refundacji Volandy.

Słyszając to, przechodzący obok Feld zagryzł wargi i odwrócił się w drugą stronę, udając, że ich nie widzi. Nie było to zachowanie typowe dla niego, zwykle z przesadną serdecznością witał przechodzących i zamieniał słowo z każdym lekarzem, od którego mógł w przyszłości czegoś potrzebować. Z tego powodu za plecami mówiono o nim „czopek”.

Marta pokiwała głową z powątpiewaniem. Boje toczone przez Leszka nie kończyły się dla niego najlepiej, ale i tak nie potrafił wyciągnąć z tego żadnych wniosków.

Przed opuszczeniem szpitala wstąpiła jeszcze na oddział zakaźny. Chciała przekazać lekarzowi dyżurnemu informację dotyczącą jednego z pacjentów i

sprawdzić, jak się czuje mała Alicja z pododdziału pediatrycznego, której zmieniła dziś leki. Otwierając drzwi dyżurki, zauważyła Starego, szturmującego z gniewem drzwi swojego gabinetu. Za nim do środka, równie niezadowolony, wparował Feld.

W drodze do swojego mieszkania na Mokotowskiej zrobiła zakupy pani Marii, sąsiadce mieszkającej obok niej, na tym samym piętrze. Od czasu, kiedy jej wnuk niespodziewanie zniknął, tylko Marta interesowała się losem staruszki. Kilka tygodni temu pani Maria wprowadziła się na pewien czas do mieszkania Marty – jej własne wymagało odgrzybiania i ponownego malowania. Prace remontowe zakończono i sąsiadka mogła wrócić do siebie, ale co rusz obie odkrywały kolejne niedociągnięcia, wymagające kontaktu z firmą, która ten remont wykonywała. Przy okazji Marta zleciła tej samej firmie przeróbkę własnej kuchni, ale akurat w tym pomieszczeniu prace wykonano bardzo solidnie. Na szczęście ostatnio z mieszkaniem sąsiadki nie działo się nic złego i Marta miała nadzieję, że był to koniec gehenny.

Ani policja, ani córka pani Marii, ani tym bardziej Marta nie wtajemniczyli staruszki w szczegóły zniknięcia jej wnuka, ta nie wiedziała więc, jakie podejrzenia na nim ciąży. Była pewna, że wyjechał na jakiś czas za granicę, bez pożegnania, tak jak zrobił już kiedyś, przed wielu laty. Czekala cierpliwie na znak z jego strony – telefon, kartkę lub pozdrowienia przekazane przez kogoś znajomego, licząc na to, że tym razem prędko wróci. Marta nie miała serca wyprowadzać jej z błędu, w końcu była za to zniknięcie odpowiedzialna. Pomagała sąsiadce, kiedy była taka potrzeba, i z uśmiechem utwierdzała ją w przekonaniu, że „wkrótce wszystko będzie jak dawniej”.

ROZDZIAŁ 3

Kolejny dzień w pracy przyniósł sporo emocji.

Schulz nie przestawał gorączkować, choć wyniki badań kontrolnych, które wykonano mu rano, nie były szczególnie niepokojące. Niewielka leukocytoza i zwiększona aktywność białka C-reaktywnego wskazywały na jakąś infekcję, ale pacjent nie zgłaszał żadnych dolegliwości, poza ogólnym rozbitciem spowodowanym gorączką, więc nie było też większych powodów do obaw.

Jednak wczesnym popołudniem zaczął się skarżyć na silny ból głowy w okolicy czołowej, a gorączka nadal nie spadała poniżej trzydziestu dziewięciu stopni Celsjusza. W trakcie badania przeprowadzanego przez Leszka Skalskiego Schulz poczuł nudności i zwymiotował przed drzwiami łazienki, nie zdążywszy wejść do środka.

Lekarze oddziału zakaźnego podzielili się na dwa obozy. Jedni uważali, że Schulz symuluje i najprawdopodobniej celowo przyjmuje jakieś środki, które powodują u niego dolegliwości, mając nadzieję na pozostanie na oddziale i kolejną próbę ucieczki. Inni uważali, że w warunkach całkowitego dozoru jest to niemożliwe i na pewno musi się z nim dziać coś niedobrego.

Marta nie włączała się do dyskusji. Po pierwsze, знаła prawdę na temat przyczyn złego samopoczucia Schulza, po drugie, właśnie otrzymała wyniki badań Karola Jelińskiego.

Karol Jeliński był pacjentem, który trafił do oddziału zakaźnego „Błęńskiej” ponad dziesięć dni temu. Od tego czasu zdążył zawrócić w głowie dużej części żeńskiego personelu. Pielęgniarki niemal biły się o to, która będzie pobierać mu krew, a laborantki dzwoniły na zdobyty wcześniej prywatny numer jego komórki, żeby przekazać wyniki badań, nawet zanim jeszcze wpisały je do szpitalnego systemu. Niektóre panie zachowywały pozorny dystans, udając, że Jeliński nie różni się niczym od pozostałych pacjentów. Ale prawda była taka, że na widok Karola Jelińskiego serce biło mocniej wszystkim kobietom, niezależnie od wieku i sprawowanej funkcji. W szpitalu mówiono na niego „Mateusz Kusznierewicz”.

Wysoki, opalony, z niebieskimi oczami i falującymi włosami w kolorze ciemnobłond, czarował kobiety nie tylko zniewalającym uśmiechem, ale również opowieściami o swoich przygodach i pracy zawodowej.

Karol Jeliński był weterynarzem. Kilka tygodni wcześniej wrócił z Kostaryki, gdzie pracował dla organizacji Weterynarze Świata, w programie pomocy bezpańskim psom i kotom na ulicach stołecznego San Jose. Nastawiał złamane kończyny, wycinał guzy i odbierał trudne porody. Na szafce obok łóżka leżały jego zdjęcia ze stadkami małych kotków, z tulącymi się do niego psiakami w bandażach, a także słodkim leniwcem, wybudzonym po operacji, który ufnie patrzył mu w oczy, przylepiając się do jego ramienia.

Oprócz Kostaryki Karol miał w swoim dossier również kontrakty dla Weterynarzy Świata w przytułku dla słoń w Tajlandii oraz w kilku parkach narodowych Republiki Południowej Afryki. Jednym słowem, Karol Jeliński był globtroterem, ale globtroterem z humanitarnym zacięciem.

Jakiś czas temu, kilka dni po powrocie z Kostaryki, Jeliński zauważył na lewym pośladku drobne owrzodzenie, którym specjalnie się nie przejął. Jednak owrzodzenie zamiast zniknąć, zaczęło się powiększać. Początkowo sądzono, że ma ono związek z cukrzycą typu 1, na którą chorował Jeliński, ale kiedy obok owrzodzenia pojawiło się kilka zmian satelitarnych, i to pomimo świetnie wyrównanej glikemii, wykluczono taką ewentualność i skierowano pacjenta do Kliniki Chorób Zakaźnych, gdzie zajmowano się również chorobami tropikalnymi.

Tu najpierw wysunięto podejrzenie, że zmiana miała związek z pracą Karola i jego bezpośrednim kontaktem z psami i kotami. Tyle że w takiej sytuacji zmiany skórne byłyby raczej na dłoniach, nie na pośladku. Jeliński przyznał w rozmowie, że dni wolne od pracy spędzał najchętniej w okolicy wulkanu Arenal, gdzie często spał wśród drzew, pod namiotem. Pomyślano więc o leiszmaniozie, chorobie pasożytniczej, która mogła powodować takie dolegliwości, i pobrano pacjentowi wycinki z brzegów owrzodzenia, a także wykonano dodatkowe badania.

Marta jako jedyna była odporna na wdzięki Karola. Tak, był niezmiernie przystojny, tak, był diabelnie inteligentny, i tak, miał ogromne poczucie humoru. Ale przecież była jego lekarzem prowadzącym i wysoko ceniła sobie profesjonalizm.

Kiedy weszła do sali, na której leżał Jeliński, zastała w niej pielęgniarkę majstrującą coś przy kroplówce, do której „przypięty” był Karol. Zarówno kroplówka, jak i stojak, na którym wisiała, wyglądały nienagannie i nie wymagały żadnych poprawek. Pielęgniarka i pacjent zajęci byli rozmową, z której Marta usłyszała tylko ostatni fragment.

– Ach, ale wie pan, co to za sen, taki szybki...

– Szybki sen nie jest zły. W odróżnieniu od szybkiego seksu...

Pielęgniarka zachichotała. Marta również. Szybko zbeształa się za to w myślach.

– Witam moją ulubioną panią doktor. – Jeliński usłyszał ją, wstał na powitanie i uklonił się przesadnie szermancko.

– Witam mojego ulubionego pacjenta. – Znów zachichotała. I znów zbeształa się za to w myślach. Może jednak swój profesjonalizm oceniła zbyt wysoko. – Nasze podejrzenia znalazły potwierdzenie w badaniach. To leiszmanioza. Postać skórna. – Podeszła do jego łóżka i stanęła blisko pacjenta. Zbyt blisko. Zrobiła krok do tyłu.

– I co teraz? – Karol Jeliński nie był zdziwiony tą informacją. Prawdopodobnie wiedział o wynikach z laboratorium, zanim jeszcze dotarli na oddział zakaźny. Nie byłby to pierwszy raz.

– Otrzyma pan leki i wszystko skończy się dobrze. Niestety, zwykle pozostaje blizna. Na szczęście zmiana skórna jest w niewidocznym miejscu.

– Czasami to miejsce bywa widoczne. – Posłał jej dwuznaczne spojrzenie.

– W takim razie obiecuję panu, że uczynię wszystko co w mojej mocy, by ten widok pozostał nadal atrakcyjny. – Odwzajemniła spojrzenie. Nie znosiła beczelnych pacjentów, ale temu była w stanie wybaczyć wiele.

Tym razem to Karol Jeliński zachichotał. I oblał się rumieńcem. Ledwie dostrzegalnym, ale jednak.

Czas po pracy zarezerwowała dla Michała. Pracował do osiemnastej, więc wieczór nie zapowiadał się szczególnie długi, ale i tak cieszyła się na to spotkanie. Tym bardziej że miała otrzymać od niego kopię akt śledztwa w sprawie morderstwa rodziców. Bardzo tym się denerwowała. Z jednej strony chciała je wreszcie przeczytać,

z drugiej obawiała się, jak może skończyć się ten eksperyment z powrotem do przeszłości.

Niecierpliwie spojrziała na zegarek. Lekarz dyżurny powinien już tu być i odbierać od niej informacje o pacjentach. Spóźniał się. Kiedy drzwi gabinetu lekarskiego się otworzyły, Marta z nadzieją uniosła głowę. Ale do środka, zamiast dyżurnego, wszedł Julian Marchlewski, zastępca ordynatora.

– Słuchajcie, mam dla was złą wiadomość. Ania się przewróciła i złamała nogę. Nie przyjdzie do pracy przez następne kilka tygodni. Dzisiaj miała mieć dyżur. Musimy się zastanowić, kto ją zastąpi na nocnej zmianie.

Lekarze zebrani w gabinecie spojrzeli po sobie. Nikt nie miał najmniejszej ochoty na nieplanowane nocowanie w szpitalu. Rozpoczęła się licytacja, kto nie może bardziej.

– Ja muszę dzieci ze świetlicy odebrać.

– A ja mam ojca w szpitalu. Muszę do niego pojechać.

– Ja też nie mogę, podpisuję dzisiaj umowę przedwstępną u notariusza. Nie dam rady tego przeżyć.

Wszyscy z nadzieją spojrzeli na Martę. Nie miała rodziców, męża ani dzieci. Była idealną kandydatką.

– No dobra, niech wam będzie. Zostanę. Ale nie liczcie na to, że wezmę hurtem również resztę dyżurów po Ani. Biorę tylko ten.

To był zdecydowanie zły dzień. Po pierwsze, musiała odwołać randkę z Michałem, choć tak bardzo cieszyła się na to spotkanie. Po drugie, była zupełnie nieprzygotowana do nocy w szpitalu. Panowało lato, na zewnątrz było trzydzieści stopni. Wewnątrz pokoju lekarskiego, który wyglądem przypominał wielką starą oranżerię, jakieś pięć więcej. W poliestrowym fartuchu Marta jeszcze bardziej się pociała i marzyła o prysznicu. Nie miała ze sobą na zmianę ani bielizny, ani ubrań. Nie wzięła również ręcznika ani kosmetyków. Roztaczała się przed nią perspektywa kolejnych szesnastu godzin w upale, przepoconym ubraniu i o głodzie. Bo nie miała również nic na kolację, a szpitalny bufet właśnie zamykano.

Michał wykazał się dużą wyrozumiałością, kiedy zadzwoniła do niego z informacją o nieplanowanym dyżurze. Miał podobnie wymagającą pracę i niespodziewane nadgodziny nie robiły na nim wrażenia.

„Zobaczymy jak długo” – pomyślała Marta. Mikołaj, jej były mąż, na początku również bez problemu znosił jej dyżury. Sam również był lekarzem, ortopedą, i wiedział, z czym wiąże się praca w szpitalu. Do czasu. „Bo męska rzecz być daleko, a kobieca – wiernie czekać” – zanuciła w myślach, idąc na pododdział pediatryczny odebrać informacje o pacjentach.

Lipcowy dyżur, co było do przewidzenia, obfitował w biegunki i gorączki po przyjazdach z tropików, z rzadka przerywane przypadkami pogryzien przez wiewiórki w Łazienkach Królewskich. Marta nie miała chwili wytchnienia, biegając między oddziałem zakaźnym i Szpitalnym Oddziałem Ratunkowym. Dlatego wcale się nie ucieszyła, kiedy w środku nocy poproszono ją o dodatkową konsultację na kardiologii. Na dodatek, niedługo po tym, jak wróciła z kardiologii, otrzymała prośbę o kolejną konsultację, tym razem na nefrologii, po której, dla odmiany, czekały ją trzy interwencje na jej własnym oddziale, zakaźnym. Zaszło jej w gardle, ale nie miała nawet czasu, żeby się napić. Ten dyżur był koszmarem i chciała, żeby się już skończył.

Kiedy wreszcie uporała się z pacjentami i uzupełniła karty zleceń, na biurku zadzwonił telefon.

– Halo? – rzuciła do słuchawki.

– Halo? – odpowiedział głos z drugiej strony. Głos, który Marta znała zbyt dobrze.

Dzwoniła „urojona wścieklizna”, jak nazywano ją na oddziale. Kobieta, której nikt nie znał i która w niewyjaśniony sposób zdobyła bezpośredni numer do głównej dyżurki lekarskiej. Od kilku miesięcy bombardowała ich telefonami, dzwoniąc o najdziwniejszych porach i szukając pomocy w wymyślonej chorobie. Utrzymywała, że kilka lat temu zaraziła się wścieklizną od martwej wiewiórki, obok której przechodziła. Kiedy poinformowano ją, że wścieklizną nie można zarazić się w taki sposób, historia nabrała rozpędu. Oznajmiła, że codziennie przechodzi obok martwych wiewiórek, od których każdego dnia na nowo zaraża się wirusem. Kiedy i to nie zrobiło na nikim wrażenia, wymyśliła, że widuje przelatujące nad nią cienie. Z pewnością są to nietoperze, które bezsprzecznie zarażają ją wścieklizną. Kiedy wreszcie doczeka się pomocy? Przecież na wściekliznę jest szczepienie, dlaczego jeszcze nikt jej nie zaszczepił? A ona ma w domu małe dziecko i pieska. „Czy pan może mi zagwarantować, że ja nie zarażę swojego pieska?!” – krzyczała lekarzom do słuchawki.

– Dobranoc. – Marta odłożyła słuchawkę, nie czekając na dzisiejszy repertuar „urojonej wścieklizny”. Współczuła ludziom z problemami psychicznymi, ale w tej chwili nie miała czasu na zabawę w psychoterapię.

Z ulgą przywitała ranek i kolegów, którzy zaczęli schodzić się do pracy. Ucieszył ją nawet widok ordynatora wchodzącego do pokoju lekarskiego. Jeszcze tylko poranna odprawa i będzie mogła pójść do domu. Nie mogła się doczekać, kiedy weźmie prysznic i położy się do łóżka. W tej chwili pragnęła tylko i wyłącznie snu.

– Proszę państwa, zanim zaczniemy odprawę, muszę przekazać wam smutną wiadomość. – Stary miał grobową minę. – Dziś w nocy odszedł od nas profesor Franczak. Postać niezmiernie zasłużona dla polskiej medycyny, szczególnie w dziedzinie chorób zakaźnych. To on jako jeden z pierwszych opisywał w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku przebieg zakażeń HIV u polskich pacjentów. Byłem jego uczniem, zresztą profesor Franczak był mentorem wielu tu zgromadzonych. Dostałem tę wiadomość dosłownie przed chwilą. Pan profesor umarł we śnie, najprawdopodobniej był to zawał serca.

Leszek Skalski zerwał się z krzesła i wybiegł z gabinetu. Martę wiadomość o śmierci Franczaka, którego lubiła i ceniła, również szczerze zmartwiła, ale zachowanie Leszka było co najmniej dziwne. Nigdy wcześniej nie okazywał emocji w taki sposób, był zawsze mało wylewny, jeśli chodzi o uczucia. Poza tym studiował medycynę w Krakowie i profesora Franczaka poznał dopiero wtedy, gdy rozpoczął pracę w „Błęńskiej”. Nie byli ze sobą w aż takiej komitywie.

– Jego śmierć jest dla nas niepowetowaną stratą – ciągnął Stary, kiedy za Leszkiem zamknęły się drzwi. – Proszę wszystkich, abyśmy minutą ciszy uczcili jego odejście.

Stary wydawał się szczerze zmartwiony, choć wszyscy wiedzieli, że nie darzyli się z profesorem Franczakiem szczególną sympatią. Franczak był emerytowanym profesorem i byłym szefem Kliniki Chorób Zakaźnych w „Błęńskiej”. Medycyna była jego powołaniem, więc główną treść jego życia wypełniała praca naukowa i pacjenci. Jego następcą, na którego wybór nie miał wpływu, był dla niego wielkim rozczarowaniem. Nie mógł znieść kontaktów Starego ze światem firm

farmaceutycznych. I nie tylko farmaceutycznych – nazwisko Starego przewijało się w Krajowym Rejestrze Sądowym wielokrotnie. Był członkiem zarządów wielu fundacji o szlachetnych nazwach, takich jak „Komitet Pomocy Ubogim Dzieciom”, „Edukacja Jest Najważniejsza” czy „Tolerancja i Wolność”, które w istocie miały tyle samo wspólnego z ubogimi dziećmi, co z edukacją czy tolerancją. Czyli niewiele.

Po odprawie Marta długo próbowała odnaleźć Leszka, ale ten rozplynął się w powietrzu. Nie odbierał również jej telefonów. Dała za wygraną i wyszła ze szpitala. W drodze do domu zadzwoniła do Michała – obiecał skończyć pracę wcześniej i przyjść po osiemnastej.

Kiedy brała prysznic, praktycznie zasypiała na stojąco. Nawet nie przyszło jej do głowy, by zjeść śniadanie. Ledwie dowlekła się do łóżka, zapominając o zaciągnięciu zasłon zaciemniających. Ale nawet ostre lipcowe słońce i uliczny gwar Mokotowskiej, dobiegający zza otwartego w sypialni okna, nie przeszkodziły jej w twardym i nieprzerwanym śnie. Dopiero o piętnastej dwadzieścia obudził ją klakson jakiegoś kierowcy, zniecierpliwionego rozpoczynającym się ulicznym korkiem.

Jęknęła zrezygnowana. Spała pięć godzin, czyli jak na nią długo, ale i tak wstała niewyspana. Nie było to nic nowego. Nieregularny rytm snu i czuwania powodował, że nawet dziesięciogodzinny sen nie przyniósłby ukojenia. Od razu po przebudzeniu poczuła głód – ostatni posiłek jadła ponad dobę wcześniej. W oczekiwaniu na tosty obejrzała swoje ulubione rośliny. Jej monstera Monkey Mask rosła jak szalona i wkrótce będzie musiała sprawić jej nową podpórkę. Epipremnum również nie mieściło się już na owiniętym rafią paliku i wymagało przesadzenia. Nie wiedziała, skąd wzięć na to czas. Prawie każdą wolną chwilę poza pracą wypełniał jej ostatnio Michał.

Do osiemnastej zostało jeszcze trochę czasu i Marta otworzyła laptop, żeby dokończyć artykuł na temat zastosowania elastografii wątroby u pacjentów z zakażeniami wirusami hepatotropowymi. Szaleństwo zdobywania punktów za artykuły nie oszczędziło środowiska medycznego i jeśli chciała w przyszłości zrobić habilitację, musiała pamiętać o słynnym powiedzeniu „publikuj lub gin”. Świat nauki stał się przy tym bezwzględny – przestała liczyć się jakość pracy, ważne było, by znaleźć temat kontrowersyjny lub modny, dzięki czemu rosła szansa na większą liczbę punktów i cytowań. Dochodziło przy tym do nadużyć, które były mocno ryzykowne – niektórzy „naukowcy” celowo publikowali niedorzeczne artykuły, by zbierać gromy w postaci krytycznych odpowiedzi i sprostowań w innych czasopiśmie. Te głosy krytyki były cenne i pożądane, bo automatycznie zwiększały liczbę cytowań autorom bredni. Reguła „nieważne, jak mówią, byle mówili” lotem błyskawicy przeniosła się ostatnio na grunt nauki.

System był skomplikowany i zawiły dla ludzi, którzy nie byli jego częścią, a więc dla pacjentów. Jeszcze kilka lat temu tych, którzy naczytali się w Internecie nieprawdziwych informacji na temat swoich chorób, Marta odsyłała do wiarygodnych źródeł. Teraz nie było już takie oczywiste, które źródła są wiarygodne. Nawet artykuły, które wydawały się na pierwszy rzut oka naukowe, po uważnym przeczytaniu okazywały się stekiem bzdur. Wiedza, jak odróżnić rzetelny artykuł od medycznego chłamu, stała się dostępna tylko garstce wtajemniczonych i obytych. Martę przestawały więc dziwić pytania pacjentów o to, czy boreliozę przenoszą komary albo czy jest to choroba weneryczna. Internet pełen był artykułów „naukowych”, które rozpowszechniały temu podobne brednie pod szyldem „sprawdzonych badań medycznych”.

Dźwięk domofonu oderwał Martę od tworzonej właśnie w Excelu tabeli. Kiedy otworzyła drzwi, Michał jak zwykle zasypał ją pocałunkami.

– Stęskniłem się za tobą – wymruczał.

– A ja nie miałam czasu za tobą tęsknić. Miałam okropny dyżur.

– Biedna. – Pocałował ją w ucho. – Chcesz gdzieś wyjść?

– Tak, coś bym zjadła. Przez cały dzień jadę na dwóch tostach z pomidorem.

– Nie śpisz, nie jesz. Nie wiem, jak lekarz może prowadzić tak niezdrowy tryb życia.

– W tej pracy nie da się inaczej, przecież wiesz...

– To czemu jej nie zmienisz?

– Zaczyna się...

– Nie każę ci wyjeżdżać w Bieszczady i uprawiać lawendę. Przecież możesz pracować w poradni. Rozmawialiśmy o tym.

– Mogę, ale nie chcę. Lubię pracę w szpitalu.

– Nawet za cenę własnego zdrowia?

– Powiedział policjant, do którego w zeszłym tygodniu strzelano.

Michał westchnął.

– Przyniosłem ci to, o co prosiłaś – zmienił temat.

– Tak? Pokaż!

– Jest tego sporo, przyniosłem tylko część. Reszta będzie później. – Wyszedł na korytarz i po chwili wrócił z kilkoma pękatymi teczkami.

– Czytałeś?

Skinął głową.

– No i?

– No i porozmawiamy, jak sama się z nimi zapoznasz. Ale nie teraz. Zrób to, jak mnie nie będzie. Czytanie tych dokumentów wymaga skupienia. Teraz zabieram cię na kolację. Na co masz ochotę?

– Na coś indyjskiego. Ale gdzieś blisko. Czyli U Chmielarzy albo Piec Tandoor.

– Po drodze są Vege Gary.

– Nie cierpię Vege Garów. Podają za dużo warzyw.

– Marta, jesteś najdziwniejszą wegetarianką, jaką znam.

– Resztę komplementów powiesz mi przy kolacji. Teraz się pośpiesz. Rozmowa o jedzeniu sprawiła, że zaczynam umierać z głodu.

– Sama się pośpiesz. Ja już jestem gotowy do wyjścia. – Michał pocałował Martę w czubek głowy. – W takim razie chodźmy do Chmielarzy. Po pierwsze, mają dobre piwo, po drugie, po drodze wstąpimy do mnie. Zabiorę piżamę.

– Mówiłam ci, że jedną mógłbyś zostawić tu na stałe.

– Przecież mieszkam blisko.

– Poważnie? Znowu to samo. Nie bój się, twoja piżama w mojej szufladzie wcale nie znaczy, że zaraz musisz się tu wprowadzić. To tylko piżama. Ze szczoteczką do zębów nie miałaś takich problemów.

– Źle to interpretujesz.

Marta przewróciła oczami.

– Dobra, nie chcesz, to nie. Najwyżej będziesz spał nago. Jeżeli o mnie chodzi, to nie mam nic przeciwko. Nawet tak wolę. – Uszczypnęła go lekko w pośladek. Odwzajemnił uszczypnięcie. Parsknęła śmiechem i założyła przez ramię zieloną listonoszkę. Piątkowy wieczór zapowiadał się cudownie.

ROZDZIAŁ 4

– Marta, obudź się! Dzwoni twój telefon. – Michał potrząsał jej ramieniem.

– Co? Która godzina? – Marcie śniło się właśnie, że była na dyżurze i wzywano ją do pacjenta. Kiedy otworzyła oczy we własnej sypialni, poczucie dezorientacji było obezwładniające.

– Dziesięć po dziewiątej.

Marta sięgnęła do szafki nocnej, ale zanim wzięła do ręki telefon, Khadja Nin przestała zawodzić swoje Sambolera. Lepiej, żeby ten, kto odważył się zadzwonić do niej o tak wczesnej porze w weekend, kiedy nie miała dyżuru i odsypiała nocę spędzone w „Błęńskiej”, miał dobry powód.

– Zapomniałam go wyciszyć. A ludzie to mają chyba jakiś radar. Zawsze wiedzą, kiedy mogą spać dłużej, i właśnie wtedy dzwonią.

Jak gdyby na potwierdzenie tych słów w telefonie znów rozbrzmiała Sambolera. Marta spojrzała na wyświetlacz i zamarła. To była Dorota. Jej najlepsza przyjaciółka nigdy nie dzwoniła o tej porze. Coś musiało się wydarzyć.

– Dorota?

– Marta, czy Leszek kontaktował się dzisiaj z tobą?

– Leszek? Dlaczego miałby się kontaktować? Co się stało?

Leszek Skalski, kolega Marty z oddziału zakaźnego, spotykał się z Dorotą od kilku miesięcy. Marta go lubiła, ale nie utrzymywała z nim relacji towarzyskich. Wszyscy troje mieli za to bliskie relacje zawodowe – Dorota także była lekarzem, specjalistą medycyny sądowej oraz patomorfologii i – jak pozostała dwójka – pracowała w „Błęńskiej”.

– Miał być u mnie ponad godzinę temu. Zaplanowaliśmy weekend na Mazurach, mamy na dzisiaj rezerwację w hotelu. Zadzwonił do mnie, kiedy wyjeżdżał z mieszkania. To tylko dwadzieścia minut jazdy samochodem, a rozmawialiśmy przeszło półtorej godziny temu. Teraz ma wyłączony telefon, a ja odchodzę od zmysłów!

– Spokojnie, na pewno zjawi się cały i zdrowy. Może złapał gumę i padła mu komórka. Bateria od telefonu lubi siadać w takich momentach.

– Obyś miała rację. Od wczoraj był jakiś dziwny. Czy stało się coś w pracy?

– Zmarł Franczak, dowiedzieliśmy się o tym na odprawie. Leszek rzeczywiście jakoś dziwnie zareagował. Bardzo emocjonalnie. Rozmawiał o tym z tobą?

– Nie, o śmierci Franczaka dowiedziałam się od dziewczyn z sekretariatu. Myślisz, że to ma jakiś związek?

– Z jego spóźnieniem? No coś ty, niby jaki? Zobaczysz, że zjawi się cały i zdrowy.

– A gdybym podała ci numer rejestracyjny jego samochodu, poprosiłabyś Michała, żeby sprawdził, czy policja nie przyjęła jakiegoś zgłoszenia o wypadku?

– Jasne, podaj ten numer. – Marta zapisała go na kartce. – Porozmawiam z Michałem i oddzwonię, dobrze?

Streściła Michałowi przebieg rozmowy z Dorotą.

– Prawdopodobnie utknął gdzieś w korku albo ma problemy z samochodem, Dorota to panikara. Ale proszę cię, sprawdź tę rejestrację. – Wręczyła mu kartkę.

Michał wykonał dwa krótkie telefony.

– Nie, nie wiedzą nic na temat wypadku, w którym uczestniczyłby ten samochód.

– To chyba dobra wiadomość?

– Chyba tak.

Marta wykręciła numer Doroty i powtórzyła jej informacje, które dostała od Michała.

– Nie ma za co, Dorota. Dobrze, powiem mu. A kiedy Leszek zjawi się już u ciebie cały i zdrowy, proszę, daj znać. I kopnij go ode mnie w zadek, jeśli okaże się, że całe to zamieszanie to jego wina.

Odłożyła telefon na szafkę nocną i westchnęła. Nie zmartwiła się zniknięciem Leszka, naprawdę wierzyła, że lada chwila zjawi się u Doroty. Ale na ponowny sen nie miała żadnych szans, choć do uczucia wyspania brakowało jej przynajmniej dwóch dodatkowych godzin w miękkiej pościeli.

– Dorota kazała ci podziękować.

Michał wkładał spodnie. Również wyglądał na przedwcześnie obudzonego.

– Czy Leszek często wykręca takie numery?

– Nigdy. Jest pedantycznie punktualny, prawie jak ja.

– W takim razie mam nadzieję, że nic poważnego się nie stało.

– Ja też.

Marta wstała z łóżka, rozsunęła zasłony zaciemniające i otworzyła okno. Gwar ulicy Mokotowskiej momentalnie wtargnął do środka, a wraz z nim świeżość i przyjemny chłód rozpoczynającego się dnia.

– Co chciałbyś zjeść na śniadanie? – spytała, choć wiedziała, jaka padnie odpowiedź. Nigdy nie odpowiadał inaczej.

– Ciebie. – Przyssał się do jej ucha. Wybuchnęła śmiechem.

– Wolisz omelet z ziemniakami czy jajecznicę z kurkami? – Nie dawała za wygraną.

– Jajecznicę z kurkami. Robię się głodny na samą myśl o takim śniadaniu.

Kiedy wyjmowała z szafki patelnię, w drzwiach kuchni stanął Michał. Miał niewyrażną minę.

– Zadzwoił kolega z drogówki. Powiedział, że znaleźli samochód Leszka. Leżał w rowie przy trasie, którą podała Dorota. Dachował.

Patelnia w rękach Marty zaczęła nagle ważyć tonę.

– Jak on się czuje? Jest ranny?

– I tu następuje najdziwniejsza część historii. Leszka nie znaleziono w samochodzie.

– Jak to? Gdzie w takim razie jest?

– Nie wiadomo. Zniknął. Nigdzie go nie ma. Rozpłynął się w powietrzu. W samochodzie nie było również żadnych śladów krwi, co by znaczyło, że raczej nic poważnego mu się nie stało.

– Może był w szoku po wypadku i poszedł w głąb lasu, a teraz błąka się gdzieś, nie mogąc znaleźć drogi powrotnej?

– Wyślemy tam paru ludzi z psami, przeszukają teren. Ale póki co niczego nie wiemy. Zadzwoisz do Doroty? Nie jest rodziną, nie możemy jej oficjalnie powiadomić.

Wiadomość o wypadku Leszka Dorota przyjęła, o dziwo, ze względny spokojem.

– Wiedziałam, że coś się stało. Po prostu wiedziałam. Ale jeśli nie ma go w samochodzie, to znaczy, że żyje, prawda? Bo jak inaczej mógłby się z niego wydostać.

Może zatrzymał przejeżdżający samochód i pojechał do najbliższego szpitala? Który jest najbliższy?

– Chyba nasz, „Błęńska”.

– W takim razie zadzwonię na SOR i spytam, czy go nie przyjęli. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie skontaktował się ze mną i nie dał znać, że wszystko z nim w porządku.

– Nie wiem, Dorota. Naprawdę nie wiem. Michał pojedzie na miejsce wypadku i dopilnuje, żeby poszukiwania przebiegały, jak należy. Jeśli dowie się czegoś więcej, da ci znać.

– Dziękuję. Chciałabym coś zrobić, to bezczynne czekanie mnie wykończy, ale naprawdę nie mam pojęcia... – Głos Doroty zaczął się łamać.

– Chcesz, żebym do ciebie przyjechała?

– Nie, w niczym mi nie pomożesz. Będziemy gapić się na siebie, rozmawiać tylko o tym wypadku i snuć domysły, co mogło się wydarzyć. Lepiej się czymś zajmę. Posprzątam mieszkanie. Miałam to zrobić po powrocie, ale i tak z tej soboty nic już nie będzie.

– Może chociaż przypilnuję Adasia?

– Zawiozłam go wczoraj do dziadków. Sobotą i niedzielą mieliśmy spędzić tylko we dwoje.

– Gdybyś zmieniła zdanie, dzwoń.

Marta pożegnała Dorotę, a niedługo potem również Michała, który na jej prośbę pojechał obejrzeć miejsce wypadku oraz podpytać kolegów o szczegóły sprawy. Została w mieszkaniu sama. To był pierwszy weekend tego lata, który oboje z Michałem mieli wolny i cieszyli się, że spędzą go wspólnie. Nie mieli żadnych konkretnych planów, ale to również miało swój urok – kiedy ktoś, tak jak oni, ma życie wypełnione pracą i obowiązkami, każda chwila spędzona bez spoglądania w grafik bywa bezcenna.

Wbiła się w fotel i wpatrzyła w obraz wiszący nad komodą – Spotkanie Mirosława Nowińskiego. Dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, pijących białe wino i ewidentnie zmierzających ku erotycznemu zakończeniu wieczoru. Mogła im jedynie pozazdrościć. Znała Michała na tyle, by wiedzieć, że jego wyjazd nie skończy się na ocenie sytuacji. Miała nadzieję, że Leszek szybko się odnajdzie, bo jeśli poszukiwania z jakiegoś powodu się przeciągną, z całą pewnością przeciągnie się również nieobecność Michała.

Nastawiła pranie, podlała kwiaty i odkurzyła mieszkanie. Wreszcie wzięła do ręki pierwszą teczkę ze stosu dokumentów dotyczących śledztwa w sprawie morderstwa rodziców. Teczki, choć przyniesione przez Michała na jej własną prośbę, teraz drażniły ją samą swoją obecnością. Wiedziała, że kiedyś musi zabrać się do czytania, ale ciągle odkładała ten moment na później. Odwiązała sznurek i przeleciała wzrokiem pierwsze zapisane strony tylko po to, by zaraz zawiązać go z powrotem. Natrafiła na zapis rozmowy między psychologiem a pięcioletnią sobą. A raczej próbę rozmowy, bo po tym, jak została świadkiem śmierci własnej matki, na długo przestała mówić. Nie. Na taką lekturę zdecydowanie nie czuła się w tej chwili gotowa.

Sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do Kamili. Rozmowa z siostrą była jak wizyta u psychoterapeuty. Zazwyczaj, bo Kamila potrafiła być bezlitosna dla życiowych błędów, które Marcie zdarzało się popełniać. Wybierając numer z listy, przypomniła sobie, że siostry od kilku dni nie ma w Warszawie – razem z mężem i córką spędzała wakacje w

Hiszpanii. Odłożyła komórkę – nie chciała przeszkadzać Kamili w nicnierobieniu. Niech chociaż ona cieszy się urlopem.

Ponownie wybrała numer Doroty.

– Zaraz u ciebie będę. Ale... Nie chcę tego słuchać. Czekaj na mnie.

Zamówiła taksówkę i po trzydziestu minutach zapukała do drzwi Doroty. Tak jak się tego spodziewała, przyjaciółka miała opuchnięte oczy.

Poza zapłakaną twarzą również ubiór Doroty zdradzał, że przechodziła ciężkie chwile. Miała na sobie dziurawe legginsy i bluzę dresową włożoną na lewą stronę. W mieszkaniu panował nieskazitelnym porządek. Odkąd poznały się wieki temu, Dorota tak samo reagowała na stres – sprzątając.

– Jadłeś coś? Może ugotuję obiad?

– Nie chcę nic jeść. Nie jestem głodna. Zresztą jak mogłabym jeść, kiedy z Leszkiem dzieje się coś złego!

– Przecież nie wiemy, co się z nim dzieje.

– No raczej nic dobrego, skoro jeszcze się nie odezwał.

– Nie możesz od razu panikować i snuć czarnych scenariuszy. Nie ma go w żadnym szpitalu, policja sprawdziła wszystkie w okolicy.

– Marta, ja też je sprawdziłam. Obdzwoniłam wszystkich znajomych, żaden nic nie wie. Objechałam Warszawę, przetrząsając miejsca, w których Leszek mógłby się zatrzymać. Nie ma po nim śladu. Przecież nikt tak nie znika, na miłość boską! Dlatego uważam, że tam się stało coś strasznego. Ja to czuję!

– Tak jak czułaś, że Adaś nie obudzi się z narkozy, kiedy wycinali mu wyrostek?

– To było co innego.

– Albo tak jak czułaś, że guzek w twojej piersi to nowotwór?

Dorota znowu wybuchnęła płaczem.

– Przepraszam, chyba nie pomagam. – Marta przytuliła ją. Od czasu tragicznej śmierci swojego męża, Norberta, Dorota miała tendencję do pesymistycznych wizji losów swoich oraz bliskich jej osób.

– No, nie pomagasz – wychlipała Dorota.

– Słuchaj, wyjdźmy gdzieś z mieszkania. Takie siedzenie i czekanie, nie wiadomo na co, nic nie zmieni. Wyszorowałaś tu już wszystko. Nawet dziurki w gniazdkach elektrycznych.

– A co, jeśli on wróci? A mnie nie będzie?

– To zadzwoni. Zresztą ma przecież klucze do twojego mieszkania.

– Ale ja nie mam ochoty nigdzie wychodzić. Chcę tu zostać. Sama. – Zaakcentowała ostatni wyraz. – Przepraszam, Marta, ale naprawdę tego chcę najbardziej.

– Nie ma mowy. Nie mogę cię tak zostawić. Zróbmy coś razem. Coś, co odwróci twoją uwagę od Leszka. Na przykład pójdźmy do kina. Tak, to świetny pomysł. Co ty na to?

– To bardzo zły pomysł. Nie mam najmniejszej ochoty na żadne kino. Ale wiesz, co jest świetnym pomysłem? Żebyś wróciła do siebie i zostawiła mnie w spokoju.

– Przezań. Jestem tu tylko dla twojego dobra. Taki babski wieczór dobrze ci zrobi.

Dorota nie wydawała się ani trochę przekonana, jednak dla świętego spokoju dała się namówić na wspólne wyjście.

Podjechały pod pobliskie centrum handlowe, zaparkowały samochód na ogromnym parkingu i weszły do środka. W multipleksie grali właśnie jakiś irański film

obyczajowy. Marta zmarszczyła brwi. Jak na multipleks mieli tu dziwny repertuar. Liczyła na niezobowiązującą hollywoodzką komedię, ale następny seans był dopiero za godzinę. Przeszłowanie z nogi na nogę i gapienie się na obściskujących się po kątach nastolatków przez kolejne sześćdziesiąt minut nie było dobrym pomysłem. Kupiły więc bilety oraz popcorn i zasiadyły na swoich miejscach. Film był o małżeństwie, dwojgu kochających się ludziach. On był buntownikiem, organizującym protesty na ulicach Teheranu, za co został aresztowany. Ona wspierała go we wszystkim, co robił: wraz z nim czytała zakazane książki i wiersze, rozlepiła ulotki na miejskich murach, organizowała w domu nielegalne spotkania. Film był świetny, ale kiedy nastąpiła scena, w której męża torturowano w okrutny sposób, podczas gdy niczego nieświadoma żona czekała niecierpliwie na jego powrót, Dorota zupełnie się rozkleiła. Marta ledwie dała radę wyprowadzić ją z kina.

Siedziała teraz w samochodzie Doroty, która nie była w stanie prowadzić, i czekała, aż przyjaciółka dojdzie do siebie.

Nagle w szybę od strony Doroty ktoś zastukał. Obie z zaskoczenia podskoczyły na swoich miejscach i spojrzały w tamtym kierunku. Za szybą stał bezdomny.

– Pani poratuje grosikiem, od dwóch dni nic nie jadłem ani nie piłem.

Jego stan wskazywał na to, że z tym drugim to nie była prawda.

– Kiedy ja nie mam przy sobie pieniędzy. – To akurat była prawda. Obie miały tylko karty kredytowe.

– Pani znajdzie jakiegoś grosika, widzi pani, że człowiek w potrzebie. Nie będzie pani taka.

Dorota otarła łzy i schyliła się do schowka. Chwilę pogrzebała i wyjęła stamtąd pięćdziesiąt groszy.

– Proszę. Mam tylko tyle.

Bezdomny wziął monetę w dwa palce, przyjrzał się jej z bliska, po czym ze złością przejechał nią po bocznych drzwiach samochodu, rysując lakier.

– W dupę se wsadź ten bilon, głupia krowo. – Splunął w stronę Doroty.

Marta wyskoczyła z samochodu i posłała w jego stronę soczystą wiązanekę, ale męczyzna oddalił się szybko, na pożegnanie pokazując środkowy palec.

Dorota na nowo rozplakała się jak bóbr, opierając głowę na kierownicy.

– Chcę do domu, zawieź mnie do domu, chcę zostać sama!

Marta pomogła jej przenieść się na fotel pasażera, a sama przesiadła się na miejsce kierowcy. Kiedy dotarły na osiedle Doroty, odprowadziła ją do mieszkania i poczekała, aż przyjaciółka położy się na kanapie. Następnie zamówiła sobie taksówkę, nakazując Dorocie, by dzwoniła, jak tylko będzie czegoś potrzebować.

Kiedy wracała do domu, w jej kieszeni rozbrzmiała Khadja Nin. Dzwonił Michał, aby powiedzieć, że nadal nie natrafili na żaden ślad Leszka. Tak jak się spodziewała, Michał nie wiedział jeszcze, kiedy wróci z pracy. Poza zniknięciem Leszka pojawiło się kilka innych spraw, którym chciał się przyjrzeć, skoro i tak poświęcił wolną sobotę.

Z ulgą weszła do mieszkania. Zjadła obiad, obejrzała program o pielęgnacji żywoptotów, potem dokument o poławiaczach krewetek, a po nim kolejny – o życiu na wielkich statkach wycieczkowych. Co chwila spoglądała przy tym w stronę stosu dokumentów dotyczących sprawy zabójstwa swoich rodziców. Wreszcie dała za wygraną, wyłączyła telewizor i, głęboko westchnąwszy, zaczęła czytać.

ROZDZIAŁ 5

„Żeby chociaż niedziela okazała się znośna” – pomyślała Marta, otwierając oczy. Obok leżał Michał, głęboko pogrążony we śnie. Nie chciała go budzić, zeszłej nocy wrócił późno. Czuła, jak ostrożnie wślizgnął się do łóżka obok niej. Tak naprawdę wcale nie spała, jedynie udawała. Nie miała ochoty na wzajemne opowieści o tym, jak beznadziejnie spędzili sobotę. Poza tym była przygnębiona również z innego powodu – przeczytała akta sprawy morderstwa rodziców i nie podobało jej się to, co w nich znalazła.

Po cichu wyszła na korytarz. W drzwiach obejrzała się i spojrzała na łóżko – Michał nawet się nie poruszył.

Na śniadanie postanowiła przygotować zwykłe tosty z serem. Krótco po tym, jak włączyła ekspres do kawy i pokroiła w plasterki ser, Michał stanął w drzwiach.

– Nadal nie wiadomo, co się stało z Leszkiem? – spytała, choć znała odpowiedź. Gdyby Michał dowiedział się czegoś, zadzwoniłby jeszcze wczoraj.

– Nie. Nie wiemy kompletnie nic. Szukamy go wszędzie, ale przepadł jak kamień w wodę. Czy ty albo Dorota znacie jakieś szczegóły z jego życia prywatnego, które ułatwiłyby nam poszukiwania? Albo pamiętacie, czy zdarzyło się coś szczególnego, zanim zniknął?

– Nie, już ci mówiłam. Ostatni raz widziałam go w głównej dyżurce lekarskiej, kiedy tak dziwnie zareagował na wiadomość o śmierci Franczaka. Chciałam z nim porozmawiać, ale nigdzie nie mogłam go znaleźć. Wiem, że tego dnia był w pracy, ale już się na niego nie natknęłam. Od razu po odprawie poszłam do domu, byłam po dyżurce. Z dziwnych wydarzeń nic innego nie przychodzi mi do głowy. No, może poza spotkaniem Towarzystwa Naukowego Chorób Zakaźnych kilka dni temu, na którym on i Franczak wdali się w potyczki słowne z paroma osobami. – Marta w kilku zdaniach streściła przebieg spotkania. Kiedy skończyła opowieść, wyjęła tosty z tosterki i położyła je na talerzach.

– Hm... – Michał zamyślił się przez chwilę. – To może być ważne... Albo i nie. Szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym myśleć.

Przez moment w milczeniu przeżywali śniadanie.

– Kto może wiedzieć o Leszku coś więcej? Jakaś rodzina? – przerwał ciszę Michał.

– Z tego, co wiem, jest jedynakiem. A jego rodzice nie żyją.

– Jacyś znajomi, poza tymi ze szpitala?

– O to musisz pytać Dorotę. Będzie wiedziała więcej.

– Już pytałam. Ale najbliżsi niekoniecznie muszą być najlepiej zorientowani.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Coś o tym wiedziała.

– Wczoraj późno wróciłeś. Stało się coś jeszcze, poza zaginięciem Leszka? – zmieniła temat.

Przez chwilę wyraźnie zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Tak, znaleźliśmy zleceniodawcę Bestii z Mokotowa.

Kubek, którym ogrzewała sobie dłonie, zaczęła nagle ją parzyć. Odstawiła go na blat stołu i wyprostowała się na krześle. Bestia z Mokotowa był porywaczem i seryjnym mordercą młodych kobiet. Na dodatek uśmiercał je w niezwykle brutalny sposób,

filmując ich cierpienia. Kilka miesięcy temu Marta sama padła jego ofiarą. Tylko cudem zdołała się uwolnić i przeżyć. Kiedy była przez niego przetrzymywana, porywacz opowiedział jej o motywach, które nim kierowały. Również o tym, że działał na zlecenie tajemniczego mężczyzny, który słono płacił za nagrania, na których młode kobiety były torturowane i, na koniec, zabijane.

– Słyszałaś kiedyś o filmach *snuff*? – spytał Michał, bacznie jej się przyglądając.

– Nie, nie mam pojęcia, co to jest.

– To filmy, na których zarejestrowano czyjaś śmierć. Tyle że nieprzypadkowo.

– Czyli jak?

– Czyli celowo zabito człowieka, by nagrać jego śmierć. A potem sprzedać nagranie.

– Właśnie o czymś takim opowiadał Bestia. Myślałam, że wymyślił tę historię, żeby usprawiedliwić swój obłąd.

– Nie, takie rzeczy dzieją się naprawdę.

– Ale po co komuś takie nagrania? Po co ktoś miałby za to płacić? Przecież to kompletnie chore.

– Marta, a po co komuś pornografia dziecięca? Po co brutalne nagrania gwałtów? Zdziwiłabyś się, ile osób wali konia na widok roztrzaskanej czaszki. W Internecie pełno jest tego gówna. Na szczęście prawie wszystko to robota techników od efektów specjalnych. Produkowane w celach komercyjnych. Każde nowe nagranie, które pojawi się w sieci, wymaga jednak ustalenia, czy jest autentyczne. Praktycznie nigdy nie jest. Ale to nie znaczy, że problem nie istnieje. Autentyczne filmy *snuff* kręci się na zamówienie. Funkcjonują w obiegu zamkniętym i nie są przeznaczone dla szerokiej publiki. Nie znajdziesz ich na popularnych serwisach do odtwarzania filmów.

– Czyli gdzie, na jakiejś specjalnej stronie z filmikami tylko dla milionerów?

– Coś w tym stylu. To faktycznie materiał dla bogatych zboków albo takich z koneksjami. Najczęściej jednak zapisywane są na jakimś nośniku, tylko w jednej kopii, przekazywane jak relikwia. Do nas takie rzeczy trafiają wyłącznie przez przypadek, jak teraz, przy okazji sprawy Bestii.

Marta przypomniała sobie filmy, które znalazła w telefonie Bestii. Widziała zaledwie kilka sekund, ale i tak miała po tym koszmary. Współczuła Michałowi, który musiał to oglądać.

– Jak udało się wam znaleźć tego zleceniodawcę? – Nie sądziła, aby Michał zdradził jej szczegóły śledztwa. Zwykle tego nie robił. Ale przecież jakieś informacje jej się należały. Była w tę sprawę zamieszana. To w końcu dzięki niej Bestia nigdy nie zabił ponownie.

– Kluczem okazała się informacja od Bestii o tym, że ostatnie ofiary nie były anonimowe. Dostawał od zleceniodawcy ich nazwiska, a więc tego faceta musiało coś z kobietami łączyć. I łączyło. Ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, kto za tym wszystkim stoi. W komputerze Bestii znaleźliśmy wiele cennych informacji, które znacząco to ułatwiły. Jak zresztą parę innych rzeczy, których się tam nie spodziewaliśmy...

Marta nie spytała jakich. Jeśli sam z własnej woli nie przekazał jej jakiejś informacji, nie było większych szans, by mogła ją od niego wyciągnąć.

– Kim on jest? – Zadała pytanie, nie licząc na odpowiedź.

– To akurat mogę ci powiedzieć. Ta informacja ci się należy. – Wyjął telefon, chwilę przy nim pomajstrował i pokazał Marcie zdjęcie otyłego, starszego mężczyzny. – To on.

– Czyli kto?

- Naprawdę go nie kojarzysz? Aleksander Drej.
- To nazwisko nic mi nie mówi. Zdjęcie też nie. Powinam go znać?
- A „czyściciel kamienic”? Albo „król dzikiej reprzywatyzacji”?

Marta uniosła brwi. O tym „czyścicielu kamienic” słyszeli chyba wszyscy mieszkańcy Warszawy.

- Serio? To naprawdę on? - Marta wzięła do ręki telefon i z zainteresowaniem przyjrzała się postaci ze zdjęcia. - Wygląda na kompletnego buca.

- Do zakupu warszawskiej kamienicy, oficjalnie za wartość wakacji w dobrym kurorcie, nie potrzebujesz inteligencji. Wystarczy znać kogo trzeba. I umiejętnie wdrażać w życie stare przysłowie - „małe prezenty czynią wielkich przyjaciół”. Choć, rzeczywiście, w tym przypadku jego prezenty musiały być trochę większe.

- Owszem, słyszałam o nim. Jasne, że słyszałam... Zaraz, czy to czasem nie on miał ten głośny proces kilka tygodni temu?

- Główny zarzut to wyłudzenie poświadczenia nieprawdy w dokumencie sądowym w związku z reprzywatyzacją kamienicy przy Kruczej. Dla faceta, który za bezcen kupił dziesięć takich kamienic i który znęcał się nad ich lokatorami, również fizycznie. I który podejrzewany jest o przyczynienie się do śmierci dwójki z tych lokatorów. Jedyna rzecz, jaką udało mu się udowodnić, to kłamstwo. Fajnie, co?

- Jakoś specjalnie mnie to nie dziwi. - Marta nie przestawała wpatrywać się w zdjęcie. - To teraz dojdą kolejne...

- Nie dojdą.

- Czemu nie?

- Zapominasz, że nasze śledztwo było nieoficjalne. Żaden z dowodów, które znaleźliśmy, nie może zostać wykorzystany w sądzie.

- A co to za dowody?

- Nie mogę zdradzić ci szczegółów. Zresztą, to skomplikowane. W każdym razie te nagrania nie są aż takim zaskoczeniem, jeśli weźmie się pod uwagę to, czego się o Dreju dowiedzieliśmy.

- My, policja, czy my, Wyleczeni?

- Tyle razy...

- Wiem, wiem... mówiłeś mi, żeby was... Nas?... tak nie nazywać. To przynajmniej powiedz, czego się dowiedzieliście.

- Drej lubi być brutalny. Ma na koncie pobicia prostytutek. Jedna do dzisiaj nie widzi na prawe oko. Dziewczyny niechętnie przyjmują od niego zlecenia, choć płaci lepiej niż dobrze.

- Rozumiem, że za te pobicia też nigdy nie poniósł kary?

- Takie sprawy Drej załatwia inaczej. Hojnością. Ta z okiem dostała kawalerkę na Pradze. Popenił jednak błąd i zaczął wykazywać niezdrowe zainteresowanie kobietami spoza branży.

- Przypadkowymi?

- W tym sęk, że nie. Jedna z nich pracowała w butikiu na parterze twojej kamienicy.

- W Le Madame? Co to miejsce ma wspólnego z Drejem?

- Należy do niego. A raczej do jego żony. Ale to zwykła pralnia.

- Co ty powiesz? A ja nawet zastanawiałam się, jak to możliwe, że taki sklep jest w stanie utrzymać się, biorąc pod uwagę, ile na Mokotowskiej wynoszą czynsze.

Przecież tak na oko to oni tam handlują trzema parami butów i pewnie tyłoma sukienkami. W tym butiku prawie nie ma towaru ani klientów.

– To teraz już wiesz.

Marta w zamyśleniu pokiwała głową.

– Czyli macie pewność, że to Drej płacił za nagrania?

– Tak.

– A ten drugi?

– Jaki drugi?

– Bestia powiedział, że klient przyprowadził znajomego. Kim był ten znajomy?

– Nie wiemy. I być może nigdy się nie dowiemy. Nie mamy żadnej informacji na jego temat.

– A co się stanie z Drejem?

– Jest pacjentem „Błęńskiej”.

– Jeszcze nie skończyłam z Schulzem, a ty podsyłasz mi już następnego?

– Tym razem cię nie potrzebuję. Mówię ci o nim tylko dlatego, że jesteś w tę sprawę zamieszana.

– Chcesz mi powiedzieć, że macie w „Błęńskiej” kolejnego Wyleczonego?

– Przecież wiesz, że na to pytanie ci nie odpowiem.

– To powiedz przynajmniej, co się stanie z Drejem.

– To już nie jest twój problem.

Zacisnęła usta i sięgnęła po kubek.

– Nie musisz się boczyc. To dla twojego bezpieczeństwa. Nie powinnaś wiedzieć za dużo.

– Nie boczę się.

– Przecież widzę. Pijesz herbatę z mojego kubka. W swoim masz kawę.

Bez słowa zamieniła kubki.

Michał nadal przyglądał się jej z kamienną twarzą.

– Czytałaś akta sprawy morderstwa rodziców? – Jak zwykle trafił bezbłędnie.

– Tak, czytałam.

– I?

– Co i?

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie ma o czym, to jakiś nonsens.

– Która część?

– Wszystkie. Całość. Mój ojciec nie prał brudnych pieniędzy w aferze FOZZ.

– To podejrzenie.

– Główne, z tego, co zdążyłam zauważyć. Mój ojciec nigdy nie miał nic wspólnego z jakimś Funduszem Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Był księgowym w firmie handlowej.

– Handlującej czym?

– Nie wiem, tym i owym. Miałam pięć lat, kiedy go zabito. Właściwie tylko dzięki zdjęciom nadal pamiętam, jak wyglądał. No to skąd mogę wiedzieć, co dokładnie robił.

– To dlaczego zakładasz, że robił coś innego, niż napisano w tych papierach?

– Przecież FOZZ to jakiś przekręt stulecia, głośna afera. Moja babcia na pewno wspominałaby coś na ten temat. Gdyby było o czym wspominać.

– Sama mówiłaś, że babcia nigdy nie rozmawiała z tobą na temat przeszłości. Że po morderstwie rodziców przez rok nie odezwałaś się do nikogo słowem, a twoje życie składało się głównie z konsultacji psychiatrycznych i psychoterapii. Nie chciałaś rozdrapywać starych ran. To twoje własne słowa.

– To niezupełnie prawda, że nigdy nic nie mówiła. Fakt, rzadko ten temat poruszała, ale przecież to od niej wiem, że morderstwo popełniono na tle rabunkowym.

– Zginęły sztuczne perły twojej matki i kilka złotych pierścionków. Nie tknięto biżuterii, którą miała tego dnia na sobie. Ani obrazów, które wisiały w salonie.

Skrzywiła się.

– Nie każdy złodziej musi znać się na sztuce.

– Co pamiętasz z tamtego dnia? – Michał drażył temat.

Krzyki matki, tatuaż na ręce trzymającej nóż. „Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć dzieci, nakłoń męża do współpracy”. „Nie wiem, naprawdę nie wiem!”

– Niczego nie pamiętam. Tak jakby tamten dzień nigdy się nie wydarzył.

Michał pokiwał głową.

– Zanim przeczytałem te dokumenty, myślałem, że do morderstwa doszło tu, w tym mieszkaniu.

– Naprawdę? I że jak gdyby nigdy nic ja sobie tu teraz mieszkam?

– Zawsze powtarzałaś, ile wspomnień z dzieciństwa powróciło, od kiedy znów się tu wprowadziłaś. Sama rozumiesz...

Marta rozejrzała się po kuchni. Nie przypominała już pomieszczenia, w którym jadała posiłki z babcią i Kamilą. Kilka tygodni temu przeszła totalny remont. Marta wykorzystała okazję – w mieszkaniu obok, u pani Marii, która była jej sąsiadką i zarazem przyjaciółką babci, należało odmalować ściany po gruntownym odgrzybianiu. Marta zajęła się organizacją robót, przy okazji płacąc ekipie remontowej za prace w swojej kuchni. Zniknęła boazeria, zamiast niej pojawiły się białe ściany i nowoczesne meble. Pomieszczenie było spore i pomimo ulepszeń w postaci dużych szafek cargo czy dwudrzwiowej lodówki znalazło się w nim również miejsce na stary drewniany stół, przy którym jedli właśnie śniadanie.

Z sentymentem dotknęła palcem oszczerbionej krawędzi – miejsca, do którego babcia zawsze mocowała swoją maszynkę do mielenia.

– Nie. Mieliśmy dom w pobliżu Raławickiej. Tam mieszkałam z rodzicami od czasu, aż... Aż musiałam przenieść się tutaj. – Marta powiodła ręką dookoła. – Wystarczająco duże, by pomieścić nas trzy.

– Uważasz, że to był dobry pomysł, by znów się tu wprowadzić?

Po tym, jak jej mąż zapłodnił cycatą kretynkę i Marta musiała wyprowadzić się z ich wspólnego mieszkania na Żoliborzu, tak naprawdę był to jedyny pomysł, jaki przyszedł jej wtedy do głowy. Zresztą innych opcji po prostu nie miała.

– Jakbym słyszała moją siostrę. Kamila też mnie o to wiecznie pyta. To był bardzo dobry pomysł. Wielkie mieszkanie, na dodatek w centrum Warszawy. – Postukała w ścianę. – Panie, teraz to już takich nie robią! – Udała warszawską gwarę, modulując głos.

Podniosła się z krzesła i dołała sobie kawy.

– Kiedy przyniesiesz mi resztę dokumentów?

– Przecież powiedziałaś, że to bzdury.

– Bo to są bzdury. Mój ojciec nigdy nie zrobiłby niczego nielegalnego. Był na to za uczciwy. Ale chcę przeczytać resztę.

– Niedługo. Ale tylko część. Reszta jest utajniona. Nie mam do nich dostępu.

– Na pewno coś wymyślisz.

– Może tak, może nie. Zobaczą, co da się zrobić. – Pocałował Martę w czubek głowy i wstawił do zmywarki pusty kubek. – Co chcesz dzisiaj robić?

– Pójdziemy nad Wisłę? Dawno tam nie byłam.

– Pewnie, co tylko zechcesz.

Marta wstała z krzesła i przytuliła się do jego pleców. Chciała, żeby niedziela trwała wiecznie.

ROZDZIAŁ 6

Poniedziałek zapowiadał się pechowo. Rano nie zadzwonił budzik, choć wieczorem Marta dwukrotnie sprawdziła, czy na pewno ustawiła go na właściwą godzinę. Obudziła się co prawda bez alarmu, na dodatek z zapasem czasu, który teoretycznie pozwalał na punktualne dotarcie do pracy, ale musiała się spieszyć, a tego nie znosiła. Potem, w drodze do pracy, przypomniała sobie, że nie zabrała komórki. Zostawiła ją podłączoną do ładowarki na nocnej szafce przy łóżku. Teraz, ulicę dalej, czuła się nieswojo, co chwila sięgając odruchowo do pustej kieszeni torby, w której zwykle trzymała telefon. Nie wytrzymała i wróciła po niego do mieszkania.

Na dodatek Leszka w dalszym ciągu nie udało się odnaleźć. Nie dawał znaku życia, co było do niego zupełnie niepodobne, i wyglądało na to, że jednak coś mu się stało. Tylko co?

Na odprawie ze Starym była rozkojarzona i nie brała udziału w dyskusji na temat trudnych przypadków diagnostycznych, choć zwykle wtrącała swoje trzy grosze. Zdziwiła się, kiedy po zakończeniu spotkania Czechowski poprosił ją do swojego gabinetu. W środku czekał już rezydent, którego nazwiska nigdy nie pamiętała. Mówiła na niego Młody.

– Pani doktor, przejmie pani opiekę nad naszym kolegą, Tomaszem Nowaczykiem – ordynator wskazał ręką Młodego, który głupio się uśmiechnął. – Nadal nie wiemy, co się dzieje z doktorem Skalskim, kierownikiem jego specjalizacji, a kolega pracuje zbyt krótko, by samodzielnie prowadzić pacjentów. Do czasu wyjaśnienia tej dziwnej sytuacji kolega zostanie pod pani opieką. Aha, i przejmie pani pacjentów doktora Skalskiego. Kolega Tomasz jest zorientowany, na pewno wszystko pani zreferuje. Tak, panie kolego? – Młody zrobił dziwną minę i pokiwał nerwowo głową. – No, to załatwione. Tylko to chciałem pani powiedzieć.

– Super. Tylko ciebie jeszcze brakowało mi do szczęścia – mruknęła do Młodego, kiedy wyszli z gabinetu ordynatora. – I pacjentów Leszka. Ilu ich macie?

– Pięcioro. Trzy osoby chcieliśmy dzisiaj wypisać. Wypisy już przygotowane, więc właściwie na oddziale zostaną tylko dwie. Ale za to jakie...

– Daniel Schulz, to już wiem. A kto drugi?

– Iwona Pstrąg. Ale lepiej mów na nią Strong.

– Co?

– Nieważne, sama zobaczysz. Podejrzenie neuroboreliozy.

Marta jęknęła. Często oznaczało to potrzebę konsultacji psychiatrycznej, a nie lubiła kontaktów z oddziałem psychiatrii. Według niej pracował tam tylko jeden normalny lekarz, Piotr Kępiński.

– Jakaś ważna artystka z Zachęty – kontynuował Młody. – A może kuratorka albo dyrektorka. Nie wiem. W każdym razie znajoma naszej pani dyrektor, stąd to przyjęcie. Mieliśmy z Leszkiem nadzieję, że w badaniach nic nie wyjdzie i przekazemy ją na neurologię, ale niestety wyszło. Trzeba będzie zrobić nakłucie łądzwiowe.

– Leszek pokazywał ci, jak się to robi?

– Tak, już raz nawet wykonywałem. Ale ta pacjentka waży sto dwadzieścia kilo. Nie wiem, czy dam radę.

– W porządku, ja to zrobię. Będziesz mi asystował.

W gabinecie lekarskim Marta przejrzała dokumentację medyczną Iwony Pstrąg, w tym najnowsze badania laboratoryjne. Przebieg choroby wyglądał na klasyczne fiksium dyrdum, ale z możliwą neuroboreliozą, którą należało potwierdzić. A jeszcze lepiej wykluczyć i odesłać pacjentkę do domu lub przekazać ją innym specjalistom, którzy będą się z nią męczyć dalej.

Kiedy weszli do sali numer osiem, pacjentka siedziała na szpitalnym krześle z nogami opartymi o poręcz łóżka i szkicowała coś na kartonie kreślarskim. Jak na pacjentkę z podejrzeniem neuroinfekcji wyglądała kwitnąco.

– Dzień dobry, pani Iwona Pstrąg, prawda?

– Strong.

– Słucham?

– Wołę, kiedy mówi się na mnie Strong.

– Aha. Nazywam się Marta Wolska, będę pani lekarzem prowadzącym do czasu, kiedy doktor Skalski wróci z... nieplanowanego urlopu. Naszego młodego pana doktora już pani zna.

Młody podszedł bliżej krzesła i zajął pacjentce przez ramię.

– O, a co to takie fikuśne, co pani rysuje? Wygląda jak pomnik Czynu Rewolucyjnego w Rzeszowie.

Iwona Pstrąg vel Strong obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

– To projekt Majestatu Waginarium. A raczej jednego z jego elementów. – W jej głosie zabrzmiała oschłość. Maskowana, ale słyszalna.

– Czego? – zdziwił się Młody.

– W jakim świecie pan żyje? Nie czyta pan gazet? Nie ogląda telewizji? Nie chcę być nieskromna, ale Majestat Waginarium to najwybitniejsza instalacja artystyczna, jaka ma powstać w Polsce od czasu Abakanów Magdaleny Abakanowicz. Tylko znacznie doskonalsza, bo skupia się na tej jednej, najistotniejszej części ciała.

– Zawsze myślałem, że jest nią głowa.

– Moje prace rozsiane są po całym świecie, od Nowego Jorku po Sydney. W muzeach i nie tylko. – Iwona Pstrąg mówiła teraz do Marty, zupełnie ignorując Młodego i jego komentarz. – Reprezentują witalny żywioł *femme*, który od wieków jest niedoceniany i tłamszony przez męskie konstrukty społeczne. – Iwona wpatrywała się teraz Marcie głęboko w oczy. Młody przestał istnieć. – A wiadomo, że pomaga w rozwiązywaniu tak wielu problemów! Kobiety uczą się o tym na warsztatach, które prowadzę. Mam ze sobą broszury, gdyby pani lekarka chciała wziąć w nich udział. Serdecznie zapraszam. – Sięgnęła do szafki i wyjęła plik ulotek. „Warsztaty wietrzenia cipek” – głosił czerwony napis w nagłówku, zaprojektowanym w formie podpaski.

– Mam doktorat z medycyny. Może pani spokojnie tytułować mnie panią doktor. – Martę na ogół trudno było wyprowadzić z równowagi, ale teraz czuła, że ten moment zbliża się wielkimi krokami.

– Widzę, że obie jesteście kobietami nauki. Ja jestem profesorką ASP. Waginistką. Wie pani, co zapewniło mi habilitację? Nowy atlas Polski, nad którym pracowałam trzy lata. Wszystkim miejscowościom nadałam nowe nazwy. Waginniki, Waginowo, Waginogród, Waginowice... – Iwona Strong rozpoczęła wyliczankę.

– To, co pani mówi, jest niezmiernie interesujące, ale niestety nie mamy czasu, by tego słuchać. Przyszliśmy do pani w konkretnym celu. Czy zapoznała się pani z informacją na temat przebiegu punkcji lędźwiowej i jej powikłań? – Marta miała dar

przechodzenia do meritum. Młody popatrzył na nią z podziwem. On sam przez ostatnie dni musiał wysłuchiwać wykładów na temat potęgi wagin za każdym razem, gdy wchodził do sali, by zapytać o samopoczucie pacjentki. Jego męski konstrukt społeczny z kretesem przegrywał z witalnym żywiołem *femme* Iwony Strong.

– Czytałam ją, ten młody pan lekarz mi zostawił, ale muszę przyznać, że nic z tego nie rozumiałam. To chyba musiał pisać jakiś facet.

Informację o nakłuciu lędźwiowym opracowywała Marta i była niezmiernie dumna z efektu. W ocenie pacjentów, którzy ją czytali, była ona sformułowana w sposób jasny i konkretny. Zrozumiał ją nawet pan Anatol, pracownik szpitalnej kotłowni, którego Marta nakłuchiwała tydzień wcześniej; człowiek uroczy, choć niezbyt skomplikowany.

Wyjaśnienie przebiegu procedury i jej ewentualnych powikłań zajęło Marcie dziesięć minut. Iwona Pstrąg prosiła o powtarzanie praktycznie każdego zdania.

– A kto będzie robić to nakłucie? Pani lekarka czy pan lekarz? – spytała na koniec.

Marta wypuściła powietrze ze świsem.

– Pan lekarz. Pan lekarz jest oddziałowym ekspertem od nakłuć. Na pewno zrobi to świetnie. Pani lekarka będzie mu pomagać.

Młody zrobił przerażoną minę i otworzył usta, by zaprotestować, ale wyraz twarzy Marty skutecznie go zniechęcił.

– Na którym boku ułożyć ci pacjentkę? – Marta nie chciała spędzać w sali numer osiem więcej czasu, niż było to absolutnie konieczne.

– Nie mam żadnych preferencji.

– Może jednak powinieneś mieć. Dobra, zdecyduję za ciebie. Jesteś praworęczny? – Ułożyła Iwonę Pstrąg na łóżku, tuż przy krawędzi, z kolanami przyciągniętymi do brzucha, a głową zgiętą w kierunku kolan. Tatuaż na jej plecach, ogromna wagina, przypominał teraz smętny bumerang.

– Znajdź grzebień biodrowe – poinstruowała Młodego.

– Nie mogę, nie wiem, gdzie są, za dużo tłuszczu.

– Wepchnij ten swój paluch głębiej. Teraz czujesz?

– Auć, czy to już koniec? Czy już po wszystkim? – wykrzyknęła Iwona Pstrąg.

– Skąd! Nawet jeszcze nie zaczęliśmy. Proszę leżeć spokojnie i się nie ruszać. Będzie mniej bolało. Znalazłeś te grzebień? – instruuowała Młodego, obiema rękami przytrzymując pacjentkę w odpowiedniej pozycji.

– Tak. Chyba tak.

– To sobie je zaznacz. Narysuj między nimi linię. Wyjmij mi z kieszeni długopis.

Młody trzęsącymi się rękami narysował coś, co przypominało nieco migotanie komór w zapisie EKG.

– Młody, na litość boską. Poważnie? Co miałeś w zerówce z rysowania szlaczków? Popraw to. Albo chociaż kropką zaznacz środek, żebyś wiedział, gdzie się wbić. Okej, teraz dobrze. Ale numer, wyszło na lechtacze. No i dobrze, teraz raczej powinieneś trafić. Przygotuj sobie wszystko do wkłucia. Halo! Jak się dezynfekuje? Na chirurgii cię nie uczyli? Od środka na zewnątrz, nie odwrotnie. Jeszcze raz to zrób. Świetnie. Wszystko gotowe, igła w dłoń. Nie, nie, nie! Wkłuwaj razem z mandrynem. Zaczynij niżej, jak ci nie wyjdzie, spróbujemy piętro wyżej. Tak, bardzo dobrze.

Kiedy Młody przebił skórę, Iwona Pstrąg wydała z siebie przeraźliwy wrzask. Marta przytrzymała ją mocniej, każda zmiana pozycji oznaczałaby w tej sytuacji niepowodzenie punkcji. Młody w skupieniu wsuwał igłę coraz głębiej.

– Poczujesz trzask? Nie? To wsuwaj jeszcze dalej. Jak przebijesz więzadło żółte i oponę twardą, poczujesz, jakby nagle spadł opór. Poczujesz?

– Nic nie poczułem! – Młody był wyraźnie zdenerwowany.

– No nic, dalej już nie wsuniesz, igła weszła prawie cała. Wyjmij powoli mandryn. Powoli, mówię!

Iwona Pstrąg darła się na całego.

– Jeśli pani nie przestanie krzyczeć, będziemy musieli przerwać i powtórzyć znowu jutro. Lepiej mieć to z głowy już dzisiaj. Nie uważa pani? Aż tak bardzo przecież nie boli – dodała na pocieszenie, choć wiedziała, że to nieprawda. Punkcja w wykonaniu Młodego musiała być bardzo bolesna. – I co? Leci coś? Nic? Włóż mandryn na nowo i skręć igłę o dziewięćdziesiąt stopni. Teraz leci? Dalej nie? Nie przejmuj się, zdarza się. Już nic z tym nie zrobisz. Wyjmij całkiem tę igłę. Dobrze. I do pojemnika, nie będzie nam już potrzebna. Spróbujemy wyżej, między L3 i L4. Cała procedura od początku. Jedziemy!

Powtórzyli każdy punkt, łącznie z krzykami Iwony Pstrąg. Do sali zajrzała pielęgniarka.

– Długo to jeszcze potrwa? Pacjenci mi się płoszą.

– Już kończymy. Na dzisiaj. Jutro znowu powtórzymy, bo nie udało nam się zdobyć ani kropli płynu mózgowo-rdzeniowego. Młody, możesz już wyjąć tę igłę. Trzeci raz nie będziemy próbować. A pani niech tak leży przez mniej więcej godzinę. – Pomogła pacjentce ułożyć się w pozycji płaskiej. – Kolega będzie regularnie sprawdzał, jak się pani czuje.

– Nie martw się, punkcja u osób otyłych nie jest prostą sprawą – pocieszyła Młodego, gdy wyszli na korytarz. – Prawie nikomu nie wychodzi za pierwszym razem. Jutro na pewno dasz radę.

– Jutro też ja będę ją kłuł?

– A kto? Oczywiście, że ty, musisz się nauczyć. Wkrótce będziesz samodzielnie zostawał na dyżurach, a pacjentów się nie wybiera.

Młody smętnie pokiwał głową.

– A tak zmieniając temat... – zaczął. – Nie chciałabyś mieć takich niebieskich włosów, jak waginistka? Pasowałyby ci do koloru oczu. I wzbogaciłyby twój żywioł *femme*. – Ewidentnie próbował nadrabiać dowcipem po niepowodzeniu, które zbiło go z tropu bardziej, niż sam chciał przyznać.

Marcie zrobiło się go żal. Dobrze pamiętała swoje początki.

– Młody, lepiej nie cwaniakuj, tylko mi powiedz, jaki ty masz tatuaż.

– Nie mam żadnego.

– Nie wierzę. Wszyscy ludzie w twoim wieku mają teraz tatuaże.

– Właśnie dlatego. Brak tatuażu jest teraz nowym tatuażem. Jestem wywrotowcem.

– To świetnie trafiłeś z mentorem. Leszek też jest wywrotowcem. – Posmutniała na wspomnienie Leszka. Co mogło się z nim dziać? Gdzie był i co robił? Myśli Młodego podążyły chyba tym samym torem, bo również spochmurniał i zamilkł.

– Odnajdzie się, wszystko będzie dobrze – powiedziała głośno, uspokajając bardziej siebie niż Młodego. – Chodźmy teraz sprawdzić, jak się czuje Schulz.

Gdyby nie czujny policjant przy wejściu, Marta pomyślałaby, że Schulzowi zmieniono salę. Nie poznała pacjenta, którego zobaczyła w środku. Leżał w łóżku, podobnie jak sześć dni temu, kiedy widziała go po raz ostatni, ale tego ranka nie przypominał już nadreaktywnego charta z szaleństwem w oczach i wiecznie

nadymającymi się nozdrzami. Jego wygląd wpędzał niegdyś w popłoch większą część żeńskiego personelu medycznego „Błęńskiej” i zyskał mu przydomek Niuchacz. Teraz Niuchacz wyglądał jak kupa nieszczęścia. Nie ma co ukrywać, Marta zdecydowanie wolała go właśnie takiego – zombie z mózgiem rozpuszczanym przez ameby.

Podeszła bliżej krawędzi łóżka, zachowując jednak czujność. Schulz może i wyglądał na bezbronny, ale doskonale pamiętała, co zrobił swoim ofiarom. Niuchacz nie zareagował. Wydawało się, że nawet nie zauważył ich wejścia. Był przytomny, ale jego oczy wpatrywały się nieruchomo w jakiś punkt na suficie. Jego skórę zalewał pot i nie była to wyłącznie wina upalnego lata – poranny pomiar temperatury, wpisany do karty gorączkowej, wynosił czterdzieści jeden stopni Celsjusza. Schulz gotował się od wewnątrz, czemu próbowano zapobiec, podając dożylnie leki przeciwgorączkowe.

– Panie Schulz, dzień dobry – powiedziała łagodnie, dotykając jego ramienia. Spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem.

– Boli mnie głowa – jęknął.

– Może to zespół popunkcyjny. Wczoraj dyżurny pobrał płyn mózgowo-rdzeniowy do badań – podpowiedział Młody.

– Może – zgodziła się Marta.

„A może pasożyty wżerające się w jego tkankę mózgową”.

– Masz przy sobie wyniki tych badań? – spytała Nowaczyka.

Młody wyjął z teczki, którą nosił pod pachą, kartkę formatu A4 i podał Marcie. Spojrzała na liczby.

– Dyżurny mówił, że płyn wypływał pod zwiększonym ciśnieniem – dodał Młody, nie spuszczać wzroku z Schulza, którego ciałem co kilka minut wstrząsały pojedyncze drgawki.

– Zbadaj go – poleciła Marta. – Sprawdź też objaw Kerniga i Brudzińskiego. Trzeba będzie podłączyć pana do kardiomonitora – powiedziała tym razem do Schulza, choć nie była pewna, czy zrozumiał.

– Widziałem go dwie godziny temu, był splątany, ale logiczny. Jego stan pogarsza się dość gwałtownie – informował ją Młody, nie przejmując się obecnością Schulza.

Marta spojrzała na wyniki badania płynu mózgowo-rdzeniowego. Spora cytoza, wysokie stężenie białka i niskie glukozy.

– Co o tym sądzisz? – Pokazała wydruk Młodemu.

– Ropne zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. Posiew na pewno wróci dodatni. To na bank zakażenie bakteryjne.

– Masz rację.

Nie miał, ale jego tok myślenia był poprawny. Taki obraz kliniczny i takie wyniki badań sugerowały bakteryjne zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. Nie pomyślał o negleriozie, ale nie musiał. Po co, skoro taka choroba w Polsce nie istniała.

– Dostał deksametazon i mannitol?

– Tak.

– W jakiej dawce?

Młody nie był pewien.

– Chodźmy do zabiegowego. Sprawdźmy zlecenia.

Niespodziewana zmiana planów w postaci przejęcia opieki nad Schulzem wymagała dużej ostrożności. Miała stać z boku, a teraz, po zniknięciu Leszka, stała

się jego lekarzem prowadzącym. Musiała być pewna, że po śmierci Niuchacza prokurator do niczego się nie przyczepi. Najlepsze plany sypią się zwykle przez detale.

Kiedy upewniła się, że przypadek Schulza prowadzony jest książkowo i mogła wreszcie zająć się resztą pacjentów, w kieszeni fartucha zawibrował telefon. Spojrzała na wyświetlacz i przekłęła pod nosem. Dzwonił sekretariat dziekanatu, a to zawsze oznaczało, że nie wypełniła jakiegoś druczku albo zapomniała „postawić ptaszka” w jakiejś tabelce. Zapomniane ptaszki z dziekanatu, tylko tego brakowało jej w tym momencie.

– Doktor Wolska? Dzień dobry. Chciałam tylko przypomnieć pani o obowiązku przesłania do nas kompletnego formularza oceny pracowniczej.

– Przecież przesłałam go w zeszłym miesiącu.

– Tak, ale strona dotycząca publikacji jest niekompletna.

– Jak to niekompletna? – Marta mogła przysiąc, że ją wypełniała.

– No, wpisała pani tylko jedną pozycję...

– Taaaak... A co jeszcze powinnam tam wpisać?

– Czyli w ubiegłym roku akademickim miała pani tylko jedną publikację? – Pani z dziekanatu wydawała się szczerze zdziwiona. – Jeśli tak, to w porządku, myślałam, że... że coś pani pominęła.

Rozmowa z dziekanatem wpędziła Martę w jeszcze gorszy nastrój. Zależało jej na habilitacji, a posucha w pracy badawczej nie wróżyła najlepiej i nie lubiła, kiedy jej o tym przypomniano. Z drugiej strony, kiedy miała pisać? Ciągłe dyżury, czas wolny przyjemnie poświęcany Michałowi. Rodzice. Sprawa Bestii z Mokotowa... A pisanie artykułów naukowych wymagało czasu i spokoju. Oraz żmudnych badań, żeby w ogóle było o czym pisać.

– Marta, z Schulzem coś się dzieje, drgawki nie ustępują. – Młody biegł korytarzem, z przerażeniem wypisanym na twarzy. – Podam mu diazepam.

Marta pośpieszyła za nim. Schulz wyglądał jeszcze gorzej niż przed paroma minutami – błądy, spocony, z otwartymi, ale niewidzącymi oczami. Pojedyncze drgawki, które jeszcze niedawno pojawiały się z rzadka, teraz nieprzerwanie targały całym jego ciałem. Co prawda ustąpiły wkrótce po podaniu Relanium, ale Marta nie zamierzała ryzykować tego, że się powtórzą.

– Sądzę, że już czas, by przekazać pacjenta na oddział intensywnej terapii. Dzwonił po anestezjologów.

Młody posłusznie wyszedł z sali, by zawiadomić intensywną terapię o przekazaniu pacjenta.

Marta po raz ostatni spojrzała na Schulza i odwróciła się w stronę drzwi, by podążyć za rezydentem. W progu zawahała się i przystanęła. Znow zerknęła na Schulza. A gdyby tak... Nie, to zbyt ryzykowne. Chociaż, w sumie, właściwie... To mogłoby się udać. Przecież najciemniej jest zawsze pod latarnią. Hm... Pierwszy przypadek negleriozy w Polsce... Liczba cytowań, jaką miałby artykuł dotyczący tego tematu, mogłaby znacząco przybliżyć ją do upragnionej habilitacji. Zostawić taką śmierć zupełnie niewykorzystaną? Schulz był zakałą tego świata i dobry uczynek, nawet niezamierzony, na pewno przydałby mu się tam, gdzie właśnie podążał. A czy istniał jakiś lepszy niż poświęcenie na ołtarzu nauki, dla korzyści przyszłych pokoleń?

Kiedy po południu przekazywała dyżurnemu informacje o swoich pacjentach, Schulz nie był już jednym z nich. Na oddziale pozostało po nim tylko wspomnienie. Sala, w której leżał, została dokładnie wysprzątana i zdezynfekowana, oczekując w

gotowości na przyjęcie kolejnego chorego. Cykl szpitalnej rutyny toczył się swoim rytmem. Nikt nie tęsknił ani za Niuchaczem, ani za uzbrojonym policjantem, który pilnował drzwi i którego mundur wywoływał gęsią skórę u pracowników oddziału zakaźnego, nieprzywykłych do takich widoków.

I tylko Marta Wolska myślała o Schulzu nieprzerwanie w drodze do domu. Po raz kolejny musiała zmodyfikować swój plan tak, by dopasować go do zmieniających się warunków zewnętrznych. A te wyraźnie wskazywały, że Schulz miał stać się pacjentem, który nada jej karierze długo oczekiwany pęd i kierunek.

ROZDZIAŁ 7

Kolejny dzień nie przyniósł przełomu w sprawie zaginięcia Leszka. Nadal nie było go w pracy i nikt nie wiedział, co się z nim dzieje. Na dodatek jeden z lekarzy zachorował i Marta musiała przejąć również i jego pacjentów. Z pełnym pęcherzem biegła teraz między salami chorych, rozwiązując wciąż pojawiające się nowe problemy. Przerwa na toaletę zajęłaby jej około trzech minut. Marta nie miała trzech minut. Miała za to mnóstwo spraw, które wymagały jej obecności tu i teraz.

Dlatego kiedy w głównej dyżurce rozdzwonił się telefon, a na wyświetlaczu pojawił się numer wewnętrzny Szpitalnego Oddziału Ratunkowego, profilaktycznie ulotniła się na korytarz. Przeczuwała kolejne kłopoty, których nie miała ochoty rozwiązywać.

Nie myliła się. Kiedy wyszła z sali numer trzy, w której leżał pacjent z rozsianym półpaścem, natknęła się na korowód nowych przyjęć, wwożonych do oddziału zakaźnego wózkami.

– O co chodzi? – spytała pielęgniarkę, która w zabiegowym przygotowywała kroplówki.

– Włośnica – westchnęła pielęgniarka.

Marta jęknęła. Włośnica oznaczała zachorowanie grupowe. A to znaczyło nawet kilkunastu nowych pacjentów, których należało przyjąć pomimo braku wolnych miejsc w salach chorych. Nie było szans, by kilku nie trafiło pod jej opiekę. A miała już piętnastu. Nowe przyjęcia oznaczały, że wróci do domu dopiero wieczorem, a za nadgodziny nie dostanie ani grosza. W „Błęńskiej” decyzją dyrektor szpitala personel medyczny nie dostawał wynagrodzenia za nadgodziny. Ponieważ nadgodzin nie było. Nie było ich, bo nie istniała przyczyna, dla której miałyby być. W ocenie dyrekcji wszelkie czynności zawodowe mogły zostać wykonane w godzinach pracy, a jeśli nie zostały – to tylko z winy leniwych i powolnych pracowników.

Co ciekawe, czynności biurowe nie podlegały takim ograniczeniom i personel bloku administracyjnego otrzymywał zarówno wynagrodzenie za nadgodziny, jak i premie uznaniowe. Widocznie dyrektor Anna Kujawiak-Pachciarz uznała, że pracownicy biurowi (z których spora część nosiła nazwisko Kujawiak bądź Pachciarz) zasługiwali na to bardziej.

– Marta, dostajesz Olińską, Bartyckiego i Mikołajewicza – Marchlewski, zastępca ordynatora, rozdzielał nowo przyjętych. Wręczył jej trzy cienkie teczki z SOR-u.

Na osiemnastą miała dwa bilety do teatru. Planowali z Michałem to wyjście już od dawna. Nawet jeśli jakimś cudem zdążyłaby wyjść na czas ze szpitala, będzie tak zmęczona, że padnie z nóg po powrocie do domu. O teatrze mogła zapomnieć.

Rozdzieliła pracę między siebie i Młodego, z którym miała pracować w zespole do czasu powrotu Leszka. Teoretycznie mógł sporo jej pomóc. Teoretycznie. W praktyce Młody był tuż po studiach, dopiero zaczynał pracę w „Błęńskiej” i musiała kontrolować każdy jego ruch. Co oznaczało, że pracy było więcej.

Pacjentów z włośnicą przyjęto dwunastu. Na razie. W ciągu następnych kilku dni można było spodziewać się następnych, u których objawy pojawiają się później. Wszyscy pochodzili z jednej wioski, położonej niedaleko Mazowieckiego Parku Krajobrazowego. Syn softysa był myśliwym, który od czasu do czasu pożytkował

mięso „w sposób nieregulamentowany”, jak określił to jeden z przywiezionych. Ustrzelony tydzień temu dzik był zdobyty właśnie tak. Wędzona kiełbasa, zrobiona z mięsa dzika, dostępna była dla wszystkich uczestników festynu z okazji święta patrona wioski. Marta miała tylko nadzieję, że nie jadły jej żadne dzieci.

Choroba przebiegała podobnie u wszystkich, którzy trafili do „Błęńskiej”: z wysoką gorączką, potwornym bólem mięśni i obrzękami wokół oczu.

Bartycki, jeden z pacjentów, którzy trafili się Marcie, miał dodatkowo objawy zapalenia mięśnia sercowego i Marta musiała teraz błagać kardiologów, by któryś z nich łaskawie zgodził się przyjść i go skonsultować.

Atmosfera w – już i tak dusznej od lipcowego upału – dyżurce, stała się gęsta i lepka jak pot, który spływał jej po plecach pod poliesterowym fartuchem.

– Nienawidzę ludzi, nieeenawidzę luuudzi – zanuciła na melodię piosenki *Krakowiaczek* jeden doktor Makowska, wypisując zlecenia dla swoich pacjentów. Był to jej popisowy utwór, nucony przy takich właśnie okazjach.

„Nienawidzę ludzi, nieeenawidzę luuudzi” – zaśpiewali w myślach pozostali lekarze. Ta piosenka była uzależniająca i zostawała w głowach nawet po wyjściu z dyżurki. Marta musiała się kontrolować, by nie śpiewać tego w obecności pacjentów.

– Bartycki znów prosi doktor Wolską. – Głowa pielęgniarki zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

– Kurwa, co znowu. – Marta nie wytrzymała. To był już siódmy raz, kiedy zabierał jej czas, żeby wypłakać się w poły lekarskiego fartucha i określić poziom bólu mięśni według wyczytanych w Internecie skali. „Dziesięć, nie do wytrzymania, najsilniejszy wyobraźalny ból, ekstremalny!” – wołał głośno, kiedy przychodziła. Pomyślała, że jednak pomyliła się co do zapalenia mięśnia sercowego. Był na to w zbyt dobrej kondycji.

– Doktor Marto, doktor Marto! – ktoś krzyknął za jej plecami, gdy szła sprawdzić, o co tym razem chodzi pacjentowi. Odwróciła się niechętnie. W jej kierunku podążała pani dyrektor.

– Dyrektor Anno – rzuciła w odpowiedzi, wywołując wyraźną konsternację na twarzy przełożonej. Nie pozostawały w takim stopniu zażyłości i chciała, by dyrektorka wreszcie wbiła to sobie do głowy.

– Pani doktor, czy ma pani sekundkę?

– Tak, słucham panią. – Nie miała ani milisekundy i każda kropla krwi prawie gotowała się w niej na myśl o rozmowie z dyrektorką.

– Dzwoniła do mnie pani Iwona Pstrąg...

– Tak? – Krew osiągnęła poziom wrzenia.

– Podobno doktor Nowaczyk wykonywał jej wczoraj punkcję lędźwiową?

– Tak.

– Przecież doktor Nowaczyk dopiero rozpoczął specjalizację i nie powinien jeszcze wykonywać tak odpowiedzialnych zabiegów.

Kilka tygodni temu dyrektor Kujawiak-Pachciarz poprosiła do swojego gabinetu Młodego wraz z Leszkiem, który był kierownikiem jego specjalizacji. Oznajmiła, że Młody od sierpnia musi zacząć samodzielnie dyżurować, bo w szpitalu brakuje lekarzy. Na argumenty Leszka, że jest na to za wcześnie i że z Nowaczykiem muszą jeszcze trochę popracować wspólnie, zanim ten przejmie opiekę nad pacjentami, odpowiedziała, że „doktor Nowaczyk ma pełne prawo wykonywania zawodu i dostaje

pensję jak każdy inny lekarz. Dlatego nie ma powodu, by nie był bardziej samodzielny”.

– Pani dyrektor, ale doktor Nowaczyk ma pełne prawo wykonywania zawodu i dostaje pensję jak każdy inny lekarz. Nie ma powodu, by nie wykonywał wszystkich procedur, jakie tu w „Błęńskiej” robimy.

Oczy pani dyrektor wyraźnie się zwięziły. Marta wiedziała, że za tę impertynencję przyjdzie jej kiedyś zapłacić.

– Zresztą już wkrótce, jak pani wie, będzie zostawał na dyżurze sam. Musi się kiedyś nauczyć. Lepiej, żeby stało się to teraz, pod moim nadzorem.

– Czy naprawdę musi uczyć się na profesor Pstrąg? Ta pani jest moją przyjaciółką.
– To ostatnie zabrzmiało jak ostrzeżenie, co tylko rozjuszyło Martę jeszcze bardziej. Zniknięcie Leszka, sprawa rodziców, Schulz, upał, zmarnowane bilety do teatru... I teraz jeszcze to. Marcie było już wszystko jedno. I tak od dawna nie dostawała żadnych premii.

– Skoro to pani przyjaciółka, to tym bardziej powinna być świadoma, co oznacza pobyt w szpitalu klinicznym. To szpital, którego jednym z głównych zadań jest nauczanie. Zresztą doktor Nowaczyk jest jej lekarzem prowadzącym i to on podejmuje wszelkie decyzje związane z pacjentką. Proszę na jej temat porozmawiać z nim, nie ze mną. – Odwróciła się na pięcie i pozostawiła dyrektor Kujawiak-Pachciarz z twarzą czerwoną od pulsujących z wściekłości naczynek krwionośnych.

Barczycki poprosił ją, by poskarżyć się na mroczki w polu widzenia.

„Było nie wpierdalać tej biednej świnki”.

– Proszę popatrzeć na mój palec. Góra, dół, teraz na boki. Tak, wszystko w porządku. – To badanie nie miało większego sensu, ale uspokoiło pacjenta. Mogła wrócić do dyżurki i do kolejnych spraw.

– Marta? Był tu Stary. Wściekły. Podobno rozmawiał z dyrektorką. Prosił, żebym przejęła od was jakąś Iwonę Pstrąg. – Doktor Zawada nie wykazywała entuzjazmu, ale polecenie służbowe od ordynatora nie podlegało dyskusji. Za to Marta była w siódmym niebie – może jednak ten dzień nie będzie tak zupełnie spisany na straty. Szybko streściła przebieg historii choroby Iwony Pstrąg, rysując przy tym kółka przy swoich skroniach. Dużo kółek.

O godzinie czternastej zadzwoniła na Oddział Intensywnej Terapii z pytaniem o Schulza. Odebrał jakiś nowy, nieznany jej anestezjolog. Anestezjologowie pracowali głównie na kontraktach i nie przywiązywali się zbyt do miejsc, w których akurat przyszło im zarabiać. Zresztą wszędzie mieli do czynienia z podobnymi problemami.

– Nie, nie ma żadnej poprawy. Właściwie to jest nawet gorzej. Nie zareagował na żaden antybiotyk, choć dostaje bardzo szerokie spektrum. – Marta nie była zaskoczona tą informacją. Stan Schulza nie miał prawa poprawić się po antybiotykach, bo jego problemem nie były bakterie. – Nic nie wyszło z posiewów – kontynuował anestezjolog – i za jakąś godzinę będziemy go klucz jeszcze raz. Bez większej nadziei, ale musimy poszerzyć zakres badań...

– Właściwie to w tej sprawie dzwonię. Poproszę Marka Leśniowskiego z mikrobiologii, żeby jak najszybciej przyjrzał się temu pod mikroskopem. Sama mu zanoszę próbkę. O której do was przyjdzie?

Uzgodniła szczegóły i wykonała jeszcze jeden telefon.

– Michał? Złe wiadomości... – Dzwoniła, aby powiedzieć mu, że odwołuje teatr.

– Dobrze, że dzwonicz. Ja też mam złe wiadomości.

– W takim razie ty mów pierwszy.

– Nie, ty pierwsza, przecież to ty zadzwoniłaś.

– Nie denerwuj mnie, mam dziś kiepski dzień. Co się stało?

– Nie dam rady iść z tobą do teatru. W pracy mam armagedon. – Nie brzmiał jak ktoś mocno tym faktem zmartwiony. Nie lubił teatru i Marta uświadomiła sobie, że właściwie to musiała go zmusić, by zgodził się z nią pójść.

– Przecież wiesz, jak bardzo cieszyłam się na to wyjście. – Udała oburzenie. Niech czuje się winny, to może jej się przydać. Poczucie winy u mężczyzny można wykorzystać na wiele sposobów.

– Przepraszam, naprawdę nie mogę. Wynagrodzę ci to jakoś.

– Co mam zrobić? Jest mi przykro, ale nic na to nie poradzę.

– To może zamiast mnie weź jakąś koleżankę? Na przykład Dorotę?

– Nie. Nie chcę. Bez ciebie to nie to samo. Wrócę do domu i poczekam, aż skończysz pracę.

– Ale to będzie bardzo późno.

– Nie szkodzi, trudno.

– Jak chcesz. A jakie złe wiadomości masz dla mnie?

– Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś nie przychodził po mnie do pracy, bo też skończę później. I że spotkamy się już przed teatrem – skłamała gładko. – Ale to już nieważne, skoro i tak nie idziemy. Spotkamy się wieczorem u mnie.

Sprawdziła wyniki badań swoich pacjentów, skończyła wypisywać im zlecenia i poinstruowała Młodego, by jeszcze raz upewnił się, że wszyscy czują się dobrze, a w razie kłopotów od razu dzwonił do niej na komórkę.

Anestezjologia mieściła się w tym samym pawilonie, co oddział chorób zakaźnych, więc na szczęście nie musiała iść podziemnym łącznikiem, którego nie lubiła.

Schulz leżał nagi, przykryty nienagannie białą pościelą, podłączony do pikających urządzeń. Jak na osobę, której mózg od kilku dni pożerany był przez amebę, wyglądał zaskakująco dobrze. Ciekawe, ile jeszcze był w stanie tak pociągnąć?

– Nie dajemy mu zbyt wiele szans. – Anestezjolog czytał w jej myślach. – Ale może to i dobrze. Po co takiego trzymać przy życiu? – Nie bawił się w polityczną poprawność. Wszyscy w szpitalu znali życiorys Niuchacza.

Wręczył jej probówkę z mętną cieczą i wrócił do swoich milczących pacjentów, których życia odmierzane były przez rytmiczne dźwięki maszyn. Czasami Marta zazdrościła anestezjologom ich specjalizacji.

Wyszła z pawilonu i żółtą ścieżką podażyła przez szpitalny park w stronę Krainy Oz, jak nazywano budynek Centralnego Laboratorium. Tutaj mieściła się mikrobiologia, a także patomorfologia, gdzie pracowała Dorota. Marta miała nadzieję, że nie natknie się na nią po drodze. Nie miała żadnych informacji na temat Leszka, a wiedziała, że Dorota będzie ją o to pytać.

– Witaj, Marku – przywitała zaskoczonego mikrobiologa, gdy ten roztawiał na stole szkiełka.

– Marta? Ty tutaj? Proszę, niech to poczeka jeszcze miesiąc, z czymkolwiek przychodzisz – jęknął. Cienie pod jego oczami były jeszcze większe niż ostatnio. Ten doktorat go wykańczał.

– Zwykle z większym entuzjazmem podchodziłeś do moich odwiedzin. W końcu niecodziennie zachodzę do tego waszego wynajewa.

– Dobra, miejmy to już za sobą. Wiem, że lubisz toczyć ze mną wojny na celne riposty, ale nie mam na to dziś siły. Co się stało? – Rezygnacja w jego głosie wybrzmiała jak dzwon Zygmunta.

– Mam bardzo małą, tycią prośbę. – Zamachała mu przed oczami probówką z płynem mózgowo-rdzeniowym Niuchacza.

– A ja mam *déjà vu*. Ostatnim razem, gdy wypowiedziałas to zdanie, miałem na głowie pół komisariatu policji.

– Tym razem nie będzie żadnej policji. Obiecuję.

„Tylko prasa. I telewizja”.

Westchnął. Nie wyglądał na przekonanego.

– Będę tego żałował. Jestem pewien. Ale spytam. Co to jest?

Wyjaśniła. Skrzywił się, gdy usłyszał o Schulzu.

– I czego w związku z tym oczekujesz?

– No wiesz, cytoza pod sufit, nie zaszkodzi zerknąć, co w tej zupie pływa. Może jednak coś z twojej bajki.

– Podejrzewacie grzybicę?

– Gdybyś był taki kochany i wykluczył nam taką ewentualność.

– Tudzież potwierdził?

– Tudzież.

– Dobra, włóż ją do tego statywu. Za chwilę się tym zajmę.

Nie przestawała machać probówką.

– Serio? To aż takie pilne?

– Obawiam się, że tak. Te swoje czary-mary z hodowlą i barwieniem możesz robić beze mnie. Za to ja rzuciłabym oczkiem na świeżutki preparacik. Mogę?

– Czestuj się. – Wskazał ręką sprzęty stojące w pracowni.

Kilka minut później Marta siedziała na obrotowym taborecie i kręciła śrubą mikrometryczną w poszukiwaniu kształtów, które znała na pamięć. Od kilku dni jej atlas mikrobiologiczny leżał otwarty na stronie poświęconej *Naeglerii fowleri* – doskonale wiedziała więc, czego szukać. Problem polegał na tym, że pierwotniaka nigdzie nie było widać. Niecierpliwie przesunęła szkiełko i ponownie spojrzała w okular. Znow to samo. Zaczynała czuć się jak sfrustrowany Kubaś Puchatek – im bardziej szukała ameby, tym bardziej pasożyta w preparacie nie było.

– To już trzecia kurwa. Coś ci nie idzie? – Marek kończył barwić preparaty i, jak dotąd, niespecjalnie interesował się tym, co robiła Marta.

– Ten mikroskop to w ogóle działa? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Działał godzinę temu, kiedy go używałem. Patrząc na to, jak sobie z nim radzisz, nie zdziwię się, jeśli zaraz przestanie. Zostaw to, zaraz skończę barwienia i ci pomogę.

Marta nie poddawała się, choć cierpliwość nie była jej najmocniejszą stroną. Całe szczęście, że nie wybrała specjalizacji z mikrobiologii. Osiwiałaby po tygodniu takiej pracy.

Wstała od stołu, przeciągnęła się, zrobiła przysiad, przesunęła szkiełko i znow spojrzała w okulary. Tym razem prawie podskoczyła z wrażenia. Szybko jednak przyhamowała swój entuzjazm. A jeśli to jakiś artefakt, przypadkowe zanieczyszczenie? Mrugnęła i spojrzała ponownie. Obraz, który zobaczyła poprzednio, nadal tam był. Nie był przywidzeniem. Wreszcie znalazła to, czego tak długo szukała. Z trudem powstrzymała się, by nie krzyknąć z radości. Zamiast tego zmarszczyła brwi i rzuciła z wahaniem:

– Hm... A co to takiego? Tak, chyba coś znalazłam. To bardzo dziwne, musisz natychmiast to zobaczyć... Spójrz, czy to jest to, o czym myślę? – Odsunęła się, by zrobić miejsce Markowi.

– To nieprawdopodobne! – Marek nie musiał krzyć entuzjazmu, więc jego krzyk słychać było z pewnością w całej Krainie Oz. – To wręcz niemożliwe! O mój Boże! Marta, to ameba, trofozoit, ten człowiek ma pierwotniakowe zapalenie opon. To wspaniałe! W życiu czegoś takiego nie widziałem na żywo, tylko w książkach. To trzeba koniecznie sfotografować i nagrać. – Zaczął podłączać mikroskop do gadżetów stojących w kącie. – Inaczej nikt nam nie uwierzy. Zresztą i tak nam nie uwierzą. Sam sobie nie wierzę. Muszę to nagrać i odtworzyć z dziesięć razy, może wtedy dotrze do mnie, co tu znaleźliśmy. Jak możesz być tak spokojna, przecież to wydarzenie roku. Co ja mówię, roku. Stulecia! – Marta mogła przysiąc, że w kącikach jego oczu dostrzegła kręcące się łyzy. – Nie będę mógł dzisiaj spać. Ale nie szkodzi. Nie szkodzi. Gdzie jest reszta płynu mózgowo-rdzeniowego? Przecież tu zaraz hodowlę trzeba założyć!

To był Marek, jakiego znała. Strzelający entuzjazmem i sypiący danymi na tematy, które go pasjonowały. Choć zwykle były to grzyby, to w tym przypadku jego ekscytacja pierwotniakiem miała solidne uzasadnienie – ostre zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych i mózgu wywołane przez *Naeglerię fowleri* było rozpoznaniem, które w Polsce jeszcze nigdy przez nikogo nie zostało postawione. Aż do teraz. Byli pionierami. Odkrywcami, których nazwiska złotymi zgłoskami wyryją się w annałach historii krajowej medycyny. A przynajmniej w wyszukiwarce PubMed, co w dzisiejszych czasach oznaczało praktycznie to samo.

– Ciekawe, gdzie to złapał? Przecież ostatnimi czasy siedział w areszcie? – Było to pytanie, które padnie w przyszłości jeszcze wielokrotnie. Marta była tego pewna. – Zaraz, a czy ty czasem nie pisałaś kiedyś artykułu o *Naeglerii* w Polsce? W jeziorach koło Konina?

– No ja. Ale furory nie zrobił.

– To teraz zrobi.

– Hm... – O tym nie pomyślała, ale miał rację. Cóż, nigdy nie zaszkodzi upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. A właściwie trzy. – Wyobrażasz sobie, co się za chwilę stanie? Jak powiemy o tym, co tu znaleźliśmy?

– Na razie nie mów o tym nikomu. Musimy się solidnie przygotować, inaczej te sępy ukradną nam temat. – Myśli każdego naukowca krążyły zawsze wokół największego zagrożenia. Marek nie był wyjątkiem.

– Jest jeden problem. Ten człowiek żyje i dostaje meropenem i wankomycynę. A powinien amfoterycynę.

– Problem? – Marek skrzywił się pogardliwie. – To neglerioza. Mówiłaś, że która doba? Siódma? Możecie go w tej amfoterycynie nawet utopić, już i tak nic mu ona nie pomoże.

– Jeśli go w niej utopimy, to na pewno.

– Mówię poważnie.

– Nie, nie mówisz. Udam, że tego nie słyszałam. W tej chwili idę na intensywną terapię powiedzieć im o konieczności zmiany leczenia.

– Marta, ja cię proszę. Nie, ja cię błagam! Potrzebuję kilkunastu godzin, żeby obsiać poletko. Potem już nikt nam nie zادةpcze planów.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – udała oburzenie.

– Chcę zrobić wszystko sam, to znaczy opisać preparaty, założyć hodowlę i porobić zdjęcia. Jeśli teraz powiem komuś o odkryciu, Julunia wsadzi mi do pomocy swoją niedorozwiniętą córeczkę, która nawet do mycia pipet się nie nadaje. Potem dopisze ją do artykułu, a jej nazwisko będzie przed moim, chociaż to ja zrobię całą robotę.

„Julunia” była szefową Marka, profesor Julią Brystygier, kierownikiem Katedry i Zakładu Mikrobiologii Lekarskiej oraz dziekanem wydziału na Uniwersytecie Medycznym. Jej córka w rzeczy samej nie odznaczała się wybitnym intelektem, a studia skończyła głównie dzięki protekcji matki. Tajemnicą poliszynela było, że „Julunia” namaszczała córkę na swą następczynię. Zresztą sama również objęła stanowisko po swoim ojcu, profesorze Włodzimierzu Brystygierze. Nie było w tym nic dziwnego, w końcu katedry na uniwersytetach medycznych dziedziczyło się w Polsce niczym pałace radzów w Radzastanie. Nawet przepisy, które w teorii miały zapobiegać zjawisku nepotyzmu, przegrały z pomysłowością zainteresowanych – profesorowie wymieniali się swoimi dziećmi w ramach katedr. „Ty, Romku, przyjmij moją Madzię, a ja w zamian przygarnę twojego Andrzejka”.

– Ale jak ty to sobie wyobrażasz? Przecież ten człowiek umiera.

– No właśnie, umiera, i ani ty, ani twoja amfoterycyna mu w tym nie przeszkodzicie. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Ile znasz przypadków ozdrowień?

Marta nie musiała długo myśleć. Neglerioza to choroba o bardzo wysokiej śmiertelności. Tak wysokiej, że ujęcie z życiem właściwie graniczy z cudem. Dlatego ją wybrała.

– No widzisz. – Źle zinterpretował brak odpowiedzi. – Te parę godzin w tę czy we w tę nie będzie miało dla niego żadnego znaczenia. I tak jest już żywym trupem. Zresztą... – Machnął ręką. – Kto ma po nim płakać? Te zgwałcone czy te zabite?

– Wkraczamy na niebezpieczny teren – ostrzegła Marta.

– No i? Sami tu jesteśmy. Możemy kroczyć, gdzie nam się podoba. Proszę cię tylko o kilkanaście godzin.

– Nie.

– Dobra, to powiem inaczej. Ja nie rozpoznaję żadnej amebosy i pod niczym się nie podpisuję. Jest jeszcze za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć. I nie potwierdzę twoich rewelacji. A ty jesteś specjalistą chorób zakaźnych, nie mikrobiologiem i twoja obecność w laboratorium jest quasi-towarzyska.

Marta westchnęła. I tak nie zamierzała udawać zbyt długo.

– Wisisz mi przysługę. – Pogroziła mu palcem. – Pamiętaj!

– A ty pamiętaj, żeby zebrać z systemu wszystkie możliwe informacje na temat jego hospitalizacji. Jutro zaczynamy pisać artykuł.

Wyszła z Oz zadowolona. Poszło znacznie lepiej, niż zaplanowała.

Wróciła na oddział chorób zakaźnych. Co prawda było już bardzo późno i powinna tam zastać jedynie dyżurnego, ale wolała upewnić się przed wyjściem ze szpitala, że z jej pacjentami było wszystko w porządku. Młody nie dzwonił, więc nie przewidywała problemów, ale „wzmóżona czujność gwarancją większego bezpieczeństwa”, jak głosił napis na drzwiach szpitalnego biura BHP.

Korytarz oddziału zakaźnego zastawiony był łózkami, na których leżeli pacjenci z włośnicą. Było ich tyle, że nie mieścili się w salach chorych. Przywitała ją cisza, co oznaczało, że sterydy i leki przeciwbólowe zaczęły wreszcie działać. Jeszcze kilka godzin temu korytarz wypełniały jęki nowo przywiezionych, co zresztą było w pełni zrozumiałe – penetracja larw włośnicia do komórek mięśniowych i związany z tym

odczyn zapalny wywołują ogromny ból. Marta była pewna, że większość z tych ludzi nie tknie już dziczyzny nawet kijem.

Ku swemu zaskoczeniu w głównej dyżurce lekarskiej zastała Młodego.

– Co ty tu jeszcze robisz o tej porze? Stało się coś?

– Nie, tylko czekałem na ciebie. Widziałem, że jeszcze nie wyszłaś, zostały twoje rzeczy, a głupio mi było tak przed tobą...

„Obowiązkowy przedstawiciel Pokolenia Z? To coś nowego”.

– Niepotrzebnie. Jak kończysz pracę, to idziesz do domu. Pilnuj tej zasady, bo w tej pracy rzadko zdarza się wychodzić o czasie. A od sierpnia, jak ci dyżury wejda, zaczniesz tu prawie mieszkać.

Uśmiechnął się niepewnie.

– Z naszymi wszystko w porządku? Bartycki żyje? – spytała.

– Tak, był kardiolog, wpisał wyniki badań i konsultację do dokumentacji. Nie ma zapalenia mięśnia sercowego.

Marta zalogowała się do systemu i sprawdziła wpisy.

– To co tu jeszcze robisz? Zmykaj. A sio!

Młody pomachał jej na pożegnanie i wyszedł.

Raz jeszcze przejrzała dokładnie dokumentację medyczną Schulza. W głowie rodził jej się pomysł na artykuł i chciała ustalić szczegóły.

Powrót do domu zajął jej niewiele czasu. Było już dawno po godzinach szczytu i ruch uliczny posuwał się płynnie – jedna z niewielu zalet zostawiania w pracy po godzinach.

Michała nie zastała w mieszkaniu, ale przecież uprzedził ją, że wróci późno. Odgrzała sobie resztki z wczorajszego obiadu.

Najedzona, otworzyła PubMed, aby w spokoju, jeszcze przed powrotem Michała, poszukać kolejnych artykułów na temat negleriozy. Miała już ich sporo, ale nadal nie znalazła odpowiedzi na pytanie, jak uzasadnić obecność pasożyta w mózgu człowieka osadzonego w jednym z polskich więzień. A brak rozsądnej hipotezy będzie prowadził do powstania wielu groźnych dla niej pytań.

W końcu natrafiła na artykuł o obecności pasożytów w osadzie rur doprowadzających wodę do domów w Arizonie. Ciekawe. Nawet bardzo. Z pewnością był to trop, który mógł jej się przydać.

Szukałaby dalej, gdyby nie reklama, która pojawiła się na bocznym pasku otwartej właśnie strony. Zdjęcie przedstawiało monsterę delicioasă „Variegatę”, o której Marta już od dawna marzyła. Kliknęła w obrazek i przeniosła się na stronę znanego sklepu ogrodniczego. Spojrzała na cenę i skrzywiła się. Zarabiała nieźle, ale taki wydatek byłby jednak sporą przesadą. Lepiej poczekać, aż roślina przestanie być takim rarytasem i zacznie kosztować połowę tego co teraz. Skoro jednak już tu weszła, warto byłoby sprawdzić okazje dnia. I przeceny sezonowe. I może jeszcze nowości. Marta nie zauważyła nawet, w którym momencie umieściła w koszyku różowe Syngonium, pasiastą kalatę i trzecią w swojej historii alokazję (poprzednie dwie skończyły marnie, ale wiadomo, do trzech razy sztuka). Co prawda miała oszczędzać na dalszy remont mieszkania, ale – jakkolwiek patrzeć – kwiaty były elementem dekoracyjnym, więc praktycznie składową tego remontu.

Kiedy opłaciła zamówienie i chciała powrócić do poszukiwań na PubMedie, otrzymała powiadomienie o nowej wiadomości e-mail. Przełączyła okienka przeglądarki i sprawdziła pocztę. Nazwisko nadawcy wbiło ją w fotel. Przez moment

zastanawiała się, co powinna zrobić. Dlaczego e-mail? Pełna złych przeczuć wyświetliła treść wiadomości: „Jeśli to czytasz, to znaczy, że stało się ze mną coś złego. Prawdopodobnie ma to związek z nagraniem, o którym kiedyś rozmawialiśmy i które przesyłam w załączniku. Przesłuchaj je i sama zdecyduj, co robić dalej. Leszek.”

Zawahała się. Może powinna zawiadomić policję? Albo chociaż poczekać na Michała? A co, jeśli była to jedna z tych znikających wiadomości i nikt oprócz niej już jej nie otworzy? Przeczytała raz jeszcze treść otrzymanego e-maila i przypomniała sobie o pewnym popołudniu w „Błęńskiej”. To było kilka miesięcy wcześniej. Zaczynała wtedy dyżur. Leszek poprosił ją o rozmowę na boku i powiedział o istnieniu tego nagrania. Pamiętała, że bardzo ją tym wówczas rozgniewał. Choć, Bogiem a prawdą, nie brała jego słów na poważnie i dawno już zdążyła o nich zapomnieć. Poza tym nie sądziła, że nagranie faktycznie kiedykolwiek do niej trafi.

Teraz po prostu nie miała już wyjścia. Kliknęła przycisk odtwarzania i zaczęła słuchać.

ROZDZIAŁ 8

Marta raz jeszcze wyjaśniła Michałowi okoliczności powstania nagrania.

– Widział, jak wszyscy czterej wchodzi do gabinetu: Stary, to znaczy nasz ordynator, Marchlewski, jego zastępca, Feld, o którym ci już opowiadałam, i Salpeter. Salpeter to jest...

– Wiem, kim jest Salpeter. Bez tego człowieka niewiele się w Warszawie może wydarzyć. Od dawna jest na celowniku policji.

Salpeter oficjalnie był lobbystą, właścicielem firmy o nazwie „WS Public Affairs Management”, która jak przystało na firmę lobbującą, miała zajmować się „obroną interesów swoich klientów poprzez nawiązywanie i utrzymywanie kontaktów z politykami i instytucjami publicznymi”. Dodatkowo Salpeter lubił rozpowszechniać informacje o swoich rzekomych powiązaniach ze służbami specjalnymi, dzięki czemu jego klienci mogli liczyć na parasol ochronny „tam, gdzie trzeba”. W rzeczywistości Salpeter był zwykłym przestępcą, byłym członkiem jednego z podwarszawskich gangów, a firma służyła mu jako przykrywkę do legalizowania nielegalnych interesów. Jedno było jednak pewne – Salpeter nie musiał być w służbach, żeby znać w Warszawie wszystkich, których znać należało. Bez jego błogosławieństwa nie mógł odbyć się tu żaden większy szwindel, a ci, którzy stawali mu na drodze, znikali bez śladu. Salpeter był bardzo niebezpiecznym człowiekiem i Marta schodziła mu z oczu zawsze, ilekroć pojawiał się na oddziale zakaźnym. A pojawiał się tam nierzadko, ze względu na Starego, z którym od dawna łączyły go tajemnicze interesy.

Wszystko to powiedziała Michałowi po raz pierwszy już kilka godzin temu. Wrócił do mieszkania o trzeciej nad ranem. Próbowała dodzwonić się do niego od razu po tym, jak odsłuchiwała nagranie, nie odbierał jednak telefonu i nie odpisywał na SMS-y. Nie panikowała. To nie był pierwszy raz, gdy nie było z nim kontaktu. Nigdy nie pytała też o powody, dla których stawał się nieuchwytny. Były dla niej oczywiste. W końcu sama również nie odbierała połączeń, gdy była w szpitalu i miała dużo roboty.

Gdyby jednak robił w tym czasie coś innego, na przykład ją zdradzał, praca byłaby idealnym alibi...

Obudziła się od razu, jak tylko przekręcił klucz w zamku, zresztą i tak spała niespokojnie. Pokazała mu wiadomość od Leszka oraz nagranie. Opowiedziała o dniu, w którym powstało. Przynajmniej tyle, ile sama wiedziała.

Teraz, krótko po dziewiątej, oboje siedzieli przy stole w kuchni, pijąc litry kawy i znów rozmawiając na temat tego, co zawierało nagranie i jaki mogło mieć związek z zaginięciem Leszka.

Na nagraniu słychać było głównie Felda, który głośno opracowywał strategię działań zmierzających do refundacji Volandy. Spotkanie Towarzystwa Naukowego Chorób Zakaźnych, na którym Stary miał przekonać członków do podpisania listu poparcia refundacji, było częścią tej strategii. Feld obiecał dostarczyć Staremu dane do prezentacji, która zostałaby dołączona do listu. „Właściwie, Tomciu, możemy tę prezentację zrobić za ciebie. Nie będziesz musiał już nic robić. Odpowiada ci taki układ?”

– No więc Leszek zobaczył, jak wszyscy czterej wchodzi do gabinetu Starego i podejrzewając jakiś grubszy przekręt, nagrał tę rozmowę. – Po raz kolejny rozpoczęła swoje wyjaśnienia Marta. – Kiedyś, podobno przez przypadek, zauważył, że ze składziku, który przylega do gabinetu Starego, słychać rozmowy prowadzone w gabinecie. Wystarczy przybliżyć ucho do ściany, w której swego czasu były drzwi.

– Zawsze się tak zachowywał?

– W sensie wtrącał w nie swoje sprawy? W sumie tak, zawsze.

– A ostatnio, czy był czymś zaniepokojony? Opowiadał o jakichś podejrzanych ludziach? Coś go bardziej zdenerwowało?

– Znasz Leszka. Ciągłe mówił, że ktoś chce go zwolnić albo dopaść... Traktowałam to trochę w kategorii urożeń, trochę jak prawdę, ale przesadzoną... W końcu faktycznie irytował wiele osób, zwłaszcza dyrekcję szpitala... Ale nie żeby aż tak... – Marta machnęła ręką. – No ale teraz, w tych okolicznościach...

Zamilkła i pomyślała o słowach, które usłyszała na nagraniu:

„A co zrobimy z Franczakiem i Czaplińskim? Oni tego nie kupią”. – Pomimo kiepskiej jakości dźwięku bez problemu rozpoznała głos Marchlewskiego.

„Chuj z Czaplińskim, to stary rżęch, nikt go nie bierze na poważnie”. – Tym razem był to Stary.

„Ale Franczak może nam narobić koło piór. Ciągłe jeszcze ma znajomości w ministerstwie” – odpowiedział Marchlewski.

„Panowie, panowie, to już nie jest wasze zmartwienie. Do was należy oprawa merytoryczna. – Do rozmowy wtrącił się Feld. – Twarde dane, łzawe historyjki o pacjentach i tak dalej. No chyba nie muszę was uczyć, jak to ma wyglądać. Resztę zostawcie nam. Zresztą Franczak to stary dziad, a dziadom, jak wiadomo, wszystko może się przytrafić – udar, zawał serca... No, może w ogóle nie będzie problemu, nie ma co się zamartwiać na wyrost”. – Po ostatniej uwadze Feld głośno zarechotał, tak jakby opowiedział świetny kawał.

Marta podniosła do ust kubek z kawą, ale ledwie zamoczyła usta.

– Ciągłe uważasz, że zgon Franczaka nastąpił z przyczyn naturalnych? – Spojrzała na Michała.

Wzruszył ramionami.

– Wreszcie rozumiem zachowanie Leszka w momencie, kiedy dowiedział się o śmierci Franczaka. Zareagowałabym tak samo. Jak sobie przypomnę, z jakim smutkiem ten skurwysyn oznajmił o śmierci Franczaka...

– O kim mówisz?

– O Starym. Pieprzony aktor. Wszystko sobie wcześniej zaplanowali... Wykończyli Franczaka...

– Tego nie wiesz.

– Przecież słyszałaś nagranie.

– Słyszałam. Żartują z jego śmierci, ale jej nie planują. Nie na nagraniu.

– Mówisz poważnie? Chyba słuchaliśmy dwóch różnych rozmów! Na dodatek w zebraniu uczestniczył Salpeter, a ten się nie bawi w łagodne metody, sam mi to powiedział. Nie odzywa się na tym nagraniu, ale wiem od Leszka, że tam był. Wykończyli Franczaka i pewnie załatwili teraz Leszka. Wkrótce znajdziecie gdzieś jego ciało... Mój Boże, co ja mam powiedzieć Dorocie?

– Marta, nie wolno ci z nikim na ten temat gadać, nawet z Dorotą, rozumiesz? – Michał chwycił ją za nadgarstki, nieco mocniej, niż powinien. – Spójrz mi w oczy.

Teraz obiecaj, że nikomu o tym nie powiesz. To bardzo ważne.

– Nie traktuj mnie jak dziecka. Przecież wiem, że nie powinnam tego rozpowiadać.

– Nie powinnaś jeść ciastek po osiemnastej. O tym nie możesz mówić. Nie wolno ci. Pamiętasz, co stało się ostatnim razem?

Kiedy poprzednio poprosił ją o dyskrecję, nie posłuchała go i załatwiła sprawę po swojemu. W rezultacie o mały włos nie pożegnała się z życiem – została porwana przez seryjnego mordercę. Tylko dużemu szczęściu i własnemu sprytowi zawdzięczała, że nadal mogła oddychać.

– Przecież mówię, że wiem.

– Nie kombinuj. Widzę po twojej twarzy, że coś kombinujesz. To nie jest twoja sprawa, tylko moja. Sprawa policji. Przekazałaś nagranie, zrobiłaś, co do ciebie należało, teraz odsuń się na bok.

– Leszek to facet mojej najlepszej przyjaciółki. I mój kolega z pracy. Więc jednak nie do końca to nie moja sprawa.

– Nie wchodź nam w paradę, bo coś schrzanisz i jeśli Leszek żyje, to może przestać. A tego byś nie chciała. I zachowuj się normalnie. Nie chcemy żadnych podejrzeń w twoim szpitalu. Daj nam pracować.

– Nam, policji, czy nam...

– Policji. Tym razem to sprawa dla policji. Od początku do końca.

– Z tym końcem tobym się na twoim miejscu tak nie rozpędziała...

Michał puścił wreszcie jej dłoń.

– Znasz takiego dziennikarza o nazwisku Klich?

– Klich? Pierwsze słyszę. Dlaczego?

– Zgłosił się do nas tuż po zniknięciu Leszka. Powiedział, że otrzymał od niego informacje o tym nagraniu. Ale tylko informacje. Nigdy nie przesłuchał samego nagrania.

– Ta sprawa robi się coraz dziwniejsza... No i co z tym dziennikarzem?

– Chciałem się tylko dowiedzieć, czy Leszek mówił ci kiedykolwiek coś na jego temat.

– Nie. Może Dorocie. Ja nic nie wiem.

– Porozmawiam z Dorotą. A teraz muszę się zbierać. Zobaczymy się wieczorem?

– Nie zobaczymy. Po południu zaczynam dyżur.

– Zapomniałem. To w takim razie do zobaczenia jutro. Nie życzę ci spokojnego dyżuru, bo wiem, że tego nie lubisz.

– Nie że nie lubię. Po prostu, jeśli ktoś życzy ci spokojnego dyżuru, to jakby wypowiadał zaklęcie przywołujące Czterech Jeźdźców Apokalipsy.

Michał roześmiał się i dopił swoją kawę. Sprawdził w kieszeniach, czy zabrał portfel i klucze, a na koniec pocałował Martę na do widzenia.

Po kilku sekundach jego głowa ponownie pojawiła się w drzwiach.

– Byłbym zapomniiał. Przyniosłem kolejne ksera akt w sprawie morderstwa twoich rodziców. Leżą na biurku.

Kiedy została sama, rozejrzała się zrezygnowana po mieszkaniu. Nie miała nastroju na czytanie materiałów ze śledztwa. Czekwała na wolny poranek, żeby zrobić pranie, prasowanie i odkurzanie. Nie mówiąc już o przygotowaniu wykładów czy materiałów do publikacji. Miała tyle zaległych obowiązków, że mogła zrobić tylko jedno – położyć się na kanapie i włączyć telewizor.

Nie była w stanie zająć się niczym konkretnym. Karuzela myśli przyprawiała ją o ból głowy i najchętniej odwołałaby dzisiejszy dyżur. Do rozpoczęcia pracy zostało jej jednak jeszcze kilka godzin, miała więc całkiem sporo czasu, by doprowadzić się do porządku.

A nic nie sprowadzało myśli na właściwe tory tak dobrze, jak uprzednie kompletne odmóżdżenie.

Skakała po kanałach, nie szukając niczego konkretnego. O tej porze dnia nie spodziewała się znaleźć żadnych ambitnych treści. A gdyby takie się jednak trafiły? No cóż, miała przecież pilota i mogła zmienić kanał. W tej chwili potrzebowała czegoś totalnie głupiego, w stylu telewizji śniadaniowej.

Nagle na jednym z kanałów mignęła jej znajoma twarz. Marta usiadła, zwiększyła głośność i zaczęła z uwagą słuchać. Mięśnie jej twarzy się naprężyły, a karuzela w głowie zawirowała szybciej. Była już pewna, że dziś nie obędzie się bez paracetamolu.

– Każdego roku ponad półtora miliona ludzi zaraża się HIV. W Polsce grubo ponad tysiąc osób. Wiemy, że Volanda prawidłowo przyjmowana zmniejsza ryzyko zakażenia HIV o dziewięćdziesiąt dziewięć procent. O dziewięćdziesiąt dziewięć procent!

Ostatnie zdanie Stary praktycznie wykrzyczał. Siedział w jakimś studiu, ubrany w dopasowany garnitur. Przed nim na stoliku leżał stetoskop, ułożony w zgrabną dekorację. Tydzień temu w dyżurce lekarskiej rozgorzała dyskusja, czy nadal pamiętał, jak go używać. Stary niestety nie mógł udowodnić, że podwładnymi kieruje czysta złośliwość, a on jest doskonałym specjalistą, bo właśnie w tym czasie miał spotkanie z przedstawicielem medycznym Zeligi Pharm.

– Skoro Volanda jest taka skuteczna, to dlaczego tak niewielu ludzi w Polsce z niej korzysta? – Redaktor prowadzący spotkanie włożył sporo wysiłku w to, by wyglądać modnie. Podobnie jak Stary, ubrany był w elegancki i skrojony na miarę garnitur, ale sztywność ubioru próbował przełamać skarpetami w kolorowe koty, na które operator co chwila najeżdżał kamerą. Miało to zapewne sprawić wrażenie profesjonalizmu z nutką luzu, coś w stylu „znam-swoją-wartość-i-nie-boję-się-takich-żarcików”. Marta uznała, że wyglądał jak kompletny debil.

– Dobrze pytanie. Bardzo dobre. – Stary w zamyśleniu potarł brodę, choć przecież jasne było, w jakim kierunku podążyła ta rozmowa. – Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to wiadomo, że chodzi o pieniądze. Tabletki, które rekomendujemy jako profilaktyka przedekspozycyjna HIV, Volanda, to nie kombinacja kilku leków, jak było do tej pory, ale jedna jedyna substancja chemiczna o nazwie mazanawir. Jest ona doskonale tolerowana, praktycznie nie daje działań niepożądanych, przez co adherencja naszych pacjentów, czyli regularność w stosowaniu, jest imponująca. Niestety, jeśli coś ma tyle zalet, musi dużo kosztować. Volanda nie jest najtańszym lekiem. I nie może być. Jednak, kiedy policzymy, ile kosztuje nas leczenie AIDS, okaże się, że Volanda jest ułamkiem, promilem tego, co musieliśmy zapłacić. Lepiej zapobiegać, niż leczyć, tak głosi stare przysłowie i to oczywiście prawda. Ale ja pójdę dalej. Sparafrazuję ten truizm i powiem, że taniej jest zapobiegać HIV, niż leczyć AIDS.

– Co zatem możemy zrobić, by więcej ludzi mogło pozwolić sobie na Volandę? – Redaktor przestał przytakiwać tylko po to, by zadać pytanie. Gdy usłyszał odpowiedź, jego głowa znów zaczęła potakiwać, nieco za szybko i sztucznie. Wyglądał jak wielki kiwon, z głową wprawioną w ruch przez niewidzialny palec.

– Refundować, refundować i jeszcze raz refundować.

– To dlaczego Volanda nie jest jeszcze refundowana?

– Profilaktyka przedekspozycyjna HIV dotyczy szczególnych grup społecznych. Stygmatyzowanych i dyskryminowanych. Reprezentujących niepopularne wartości. Może to jest ten powód.

– To straszne, że uprzedzenia mogą dotyczyć również tak wrażliwej sfery naszego życia jak ochrona zdrowia. – Redaktor miał chyba sprawić wrażenie zbulwersowanego, ale zabrzmiiał pretensjonalnie.

– Niestety, choć naszą rolą jest ochrona słabszych, czasami nam się to nie udaje. Polityka... – Stary zrobił wymowny gest ręką.

– A czy my wszyscy, widzowie, możemy jakoś pomóc? – Marta nie wierzyła, by ktokolwiek mógł to kupić. Śmierdziało ustawką na kilometr.

– Tak, mam do państwa apel o podpisywanie specjalnej petycji, którą stworzyliśmy wspólnie z innymi ekspertami. Dostępna jest na stronie... – Padła nazwa, której Marta nigdy nie słyszała. – Zostanie ona przesłana do wszystkich polityków, którzy są zaangażowani w procesy refundacyjne. Tylko razem możemy pomóc tym, którzy tego bardzo potrzebują. Pamiętajmy, że każdy z nas, podkreślam, każdy, może się kiedyś znaleźć w sytuacji, gdy będzie musiał korzystać z tego nowatorskiego leku.

– Cóż, nie pozostaje mi nic innego jak podziękować panu profesorowi za wywiad oraz poświęcenie dla chorych. To budujące, że są jeszcze ludzie, którzy nie gonią za pieniędzem, ale są skłonni pomagać innym, zwłaszcza słabszym i prześladowanym. – Redaktor skinął głową Staremu, który słysząc pochlebstwo, udał zakłopotanie. – Państwa i moim gościem był wybitny lekarz, specjalista chorób zakaźnych oraz konsultant wojewódzki w tej dziedzinie, profesor Tomasz Czechowski.

Kiedy z głośników rozbrzmiał dzingiel sygnalizujący koniec programu, Marta wyłączyła telewizor. Wstała z kanapy i poszła do kuchni w poszukiwaniu leku przeciwbólowego. Jej głowa była dwa razy większa i cztery razy cięższa niż przed programem.

Jak brzmiał ten fragment, który słyszała na nagraniu od Leszka? Ten wypowiedziany przez Felda?

„No, szanowny panie ordynatorze, studio masz już zaklepane. Jaruś to mój stary znajomy, jeszcze z dawnych, szalonych czasów, he, he. Pytania dostaniesz kilka dni przed, *no worries*. Przychylny sprawie, sam za Volandę buli z własnej kieszeni. Stać go, nie mówię, że nie, ale mieć dwie stówki, a nie mieć dwóch stówek, to już cztery stówki”.

Otworzyła szufladę z lekami i znalazła paracetamol. Sprawdziła datę ważności. Połowa leków w szufladzie była przeterminowana, ale Marta nie miała czasu zajmować się takimi rzeczami. Szewc i jego dziurawe buty... Na szczęście akurat paracetamol nadawał się do użytku. Dla pewności połknęła od razu dwie tabletki. Zaparzyła kolejną kawę i wzięła prysznic. Postanowiła, że pojedzie do „Błęskiej” kilka godzin wcześniej. Sprawdzi, jak Młody radzi sobie z pacjentami, i może zajrzy do Schulza dowiedzieć się, jak przebiega jego planowy zgon. W domu i tak nie była w stanie na niczym się skupić. Potrzebowała silnej dawki adrenaliny, która oderwałaby ją od problemów. Życie cudzym życiem, zwłaszcza życiem pacjentów, paradoksalnie było łatwiejsze, o czym przekonała się już wielokrotnie.

Wychodząc, obrzuciła pełnym winy spojrzeniem stertę dokumentów piętrzących się na biurku w gabinecie. Sprawa morderstwa jej rodziców... Całe życie marzyła o tym, by poznać przyczyny tragedii, która wydarzyła się w jej domu, a teraz, gdy ma ku temu okazję, robi wszystko, by odwlec to w czasie.

Choć trzeba przyznać, że ostatnio problemy piętrzyły się niepokojąco i niespecjalnie pozwalały na wnikliwą analizę tomów akt. Zniknięcie Leszka było ich kulminacją, a przynajmniej Marta miała taką nadzieję. Nie zniosłaby kolejnych niespodzianek. Najbardziej martwiła się o Dorotę. Jakiego trzeba mieć pecha, by zakochać się w życiu tylko dwa razy i w obu przypadkach stracić miłość w dramatycznych okolicznościach. Marta już nie wierzyła, by Leszek mógł odnaleźć się żywy.

Przekręciła klucz w zamku i podeszła do drzwi sąsiadki, pani Marii. Przed wyjściem chciała sprawdzić, czy staruszce niczego nie potrzeba, ale po dwóch dzwoneczkach drzwi nadal pozostawały zamknięte. Nie zmartwiło to Marty specjalnie. Wiedziała, że po zniknięciu wnuka pani Maria wpadła w wir spotkań towarzyskich w kręgu studentów uniwersytetu trzeciego wieku. Zresztą Marta sama postarała się, by tak się stało.

Jedną ze stałych pacjentek oddziału zakaźnego była Agnieszka Kęsicka, emerytowana nauczycielka. Była to osoba wyjątkowo pogodna i towarzyska, a pielgrzymki odwiedzających ją w szpitalu znajomych były już legendarne. Przy okazji kolejnej hospitalizacji Marta opowiedziała Kęsickiej o swojej sąsiadce i poprosiła, by ta pokazała pani Marii, jakie możliwości czekają na emerytów w stolicy. Poznała ze sobą obie kobiety, a te naprawdę się zaprzyjaźniły. Skutek był taki, że pani Maria prowadziła teraz prawdziwie kawiarniany tryb życia i przez większość czasu była nieuchwytna.

Kiedy Marta dotarła do „Błęńskiej”, zaczęła od wizyty na oddziale intensywnej terapii. Przed drzwiami do oddziału nie było policjanta, ale nie było również potrzeby, by trzymać wartę. Schulz, zgodnie ze szczerą informacją młodego anestezjologa, był w stanie „stabilnym beznadziejnym”. I nikt się nie spodziewał, by wyszedł ze szpitala inaczej niż nogami do przodu. Marta obiecała, że wykorzysta swoje znajomości w Krainie Oz i pośpieszy mikrobiologów w próbie dojścia do sedna problemu Niuchacza. Co prawda, w opinii anestezjologa, odpowiedź na pytanie o to, co mu dolega, niespecjalnie mogła się już Schulzowi przydać, ale stanowiła możliwe ceną lekcję na przyszłość.

W trakcie całej rozmowy Schulz leżał sobie spokojnie i nieruchomo, cierpliwie poddając się zabiegom pielęgniarzek, w asyście dźwięków wydawanych przez monitor, do którego był podłączony. Żadnej z kobiet nie łapał za biust i Marta pomyślała, że *Naegleria fowleri* powinna być obligatoryjną częścią procesu resocjalizacyjnego seryjnych morderców i gwałcicieli. Wykazywała niezwykłą wprost skuteczność, nieznaną rutynowo wykorzystywanym metodom.

Zgodnie z obietnicą daną anestezjologowi poszła prosto do Krainy Oz. I tak musiała pogadać z Markiem na temat ich odkrycia. Przechodząc obok patomorfologii, zerknęła do gabinetu Doroty. Nie było jej w środku, co oznaczało, że przeprowadza sekcję lub opisuje wycinki. Faktycznie, Marta znalazła ją pochyloną nad mikroskopem w pracowni obok gabinetu. Wyglądała źle, wyraźnie widać było po niej nieprzespane noce. Na dodatek ewidentnie nie miała ochoty na rozmowę, tym bardziej że nie było żadnych nowych informacji o Leszku. A inne tematy nawet nie wchodziły w grę. Marta pożegnała przyjaciółkę i z poczuciem winy skierowała się w stronę mikrobiologii.

Za to Marek wyglądał kwitnąco. Perspektywa obrony pracy doktorskiej, która jeszcze wczoraj dodawała mu dziesięć lat, dziś była nieistotną drobnostką. Z ogromną

energiją krzątał się pośród wszystkich tajemniczych sprzętów, które zagracały niewielką pracownię.

– Gotowa na wielkie wejście w świat najczęściej cytowanych artykułów z tego roku?

– Jestem na to gotowa już od kilku lat. To świat najczęściej cytowanych artykułów najwyraźniej nie jest gotowy na mnie...

– Już wkrótce się to zmieni. Uwaga... – Wyjął z drukarki niewielki kawałek papieru i w teatralnym geście zawiesił nad nim swoją pieczętkę. – Uwaga... trzy, dwa, jeden... już! – Marek z impetem przybił pieczętkę, podpisał się i podał kartkę Marcie. Był to wynik badania mikrobiologicznego. *Naegleria fowleri* stała się rzeczywistością.

– Właściwie przyszedłam spytać, ile czasu jeszcze potrzebujesz. To dobrze, że już skończyłaś. Żle się czułam po tym, co wczoraj zrobiliśmy. Nie mogłam spać... – skłamała gładko, wpatrując się w trzymany papier.

– Ty i te twoje skrupuły... To teraz możesz już iść i ratować tego swojego zboka. Nie będę ci jednak życzył powodzenia. Mam matkę i dwie siostry, nie jestem bezstronny.

Marta przewróciła oczami i schowała kartkę do papierowej teczki. Pożegnała Marka i podążyła w stronę pawilonu, z którego przed chwilą przyszła.

– Już? – Młody anestezjolog zdziwił się, widząc ją ponownie.

– Wracam z mikrobiologii, znaleźli przyczynę dolegliwości Schulza. Chciałam jak najszybciej wam to przekazać – Marta podała mu kartkę, którą dostała od Marka. – Wynik za chwilę pojawi się też w systemie.

– *Naegleria fowleri*? Co to za gówno? – Marta była pewna, że anestezjolog nie będzie kojarzył pasożyta, a tym bardziej nie doceni znaczenia znaleziska. Nie było w tym nic dziwnego, w końcu przypadki negleriozy były wyjątkową rzadkością.

Szybko wprowadziła go w temat.

– To co mu na to dać? Bo jak rozumiem, w tej sytuacji trzeba zmienić leczenie?

– Tak, zmieniamy na amfoterycynę. – Na twarzy anestezjologa pojawił się grymas. Marta domyśliła się, że liczył w myślach koszty. Wiedziała również, że za kilka godzin ordynator Oddziału Intensywnej Terapii skontaktuje się ze Starym, by spytać, czy nie można włączyć czegoś tańszego. Praca lekarza w Polsce już od dawna miała w sobie coś z kupiectwa. Marta westchnęła i wyciągnęła w kierunku anestezjologa dłoń. – Mogę prosić o jego dokumentację medyczną? Chcę wpisać konsultację.

Zalogowała się do szpitalnego systemu na Oddziale Intensywnej Terapii i wprowadziła informację o konsultacji. Po jej zatwierdzeniu zrobiła wydruk, podbiła pieczętką i opatrzyła podpisem. A potem wkleiła do papierowej teczki pacjenta. Cyfryzacja szpitala w wykonaniu krewnych dyrektor Kujawiak-Pachciarz oznaczała, że wpisy w dokumentacji pacjentów trzeba było teraz robić podwójnie.

Pierwszy przypadek negleriozy w Polsce stał się faktem. Na razie niedocenionym, ale to była tylko kwestia czasu, kiedy wiadomość o tym rozpoznaniu rozniesie się po całym szpitalu. A potem pójdzie w Polskę.

Pożegnała anestezjologa i ruszyła w stronę swoich rewirów.

Korytarz oddziału zakaźnego nieco się rozluźnił. Najwyraźniej niektórzy pacjenci z włośnicą zajęli miejsca tych, którzy zostali wypisani z sal chorych do domu. Jęki zupełnie ustały, niektórzy z pacjentów uśmiechali się nawet, mówiąc jej dzień dobry. Jednym z powodów, dla których tak bardzo lubiła swoją specjalizację, było to, że efekty leczenia były często szybkie i spektakularne. Poza chorobami zakaźnymi niewiele dziedzin medycyny mogło pochwalić się tym samym.

W głównej dyżurce lekarskiej panował wyjątkowy spokój. Każdy z uwagą pochylał się nad dokumentacją swoich pacjentów.

– Marta? Ty już na dyżur przyszałaś? – Doktor Zawada spojrzała na zegarek. – Przecież masz jeszcze prawie dwie godziny!

Wszyscy pozostali unieśli głowy i ze zdziwieniem spojrzeli w stronę drzwi. Marta znana była z tego, że przychodziła do pracy przed czasem, ale tym razem to była przesada.

– Tak wyszło. Nie pytajcie dlaczego. Za to urządzę wam dzisiaj dzień dziecka. Przyjmę wszystkich pacjentów z SOR-u, jacy się pojawiają. Biorę ich na siebie. Czas start.

Otrzymała aplauz. Jedną z nielicznych zalet pracy w szpitalu był zgrany zespół. Lubiała swoich kolegów i oni lubili ją. O negleriozie wołała jednak nie wspominać. Wszystko w swoim czasie.

Przyjęcia były trzy. Kobieta z podejrzeniem bąblowicy, druga z zaostrzeniem przewlekłego wirusowego zapalenia wątroby oraz mężczyzna z biegunką po powrocie z Tajlandii. Pacjent z biegunką trafił do izolatki, obie kobiety, z braku miejsc, zostały tymczasowo ulokowane na korytarzu, obok pacjentów z włośnicą. Oddział nie był z gumy, choć czasami sprawiał takie wrażenie.

Kiedy nadeszła pora wieczornego obchodu, zaczęła od oddziału zamkniętego. Formalnie oddział zakaźny, na którym pracowała Marta, był Kliniką Chorób Zakaźnych składającą się z trzech pododdziałów: zakaźnego dla dorosłych, zakaźnego pediatrycznego oraz zamkniętego, na który przyjmowani byli pacjenci uzależnieni od substancji psychoaktywnych i zakażeni wirusem HIV. Ten ostatni był zmorą prawie wszystkich pracowników Kliniki Chorób Zakaźnych, w tym Marty. Zazwyczaj kończyła obchód na oddziale zamkniętym, chcąc w ten sposób odwlec moment konfrontacji z pacjentami, których nie znosiła. Ostatnio zmieniła jednak system, zaczynając od przykrego obowiązku. W ten sposób szybciej miała go z głowy. Żegnajcie mity o bezstronności lekarzy! Po oddziale zamkniętym przyszła więc kolej na zakaźny dla dorosłych, po nim zakaźny dla dzieci.

Tego dnia ostatnią salą, którą odwiedziła w trakcie obchodu, była piątka na oddziale pediatrycznym. Leżał tam Piotruś, czterolatek, który dochodził do siebie po wirusowym zapaleniu opon mózgowo-rdzeniowych. Infekcja miała dramatyczny przebieg, chłopiec trafił nawet na pewien czas na Oddział Intensywnej Terapii. Na szczęście udało się go uratować, a ubytki neurologiczne, które były skutkiem infekcji, częściowo ustąpiły. Dziecko było jednak w kiepskim nastroju psychicznym i bardzo powoli odzyskiwało radość życia. Utrudniało to rehabilitację, bo chłopiec nie chciał wstawać z łóżka i wykonywać ćwiczeń usprawniających, nie przejawiał też żadnej chęci do kontaktu z rówieśnikami. Leżał całymi dniami w łóżku i popłakiwał w poduszkę.

– Cześć, Piotrusiu! – Marta powitała dziecko, które leżało w łóżku i gapiło się w sufit. – Gdzie jest twoja mama? – Rozejrzała się po małej sali.

– Poszła po soczek, załatwi i będzie czytać mi bajeczkę.

– A powiesz mi, jak się czujesz?

– Dobrze.

– Coś cię boli?

– Nie.

– A usiadłbyś na łóżeczku? Poruszasz trochę nóżkami i rączkami.

- Nie.
- Dlaczego?
- Bo jestem zmęczony.
- A gdybym ci pomogła usiąść?

- Nie chcę. - Zacięty wyraz twarzy Piotrusia wskazywał na to, że bez matki chłopca Marcie niewiele uda się osiągnąć. Poddała się i zrobiła krok w tył. Niefortunnie zaczepiła przy tym fartuchem o stertę książek dla dzieci, piętrzących się na szafce. Spadły z wielkim hukiem, ale nawet to nie wywarło wrażenia na Piotrusiu. Z zaciśniętymi ustami leżał nieruchomo na łóżku i w dalszym ciągu uparcie wpatrywał się w sufit. Kiedy układała książki na blacie, zauważyła opakowanie kolorowych żelków-misiów.

Przed paroma tygodniami Marta odwiedziła swoją siostrę i siostrzenicę. Przyniosła Weronice torbę słodczy, wśród nich identyczne opakowanie gumisiów. Najpierw we trzy grały w planszówki, a potem Weronika poszła do swojego pokoju, zostawiając matkę i ciotkę swoim własnym sprawom. W pewnym momencie Kamila, zaniepokojona ciszą panującą w domu, poszła sprawdzić, co porabia Weronika. Dziewczynka stała pośrodku pokoju z wielkim szczęściem wypisanym na twarzy. Nad nią, na suficie, przyklejone były wszystkie żelki, które dostała od Marty. Była w siódmym niebie i nawet mina matki nie była w stanie zepsuć jej zabawy.

To podsunęło Marcie pewien pomysł.

- Mogę się poczęstować? - Wskazała ręką na paczkę żelków.

Piotruś kiwnął głową.

Wyjęła z opakowania trzy żelki i śliniąc je po kolei, podrzuciła wysoko, aż przykleiły się do sufitu nad głową chłopca. Na ten widok oczy Piotrusia rozblęskły nagłym światłem, a na ustach po raz pierwszy pojawił się uśmiech. Bingo!

- Powiedz mamie, że jeszcze do was wrócę, dobrze? - rzuciła na odchodnym, ale chłopiec nie zwracał na nią uwagi. Z rozpromienioną twarzą siedział na łóżku i usiłował dorzucić żelkiem do sufitu. Próby przyklejenia żelka na siedząco kończyły się niepowodzeniem, więc dziecko próbowało teraz ukłęknać na łóżku. Jego ręce i nogi nie powróciły jeszcze do dawnej sprawności, ale perspektywa umieszczenia zielonego gumisia na suficie działała bardziej stymulująco niż pochwały fizjoterapeutów. Mały dzielnie balansował teraz całym ciałem, celując w punkt nad sobą. Marta wiedziała, że oddziałowa dostanie jutro szału na widok żelków na suficie, ale jeśli choć trochę mogło to pomóc w rehabilitacji małego, to trudno. Była to w sumie niewielka cena za poprawę zdrowia chłopca.

Dyżur upłynął Marcie pracowicie i rano marzyła jedynie o prysznicu i łóżku, ale nie mogła pójść do domu zaraz po zakończeniu pracy. Musiała poczekać na Starego, który nie zjawiał się na oddziale przed dziewiątą. W końcu ordynator musi być wyspany i wypoczęty.

- Tak, pani doktor? - Ton jego głosu wyrażał niezadowolenie. To, że przychodził na oddział o dziewiątej, nie oznaczało, że podwładni mogli mu o tej godzinie zawracać głowę.

Marta powiedziała mu o badaniach mikrobiologicznych płynu mózgowo-rdzeniowego Schulza i o zmianie leczenia pacjenta. Stary patrzył na nią wzrokiem bez wyrazu i Marta miała nadzieję, że był to wynik wczesnej pory i braku kawy, a nie ignorancji. Anestezjolog mógł nie kojarzyć *Naeglerii*, ale ordynator oddziału chorób zakaźnych... Chociaż znając Starego, nie byłaby tym specjalnie zaskoczona. W

każdym razie dopełniła obowiązku, powiadomiła przełożonego o ważnym fakcie i mogła wreszcie ruszyć w stronę Śródmieścia na zasłużony odpoczynek.

ROZDZIAŁ 9

Śniło jej się, że leży na ciepłym piasku, na szerokiej plaży, takiej samej jak ta, na której opalała się kilka lat temu w Tunezji, na wyspie Dżerba. Relaksowała się szumem morza i trzepotem skrzydeł przelatujących nad nią ptaków. Z oddali usłyszała nadbiegającego konia, stukot jego kopyt stawał się coraz wyraźniejszy. Koń przystanął gdzieś niedaleko. Musiał dźwigać jeźdźca, bo z jego pobliza docierały gardłowe, ludzkie dźwięki, kojarzące jej się z językiem arabskim. Widocznie jeździec poganiał wierzchowca. Dźwięki stawały się coraz głośniejsze i zaczęły Marcie przeszkadzać. Chciała poprosić jeźdźca, aby ten przeniósł się ze swoim koniem gdzie indziej. Wytłumaczyć mu, że jest po ciężkim dyżurze, że potrzebuje słońca i odpoczynku. Niechętnie otworzyła oczy i podniosła się z piasku. I właśnie w tym momencie się obudziła. Jeden ze stoperów, których używała podczas odsypiania dyżurów, wypadł jej z ucha i Marta zrozumiała, że to, co brała za pokrzykiwania jeźdźca, było w rzeczywistości prawdziwym hałasem. Mieszkała na pierwszym piętrze i, ku jej utrapieniu, dobrze słyszała dźwięki dobiegające z ulicy. Wściekła podniosła się z łóżka, podeszła do okna i wychyliła się na zewnątrz. Kilka metrów niżej kłęczał kompletnie pijany mężczyzna i wymiotował na chodnik. Przechodzący obok ludzie ze wstrętem omijali go, schodząc na ulicę. Torsje, które nim wstrząsały, były tak silne, że w pewnym momencie mężczyzna nie utrzymał równowagi i wpadł twarzą we własne wymiociny. Powstał jednak, wytarł się, z pijacką godnością wymamrotał: „To na pewno przez ten kecuzp” i poszedł chwiejnym krokiem gdzieś przed siebie.

Marta straciła ochotę na sen. Spojrzała na wyświetlacz komórki, było siedem po drugiej. Położyła się o jedenastej, więc spała najwyżej trzy godziny. Spróbowała zasnąć ponownie, ale kładąc się, już wiedziała, że nic z tego nie wyjdzie. Pomęczyła się w ten sposób kilkanaście minut, przewracając z boku na bok, aż wreszcie dała za wygraną i wstała z łóżka.

Był upalny lipcowy czwartek, z którym zupełnie nie wiedziała co zrobić. Michał nie dawał znaku życia, ale nie było w tym nic dziwnego. Wiedział o dyżurze zeszłej nocy i z pewnością był przekonany, że Marta właśnie go odsypia. Nie chciała zawracać mu głowy, zresztą byli umówieni na wieczór.

Pozostało zrobić tylko jedno. Był to jeden z tych przykrych obowiązków odkładanych przez Martę na „wkrótce”, na „później” i wreszcie na „kiedyś na pewno”: wizyta na przejętej po babci działce.

Działka położona była na jednym z Rodzinnych Ogródków Działkowych w obrębie Okęcia, niedaleko głównego warszawskiego lotniska. Spory kawałek od mieszkania Marty, co nie sprzyjało częstym odwiedzinom. Poza tym, choć uwielbiała rośliny pokojowe, to kopanie rabat, przycinanie drzewek owocowych i naprawy w domku działkowym nieco ją przerastały. Działka była dla Marty problemem, ale w dzieciństwie spędzały tam z Kamilą i babcią każde lato, więc odstąpienie dzierżawy komuś obcemu nie wchodziło w grę. Wartość sentymentalna tego kawałka ziemi była dla niej zbyt duża. Dlatego kilka razy do roku jeździła na Okęcie i wycinała chaszczę, które po deszczach dorastały do monstrualnych rozmiarów. Za każdym razem zbierała cięgi od sąsiadów, którzy twierdzili, że „jej chwasty przełażą do ich

ogródków”. I za każdym razem obiecywała, że będzie przyjeżdżać częściej, by należycie dbać o działkę. Zresztą na początku tak właśnie było. Miała mnóstwo planów, jak ją zagospodarować. Chciała nawet wybudować małą szklarnię, gdzie mogłaby rozmnażać swoje rośliny i zimować pelargonie. Jednak życie szybko postawiło ją do pionu: praca, dyżury, rozwód, ciągłe zmęczenie i niewyspanie... A może były to tylko najzwyczajsze w świecie wymówki, którymi usprawiedliwiała swoje lenistwo. Tak czy siak, działka była problemem, który od czasu do czasu należało rozwiązywać. Dzisiejszy dzień idealnie się do tego celu nadawał – Marta nie była tam już szmat czasu, więc plewienie w trybie *cito* na pewno byłoby wskazane. Poza tym był środek tygodnia, więc istniała mniejsza szansa na spotkanie sąsiadów.

Dojazd zajął jej prawie godzinę. O tej porze w kilku ogródkach krzątali się głównie emeryci. Niektórych znała z widzenia, więc uprzejmie wymieniała pozdrowienia, podążając w stronę własnej posesji. Niedaleko dostrzegła samolot, zbliżał się do lądowania na pasie lotniska. Wydawał się tak blisko, prawie na wyciągnięcie ręki. Widok i dźwięk lądujących i startujących metalowych ptaków zawsze fascynował Martę. Kolejny powód, dla którego miała opory przed pozbyciem się działki. Gdzie znalazłaby drugą z takimi atrakcjami?

Przed furtką przystanęła zdziwiona. Cały teren należący do niej został dokładnie skoszony. Widocznie któryś z sąsiadów nie wytrzymał widoku pokrzyw i perzu. Rozejrzała się wokół, spodziewając się srogiej reprymendy, ale na szczęście w ogródkach obok nie było nikogo. Wyjęła z torebki klucz i wsadziła go do zamka. Drzwi ustąpiły, nie były zamknięte. Marta cofnęła się o krok. Włamania do domków nie były rzadkością, choć jej samej jeszcze nigdy to nie spotkało. Może dlatego, że domek nie sprawiał wrażenia takiego, w którym byłoby wiele do znalezienia. Jednak ewidentnie do domku ktoś wchodził. Na pewno nie była to Kamila – siostra miała własny dom z dużym ogrodem i nigdy nie przyjeżdżała na stare śmieci. Poza nią nikt inny nie miał klucza. Marta żywiła jedynie nadzieję, że nieproszony gość zdążył już się wynieść, bo nie miała ochoty na walkę wręcz z żadnym bezdomnym, który postanowiłby przywłaszczyć sobie jej kosiarkę czy radio.

Nie było jednak wyjścia, musiały sprawdzić, co dzieje się w środku. Lekko pchnęła drzwi i ostrożnie weszła do środka.

– Ach, to ty. – Usłyszała z boku czyjś głos. Z krzykiem odwróciła się w stronę mówiącego.

Przed nią stał Leszek, uzbrojony w nożyce do cięcia żywopłotu. Wyglądał fatalnie, z tłustymi włosami, niechlujnym zarostem i przybrudzoną twarzą. Na dodatek ubrany był w jej spodnie ogrodniczki, w które ledwie się mieścił. Na czole przyklejony miał niewielki plaster – znak, że w kuchennej szafce znalazł apteczkę. Oprócz tego Marta dostrzegła kilka zadrapań, ale żadne nie wyglądało szczególnie groźnie.

– Na miłość boską, prawie dostałam zawału serca! Co ty tu do cholery robisz? Czy wiesz, że szuka cię pół Polski?

– Wejź do środka i zamknij drzwi. I nie krzycz, bo zaraz zlecą się te dziadki, co mają oczko wodne obok. Strasznie wścibscy, wczoraj zaglądali do domku przez szybę. Powinnaś zwrócić im uwagę.

– O czym ty mówisz? Dobrze się czujesz? – Przyszło jej do głowy, że Leszek oszalał. Z obawą zerknęła na nożyce w jego rękach. – Czy wiesz, że Dorota wygląda przez ciebie jak zombie? Dlaczego się do niej nie odzywałeś?

– Dla jej własnego bezpieczeństwa. Ktoś próbował mnie zabić. Myślę, że może spróbować ponownie. Chyba wdepnąłem w niezłe gówno.

– Co ty powiesz? Czy ma to coś wspólnego z prezentem, który od ciebie dostałam?

– Mówisz o pliku z nagraniem? Był ustawiony na automatyczne wysłanie, jeśli zbyt długo nie odświeżę jego lokalizacji.

– Doroty nie narażasz, ale mnie ci nie szkoda?

– To nie tak. Kiedy ustawiałem plik, jeszcze nie wiedziałem, że sprawa jest tak poważna i rozwojowa. A kiedy to zrozumiałem, było za późno, by cokolwiek zmienić. Utknąłem tutaj. – Wskazał ręką wewnątrz domku.

– Ale dlaczego na mojej działce? Co ty tutaj w ogóle robisz?

– Tu miałem najbliższej. No i tutaj nikt by mnie nie szukał.

– Najbliższej czego? – Marta traciła cierpliwość.

– Usiądź, mam parę rzeczy do wyjaśnienia. – Leszek odłożył wreszcie nożyce i poklepał dłonią siedzisko taboretu przy połowym stoliku. Sam usiadł na drugim. – Co wiesz o moim zniknięciu?

– W sobotę rano jechałeś do Doroty. Mielicie razem wyjechać na weekend z miasta. Nigdy do niej nie dotarłeś, a twój samochód policja znalazła w jakimś rowie.

– Tak, wyjechałem z domu zgodnie z planem. Tyle że po drodze śledził mnie jakiś samochód. Zauważyłem go, bo kierowca specjalnie się nie krył. Cały czas siedział mi na ogonie. Kluczyłem po małych uliczkach, a ten wszędzie za mną jeździł. Nie wiedziałem, co robić. Chciałem go zgubić, ale na prostej zrównał się ze mną. Spojrzałem w jego stronę. W środku siedziało dwóch gości, a ten na fotelu pasażera celował do mnie z broni.

Marta uniosła brwi.

– Z broni? Jesteś pewien? – spytała z lekkim niedowierzaniem.

– Tak, Marta, z broni. Wiem, jak wygląda broń.

– W porządku, w porządku. I co dalej?

– Straciłem panowanie nad kierownicą. W końcu pierwszy raz w życiu ktoś we mnie celował. Wypadłem z drogi i dachowałem. Na szczęście miałem zapięte pasy. Wydostałem się z samochodu, ale nie czekałem, aż ci dwaj mnie dopadną. Wbiegłem w las i popędziłem przed siebie.

– Czemu nie zadzwoniłeś po pomoc?

– Komórka została w samochodzie. Nie miałem czasu jej szukać.

Marta podniosła się z krzesła i zaczęła dreptać wokół stołu. Wiedziała, że powinna jak najszybciej powiedzieć o wszystkim Michałowi.

– A skąd się wziąłeś tutaj? Jak tu wszedłeś?

– Marta, na miłość boską, usiądź. Działasz mi na nerwy tym swoim łażeniem.

Wróciła na swoje miejsce. Nie zamierzała się klócić w takiej sytuacji.

– No więc? Co tu robisz?

– Wybiegłem z lasu, wokół były jakieś domy. Trochę pokręciłem się po okolicy, ale ludzie patrzyli na mnie jak na wariata. W sumie to im się nie dziwię, zważywszy, jak wyglądałem po wypadku. Z daleka zobaczyłem ogródki działkowe, pomyślałem, że tam znajdę jakąś studnię i trochę się ogarnę. Jak podszedłem bliżej, to poznałem miejsce. Przypomniałem sobie, że przecież byłem tu parę razy, na twoich imprezach. Były najlepsze, nawiasem mówiąc. – Uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Imprezy na działce są najlepsze. Pod warunkiem że to nie twoja działka.

Marcie faktycznie zdarzyło się urządzić dla znajomych kilka przyjęć w plenerze. Takich z grillem i piwkiem. Wszyscy świetnie się bawili, ale sprzątanie zostawiali na jej głowie. Szybko odechciało się jej organizowania kolejnych imprez.

– I zapamiętałaś moją działkę? Po takim czasie? – dodała.

– Serio pytasz? – Roześmiał się.

Wiedziała, co miał na myśli. Nie sposób było nie zapamiętać tego miejsca. Sąsiedzi po lewej mieli staw, wokół którego ustawili co najmniej dziesięć sztucznych bocianów i mnóstwo ceramicznych żab. Podobno zrobili to dla wnuków. Z kolei na działce po prawej wybudowano budynek, w którym z powodzeniem mogłaby przez cały rok mieszkać czteroosobowa rodzina. Taki miniaturowy dworek z Soplicowa. Pomiędzy nimi leżała działka Marty – zapyziała, zapuszczona, z malutkim drewnianym domkiem, pomalowanym łuszczącą się, ale nadal wściekle różową i żółtą farbą. Wybór kolorów zawdzięczała, niestety, sobie. Na jej usprawiedliwienie przemawiał fakt, że miała wówczas jedenaście lat.

– A jak tu wszedłeś? Nie masz przecież klucza.

– Ten zamek można otworzyć nawet patykiem. Powinnaś chociaż w jakąś kłódkę zainwestować – odpowiedział z wyrzutem. – Na szczęście masz tu zapas wody, piwa i suchego prowiantu. Mogę przeżyć na tym jeszcze długo. Nie sądziłem, że tak szybko tu zajrzysz. Mówiłaś, że przyjeżdżasz tu tylko kilka razy w roku.

– Czemu nie poprosiłeś o pomoc sąsiadów? Mogli zadzwonić po policję.

– Policja już wie. To przez nich to wszystko.

Leszek wyjął z szafki paczkę krakersów. Otworzył ją z głośnym „pał”. Poczęstował Martę, która jednak pokręciła głową.

– Zgłodniałem od tego mówienia. Jadłem dzisiaj tylko biszkopty. – Wetknął do ust garść krakersów. Marta cierpliwie czekała, aż skończy je przeżuwać. – Kojarzysz mojego bloga, prawda? No więc współpracuję z pewnym dziennikarzem. On też specjalizuje się w tematyce medycznej. Tropi afery, rozlicza z działań rozmaite instytucje publiczne, takie tam... Jestem jego konsultantem merytorycznym, czasem podzucam tematy. W zamian on daje mi do publikacji na blogu informacje, których sam nie mógł umieścić w swoich artykułach. Bo na przykład były niewygodne dla naczelnego albo któregoś z jego znajomych. Taki układ przynoszący wzajemne korzyści, protokooperacja. Rozumiesz?

Marta nie do końca rozumiała, ale kiwnęła głową.

– Kiedy umarł Franczak, dotarło do mnie, że jestem za malutki do tej sprawy. Zrobiło się bardzo poważnie. Spotkałem się więc z Mackiem Klichem. Tak się nazywa ten znajomy dziennikarz. I wszystko mu powiedziałem. On z kolei ma zaufanych znajomych w policji. Obiecał, że pogada z nimi jeszcze tego samego dnia. A jak on coś obiecuje, to dotrzymuje słowa. Jestem pewien, że tak było, że przekazał moją historię, komu trzeba. A następnego dnia rano ktoś celuje do mnie z broni. To co byś pomyślała na moim miejscu?

– Że ten dziennikarz jest jakiś lewy.

– Nie, Maciek jest w porządku. Znam go ładnych parę lat. To ci policjanci, z którymi rozmawiał. Któryś z nich zamieszany jest w tę sprawę.

– Brzmi mało prawdopodobnie.

– A jednak. Dlatego nie chcę żadnej policji.

– Wiem od Michała, że ten dziennikarz faktycznie zgłosił się na policję. Ale chyba nie mówisz poważnie, że podejrzewasz kogoś od nich. Przecież to jakiś absurd.

Wszyscy cię szukają.

– No właśnie. Tak długo, jak mnie szukają, jestem bezpieczny.

– Musimy komuś powiedzieć, na przykład Michałowi. Michał jest w porządku, przecież go znasz.

– Michał tak, ale nie ufam jego kolegom. Nie, Marta, nie chcę żadnej policji. Chcę w spokoju przeczekać.

– Przeczekać co? I jak długo?

– Maciek pracuje nad artykułem, jestem tego pewien. Jego nie ruszą. Wszystko musi się wyjaśnić.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? Przecież to kompletnie nie trzyma się kupy. Zachowujesz się jak idiota.

– Marta, ja wiem, co robię. Zostaw mnie w spokoju. Po prostu wracaj do domu.

– Wplątałeś mnie w tę sprawę, a teraz oczekujesz, że będę zachowywać się, jak gdybym o niczym nie wiedziała? Wysyłasz mi nagranie, kocujesz na mojej działce...

– Mogę się stąd wynieść, jeśli tak bardzo ci przeszkadzam.

– Nie o to chodzi, po prostu zachowujesz się nieracjonalnie.

– Boję się o swoje życie i mam ku temu podstawy. Co w tym nieracjonalnego?

– Naprawdę, nie wiem już, jak mam z tobą rozmawiać. – Marta starała się opanować wściekłość, ale sytuacja robiła się coraz bardziej absurdalna. – Rób, jak chcesz. Tylko chociaż Dorocie daj znać, że żyjesz. Ona umiera ze zgrozyoty.

– Coś wymyślę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Naprawdę zamierzasz tu mieszkać nie wiadomo jak długo? – Spojrzała na jego kilkudniowy zarost i tłuste włosy. Warunki na działce nie sprzyjały utrzymywaniu higieny.

– Jeśli mi pozwolisz.

– Mam lepszy pomysł. Zabiorę cię do swojego mieszkania.

– No nie wiem. A co z Michałem?

– Będziesz mieszkał w składziku. To znaczy moim starym pokoju. Nigdy tam nie wchodzę. Michał też tam nie zagląda. Przynajmniej będziesz miał dostęp do łazienki i pełnej lodówki.

– Sam nie wiem. To dziwny pomysł.

– Poważnie? Dziwny? Mój pomysł jest dziwny? – Poczowała, że znów traci panowanie nad sobą.

– No już dobrze. Przyznam, że ten domek to nie Hilton ... Sam siebie zaczynam już czuć. Do swojego mieszkania wrócić nie mogę. Na pewno ktoś by to zauważył. Doroty narażać nie chcę, zresztą ma małe dziecko. Z tobą nikt mnie nie kojarzy...

Marta postanowiła zignorować fakt, że na jej bezpieczeństwie Leszkowi aż tak bardzo nie zależało.

– Zamówię taksówkę, może tak być?

– Nieco dziwnie wyglądam...

– No, w sumie trochę. Ale wracasz z działki, te ogrodniczki nie są takie całkiem bez sensu... Tylko T-shirt musisz włożyć świeży. Ten twój faktycznie już śmierdzi. – Uklękła obok łóżka polowego i wysunęła spod niego plastikowy pojemnik. W środku trzymała zapasowe ubrania, w które przebierała się do prac ogrodowych. Wybrała zieloną bluzę XL, która kiedyś służyła jej za piżamę. – Masz. Jeszcze twarz trzeba ci porządnie umyć. Resztę ogarniesz u mnie pod prysznicem.

Plan zabrania Leszka do mieszkania i trzymania go tam w sekrecie był dziwaczny, Marta zdawała sobie z tego sprawę. Ale jeszcze gorszym posunięciem byłoby pozwolić mu mieszkać na działce. Dorota nigdy by jej tego nie wybaczyła. A tak Leszek pomieszka u niej kilka dni i może w tym czasie faktycznie coś się wyjaśni. Albo sam uzna, że trzeba zakończyć tę farsę. Nie miała czasu ani siły na to, żeby rozwiązywać ten problem tu i teraz. Na dodatek, gdyby pozwoliła mu mieszkać na działce, musiałaby regularnie dowozić tam jakieś normalne jedzenie. Teraz, gdy wiedziała już o jego obecności, nie mogła przecież pozwolić na to, żeby żywił się sucharami i krakersami. A nie miała najmniejszej ochoty na codzienne kursowanie na Okęcie i z powrotem. Zdecydowanie lepszym rozwiązaniem było trzymanie Leszka gdzieś w pobliżu. Zresztą, w ostateczności, jeśli problem sam się nie rozwiąże, powie o wszystkim Michałowi, mimo protestów Leszka. Oczywiście Michał się wścieknie, co do tego nie było wątpliwości. Marta westchnęła. Dlaczego to wszystko spotykało właśnie ją?

Na Mokotowską dojechali bez żadnych przygód. Taksówkarz nie wydawał się ani trochę zdziwiony wyglądem Leszka. Pracując w Warszawie, z pewnością woził już oryginalniej wyglądających świrów.

Marta przygotowała ciepły posiłek, gdy Leszek brał prysznic. Zajęło mu to prawie trzydzieści minut, ale zważywszy na to, że przez ostatnie kilka dni mył się w wodzie mineralnej, na dodatek pakowanej w półlitrowe butelki, było to w pełni zrozumiałe. Kiedy jadł obiad, ubrany w jej szlafrok, zrobiła zakupy w pobliskim centrum handlowym przy placu Unii Lubelskiej, przynosząc do domu męską bieliznę i parę ubrań na zmianę. Chciała przywieźć niezbędne rzeczy z mieszkania Leszka, ale kategorycznie jej tego zabronił.

– Jesteś moim dłużnikiem. Nie wypłacisz się do końca życia. – Rzuciła torbę z zakupami na stół.

Zostawiła go samego, by mógł się przebrać, i weszła do składziku, w którym zamierzała go ulokować. Był to jej stary pokój, do którego nie lubiła zaglądać, dlatego trzymała w nim rupiecie i praktycznie go nie używała. Jednak stało w nim łóżko, na którym mógł wygodnie spać. Pomieszczenie wypełniało tyle niepotrzebnych gratów, że po otwarciu drzwi zupełnie nie było widać, co znajduje się wewnątrz. Leszek mógł przebywać w nim kompletnie niezauważony. Oczywiście w czasie, gdy Marta nie przyjmowała Michała lub innych gości, mógł swobodnie poruszać się po całym mieszkaniu.

Położyła mu na łóżku świeżą pościel i ręczniki. Kiedy wychodziła ze składziku, usłyszała telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Dzwonił Michał.

– Nie, dopiero się obudziłam, daj mi pół godziny. Spotkajmy się dzisiaj u ciebie, co? Tak dla odmiany. Super... nie mogę się już doczekać... Do zobaczenia!

Myśl o tym, że mogliby uprawiać z Michałem seks, gdy Leszek przebywał za ścianą, była nieznośna. Dlatego musiała zrobić wszystko, by przez następne dni spotykali się wyłącznie na Litewskiej, w mieszkaniu Michała.

Leszek naprawdę nie wypłaci się jej do końca życia.

ROZDZIAŁ 10

Marta usiadła na niewygodnym krześle i rozejrzała się po korytarzu. Był szeroki, ale ciemny i nijaki. Musztardowa farba olejna, którą pokryta była dolna połowa ścian, odpryskiwała w wielu miejscach, ukazując ziejące różnobarwne kraterki – ślady po poprzednich malowaniach. Pewnie jeszcze z paleolitu, sądząc po stanie najświętszej warstwy. Oddział psychiatrii, na którym właśnie się znajdowała, mocno odbiegał standardem od kardiologii czy okulistyki, choć również był częścią kompleksu szpitalnego „Błęńskiej”. Tamte były ładnie odnowione, pomalowane na pastelowe i optymistyczne kolory, wyposażone w nowe sprzęty. Psychiatria natomiast wyglądała jak z filmów o Relidze z czasów, gdy był jeszcze młodym lekarzem – zapyziały PRL w połączeniu z daltonizmem. Oddział był właściwie alegorią polskiej psychiatrii i tego, jak była postrzegana przez decydentów: niepotrzebny kłopot, z którym nie wiadomo było co zrobić. Zresztą oddział chorób zakaźnych, na którym pracowała Marta, wyglądał niewiele lepiej.

Spojrzała na zegarek, zastanawiając się, czy ma czas czekać. Poproszono ją o konsultację jednego z pacjentów. Chciała wyjaśnić pewną kwestię związaną z poprzednim sposobem jego leczenia, ale chyba stuletni komputer, użyty do tego celu, odmówił posłuszeństwa. Musiała zwrócić się do papierowej dokumentacji. Ale ta była zamknięta. Klucze trzymał lekarz prowadzący, który właśnie był na obchodzie.

Obchód na psychiatrii znacząco różnił się od tego na jej oddziale. Tutaj kultywowano kliniczne tradycje szpitala – od sali do sali przechodził orszak władcy, czyli ordynatora, w otoczeniu świty: docentów, doktorów, rezydentów, pielęgniarów oraz najniższych w hierarchii, czyli studentów. Głośno omawiano przypadki leżące w każdej sali, nie zwracając szczególnej uwagi ani na samych zainteresowanych, ani na sąsiadów z łóżek obok. Pacjentów traktowano przedmiotowo, jak muzealne okazy, które należy opisać i skatalogować.

Marta nie miała ochoty przeszkadzać w tym przedstawieniu. Postanowiła poczekać, aż procesja wyjdzie z sali numer siedem, i podejść dyskretnie do lekarza po klucz do gabinetu, gdzie znajdowała się dokumentacja. Tyle tylko, że z jakiegoś powodu drzwi od siódemki pozostawały zamknięte i Marta zaczynała powoli tracić cierpliwość. Miała mnóstwo pracy ze swoimi własnymi pacjentami i chciała już do nich wracać.

Nie mogła jednak tego zrobić, zanim nie zakończy konsultacji. Pacjent był poważnym przypadkiem i nie wolno było go zlekceważyć. Kilkanaście tygodni wcześniej pojawił się pod Pałacem Kultury i Nauki z wielkim workiem, z którego wydobył kanister. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wylał na siebie zawartość, czyli benzynę, i podpalił się zapalniczką, kupioną kilka minut wcześniej w podziemnym przejściu. Pracownica kiosku, która sprzedawała mu zapalniczkę, przez dwa dni wypłakiwała się przed kamerami stacji telewizyjnych. Człowiek przeżył, ale śmierć ominęła go o włos. Początkowo leżał na chirurgii, na pododdziale oparzeń, ale kiedy osiągnięto stan, w którym nic więcej nie można tam było dla niego zrobić, przeniesiono pacjenta na psychiatrię. I nawet manifest, który odczytał przed próbą samospalenia, nie zmieniał faktu, że był biednym, chorym człowiekiem, który

potrzebował pomocy psychiatrów. Martę poproszono o konsultację ze względu na niegojącą się ranę na lewej nodze i nawracającą gorączkę, która ponownie pojawiła się kilka dni temu. Nawet nie próbowała wnikać w to, co działo się w głowie pacjenta.

W pustym dotąd korytarzu pojawiła się postać mężczyzny. Kręcił się w kółko, wykrzykując: „A, E, I, O, U, Y”. Kiedy dostrzegł Martę, pospieszył w jej kierunku.

– Dziękuję, może się pani już ubrać! Dziękuję, może się pani już ubrać! Dziękuję, może się pani już ubrać! – krzyczał pół metra od jej twarzy i Marta zastanawiała się, jak powinna zareagować.

Na szczęście w odprawie nie brali udziału wszyscy pracownicy medyczni oddziału. Jedna z pielęgniarek, zaalarmowana hałasem, wyrzała właśnie z zabiegowego i pośpieszyła Marcie na ratunek.

– Kaziu, Kochany, zostaw panią doktor. Chodź, wrócimy na salę, zaraz herbatkę będą roznosić. Przecież lubisz herbatkę. – Mrugnęła porozumiewawczo do Marty i pociągnęła za sobą mężczyznę. Nie opierał się zbytnio, grzecznie podążał za pielęgniarką, jednocześnie krzyząc:

– Dziękuję, ale nie będę z panią już dłużej pracował. Zwalniam panią! Dziękuję, ale nie będę z panią już dłużej pracował. Zwalniam panią!

W tym momencie drzwi siódemki się otworzyły i orszak, prowadzony przez ordynatora, wpłynął na przestwór korytarza.

– Panie doktorze... – Podeszła do psychiatry, na którego czekała.

– Nie teraz, pani doktor, nie teraz. – Uniósł dłoń w geście obrony przed dalszym nagabywaniem. – Teraz będzie moja sala! – Podbiegł do kolejnych drzwi i otworzył je przed ordynatorem. Marta miała wrażenie, że za chwilę pokłoni mu się w pas albo padnie do nóg, ale na szczęście nic takiego się nie wydarzyło. Orszak zniknął powoli za drzwiami sali numer osiem. Marta rozejrzała się wokół. Korytarz był pusty, ale kto wie, jak długo. Na wszelki wypadek wsunęła się do ósemki tuż za ostatnim studentem.

Ordynator stał teraz przy łóżku jakiegoś bladeo wyglądającego dwudziestolatka.

– Czy pierwszy raz próbował się pan otruć? – spytał, spoglądając w stronę studentów.

– Tak – odpowiedział słabym głosem mężczyzna.

– Proszę zanotować w dokumentacji medycznej pacjenta, że to pierwsza próba samobójcza!

– Panie ordynatorze – zaproponował nieśmiało psychiatra prowadzący. – Ale wcześniej pacjent próbował się wieszać!

Sala numer osiem była dwuosobowa, więc obchód trwał krótko i Marta już wkrótce siedziała w dyżurce psychiatrycznej, studiując historię choroby oparzonego pacjenta.

– Mogę prosić o czystą kartkę do drukarki? – zwróciła się do psychiatry, który wrócił do dyżurki po obchodzie. W drukarce nie było już ani jednej.

Psychiatra podszedł do swojej szafki, otworzył ją kluczem wyjętym z kieszeni fartucha i wydobył napęczętą ryzę papieru A4.

– Trzymacie papier pod kluczem? – zdziwiła się Marta.

– Tak, bo sami go przynosimy. Szpital przestał nam dostarczać papier kilka tygodni temu. Nie mamy jak drukować wypisów, więc kupujemy papier za własne pieniądze. Każdy trzyma swój papier we własnej szafce.

Marta popatrzyła na psychiatrę z osłupieniem.

– Komputerów też nie mamy. To znaczy mamy, ale przedpotopowe, nic nie można na nich zrobić. Pracujemy na swoich laptopach. Drukarkę również przyniosłem z domu, bo szpitalna się zepsuła. Przedłużacz z kolei przyniosła koleżanka. – Wskazał ręką na sprzęt na biurku.

– Ale jak to możliwe? Przecież u nas, na zakaźnym, jest papier!

– To kara. Dyrektorka szpitala mści się za kiepskie wyniki finansowe naszego oddziału. Tak jakbyśmy mieli wpływ na to, ile płaci nam NFZ. Poza tym są skonfliktowani jeszcze na jakiejś innej płaszczyźnie, dyrektorka i nasz ordynator... Połowa lekarzy już odeszła, bo nie da się pracować. Reszta jest już u kresu sił. Powiem pani, że też już mam taką jedną poradnię na oku... Nie wiem, ile jeszcze tu wytrzymam... Na dodatek wczoraj zostałem wezwany do gabinetu dyrektorki, bo pacjent na mnie skargę napisał. Że byłem nieuprzejmy i wyzywałem go od chorych psychicznie. A ja przecież tylko diagnozę postawiłem!

Marta dokończyła wpisy w dokumentacji i z ulgą wróciła na swój oddział. Tutaj komputery również dawały wszystkim w kość swoim powolnym działaniem, ale przynajmniej nie musiała przynosić przedłużacza.

Sprawdziła wyniki badań pacjentów, które pojawiły się w systemie podczas jej nieobecności, wydała instrukcje Młodemu i ruszyła w stronę Krainy Oz.

Musiała działać dyskretnie. Poprzedniego dnia namówiła Leszka, by ten napisał odręcznie kilka słów dla Doroty. Niech wie, że Leszek żyje i czuje się dobrze. Teraz zamierzała przeprowadzić misję podłożenia listu przyjacielce.

Przeszła przez sekretariat, wspólny dla zakładu patomorfologii oraz centralnego laboratorium.

– Nie wie pani, czy doktor Leśniowski jest u siebie? – spytała sekretarkę.

Nie zamierzała odwiedzać Marka, ale jeśli Dorota dowie się od sekretarki, że Marta była w budynku, przynajmniej będzie miała wytłumaczenie.

– Tak, jest u siebie. Albo przy cieplarkach. – Pani Hania wskazała kierunek wypielęgnowaną dłońią uzbrojoną w hybrydy koloru pistacji. Marta starała się nie myśleć o tym, co kolonizuje obszar pod paznokciami sekretarki. Sama miała krótko obcięte paznokcie, zgodnie z zasadami obowiązującymi personel medyczny w szpitalu: żadnych sztucznych paznokci, żadnego lakieru, żadnych pierścionków i obrączek. Zakazane były nawet zegarki i bransoletki – utrudniały mycie i dezynfekcję nadgarstków, jeśli uległyby zabrudzeniu podczas pracy. Do tego włosy, które obowiązkowo musiały być spięte z tyłu głowy. Medyczki-sroki i strojnisie nie miały w szpitalu łatwego życia.

Marta podziękowała skinieniem głowy i ruszyła dalej. Po dotarciu do głównego korytarza nie skręciła w stronę pracowni Marka, ale poszła prosto, do zakładu patomorfologii. Przez dziurkę od klucza poobserwowała przez chwilę Dorotę, pochyloną nad mikroskopem. Upewniwszy się, że nikt jej nie widzi, powoli otworzyła drzwi od gabinetu przyjaciółki, weszła po cichu i położyła na biurku kopertę od Leszka. Wiedziała, co napisał: „Dorota, żyję, ale jestem w niebezpieczeństwie. Muszę pozostać w ukryciu. Nie mów nikomu o tej wiadomości, najlepiej ją zniszcz. Wyjaśnię ci wszystko, kiedy się spotkamy. Bardzo cię Kocham”. W ocenie Marty list był przesadnie melodramatyczny, ale Leszek nie dał się namówić do złagodzenia przekazu.

Tak naprawdę nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Najchętniej zwróciłaby się z tym do Michała, ale obiecała Leszkowi, że zachowa dyskrecję. Miała jednak

nadzieję, że Skalski zrozumie wkrótce, jak irracjonalne jest jego zachowanie, i da się przekonać do poszukania pomocy u kogoś, kto się na tym zna.

W dyżurce lekarskiej oddziału chorób zakaźnych przywitała ją spore poruszenie. Podobno Stary miał gości – dwóch policjantów, którzy siedzieli u niego w gabinecie już dwadzieścia minut. Marta zastanawiała się, czy jednym z nich jest Michał i czy rozmowa ma związek z nagraniem, które mu przekazała.

– Słyszeliście? Zmieniono termin pogrzebu profesora Franczaka. – Doktor Zawada, przejęta usłyszaną informacją, zapomniała zamknąć za sobą drzwi do dyżurki. Teraz do środka zaglądały już trzy osoby, domagając się informacji na temat hospitalizowanych krewnych. Żadna z nich nie była do ich uzyskania upoważniona. Odkąd szpital wprowadził zasadę, że informacji udzielano jedynie dwóm osobom wskazanym przez pacjenta, życie lekarzy stało się o wiele łatwiejsze. Przy dziesięciu lub dwunastu pacjentach udzielanie informacji wszystkim krewnym oznaczałoby kilkadziesiąt takich rozmów dziennie. Czyli pracę rzecznika na cały etat.

Marta nie wzięła udziału w spekulacjach na temat przyczyn zmiany terminu pogrzebu, bo na jej biurku zawibrowała komórka. Dzwoniła Dorota.

– Marta, muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. – Miała przejęty głos. Najwyraźniej przeczytała wiadomość od Leszka.

– Coś się stało?

– To nie jest rozmowa na telefon. Możesz spotkać się ze mną w parku przed wejściem do Krainy Oz?

– Teraz? Trochę tu jakby kocioł mamy... – Rozejrzała się po dyżurce. To akurat była prawda. Pomieszczenie przypominało wnętrze krytego tureckiego bazaru. Przekrzykiwania niezadowolonych krewnych mieszały się z rozmowami na temat pogrzebu Franczaka. Na dodatek Nowaczyk machał jej przed oczami kartą informacyjną ze Szpitalnego Oddziału Ratunkowego, skąd najwyraźniej przybył kolejny pacjent.

– Tak, teraz!

– Ale teraz naprawdę nie mogę. Powiedzmy za... – Spojrzała na przyczynę przyjęcia nowego pacjenta. Marskość wątroby w przebiegu przewlekłego wirusowego zapalenia wątroby typu B. Szybko oszacowała czas potrzebny do zajęcia się nowo przybyłym. – Godzinę?

– Wolałabym teraz, ale trudno, niech będzie.

Pacjent, którego przyjęła wraz z Młodym, był w średnim stanie. Nagromadzenie płynu w jamie otrzewnej było u niego tak znaczne, że nie potrzebowała USG, by stwierdzić wodobrzusze. Doszło do ewidentnej dekompensacji marskości. Będą z Nowaczykiem potrzebować wielu dni, by doprowadzić pacjenta do porządku. Zleciła odpowiednie badania, głośno omawiając z Młodym dalsze postępowanie. Miała już co prawda doświadczenie z takimi przypadkami, ale wolała się upewnić, że wie, co robić. Już za parę dni będzie samodzielnie zostawać na dyżurach.

Wracając od pacjenta, minęli na korytarzu Iwonę Pstrąg. Zamiast niebieskich włosów miała teraz różowe. Farbowanie włosów w szpitalnej łazience musiało być karkołomnym wyczynem. Na ich widok odwróciła głowę w drugą stronę.

– Wiadomo już, co jej jest? – spytała Młodego, wskazując ruchem głowy na pacjentkę.

– Tak. ZBCC.

To był skrót od Zajebisty Ból Całego Ciała. Tak w szpitalu określano dolegliwość dotyczącą osoby pokroju Iwony Pstrąg. Na pediatрії było to DZMW: Dziecko Zdrowe, Matka Wariatka.

– Długo będą ją tu trzymać?

– Powiedziała, że nie wyjdzie, dopóki nie znajdą przyczyny jej dolegliwości. Więc pewnie do późnej starości.

Stanowiło to dla oddziału problem, zważywszy na włósnicę i dostawki na korytarzu. A Iwona Pstrąg blokowała jedną z izolatek, choć nie było konieczności, by leżała w sali sama.

– Na szczęście to już nie nasze zmartwienie – odpowiedziała trochę sobie, trochę Młodemu.

Kiedy mijali gabinet Starego, z trudem opanowała pokusę, by zapukać i pod byle pretekstem sprawdzić, co dzieje się w środku. To byłoby jednak głupie, bo policjantów z całą pewnością już tam nie było.

Napisała zlecenia dla nowego pacjenta, zostawiła Młodemu instrukcje dotyczące postępowania z tymi, którzy już na oddziale leżeli, i ruszyła z powrotem w stronę Krainy Oz.

Dorota czekała na nią przed wejściem. Usiadły na ławce osłoniętej krzewem jaśminu. Przyjaciółka rozejrzała się wokół i wyjęła z kieszeni kopertę. Tą samą, którą niecałe dwie godziny wcześniej Marta zostawiła jej na biurku.

– Muszę ci coś powiedzieć. Tylko proszę cię o dyskrecję. – Wyjęła ze środka złożoną kartkę i podała Marcie. Ta udała, że czyta ze zdumieniem.

– O! – Nie wiedziała, jak zareagować. Z jednej strony powinna wyglądać na zdziwioną, ale z drugiej nie chciała odstawiać łódzkiej filmówki. Przecież wkrótce Dorota dowie się całej prawdy i może zupełnie przestać jej ufać.

– No właśnie. O! Co myślisz?

– Powiesz mi coś więcej? – Odpowiadanie pytaniem dawało Marcie więcej czasu na wymyślanie odpowiedzi.

– Znalazłam to na swoim biurku. Nie mam pojęcia, kto to zostawił. Pytałam Hankę, nikt obcy nie kręcił się po naszym budynku.

– To pismo Leszka?

– Bez dwóch zdań. Wszędzie je poznam. Z całą pewnością napisał to własnoręcznie.

– Data z wczoraj...

– Tak, data z wczoraj. Czyli żyje, jest gdzieś w pobliżu. Tylko dlaczego odzywa się dopiero teraz? I to w taki sposób?

– Może ma jakiś powód... Pisz, że jest w niebezpieczeństwie...

– Wiem i bardzo mnie to martwi. Pamiętasz, jak opowiadałaś, że wybiegł z dyżurki na wiadomość o śmierci Franczaka? To posłuchaj tego. Rozmawiałam dzisiaj z koleżanką z Zakładu Medycyny Sądowej. Wiesz, że robię dla nich czasami sekcje zwłok i oceniam preparaty histologiczne? – Marta kiwnęła głową, choć było to pytanie retoryczne. Doskonale wiedziała, że jej przyjaciółka ma dwie specjalizacje, z patomorfologii i medycyny sądowej. – Powiedziała mi, że przywieźli im Franczaka.

– Jak to przywieźli?

– Na sekcję. Istnieje podejrzenie, że zgon nie nastąpił z przyczyn naturalnych.

Marta zrobiła sobie oczy. Tym razem nie musiała udawać. Ta wiadomość naprawdę ją zaskoczyła. Michał nie zlekceważył nagrania, choć dwa dni temu nie wydawał się

przekonany do wersji o zabójstwie. Czy wydarzyło się coś jeszcze?

– Nic nie mówisz... – Dorota wpatrywała się w nią z uwagą.

– Nie wiem, co powiedzieć. Za dużo informacji naraz...

– Co powinniśmy z tym zrobić? – Dorota zamachała kartką. – Iść na policję? Mam mętlik w głowie.

– Prosi cię, żebyś nic z tym nie robiła. To nic nie rób.

– A jeśli ktoś go przetrzymuje? I kazał mu napisać tę wiadomość? Przyłożył mu nóż do gardła albo coś jeszcze gorszego?

– Po co ktoś miałby to robić? To byłoby bez sensu. Jeśli byłby więziony, po prostu nigdy byś się o tym nie dowiedziała.

– No, racja... Wiesz, pomyślałam, że może ty... Porozmawiałabyś z Michałem. Tak nieoficjalnie.

– Tylko że tak się nie da. Ja go znam. Jeśli pokażę mu tę wiadomość, on to przekaże dalej. Więc albo chcesz to zgłosić policji i wtedy zrób to oficjalnie, albo nikomu o tym nie mówmy.

– Tylko że Leszek najwyraźniej w coś wdepnął. W coś dużego. Zawsze mu powtarzałam, żeby zajął się sobą i własnym życiem. Ale znasz go, musiał zbawiać świat. Tak to się właśnie kończy... A teraz jest w tarapatach. Chciałabym mu pomóc, ale nie wiem jak. Poza tym boję się. Jest przecież Adaś, gdyby coś mi się stało... – Nie dokończyła. Adaś był synem Doroty. Jego ojciec, a jej mąż, zginął wiele lat temu w tragicznych okolicznościach. Adaś miał więc tylko matkę.

– No to nic nie rób, tak jak cię prosi.

– Naprawdę uważasz, że tak właśnie powinnam postąpić?

– Naprawdę tak uważam. – Przynajmniej tym razem nie musiała kłamać. – Słuchaj, Dorota. Coś się dzieje. Nie wiem co, ale ma to związek z naszym oddziałem. U Starego była policja, nie wiem, czego chcieli. Michał o niczym mi nie mówi. Taki mamy układ, że się nie wtrącam w jego służbowe sprawy. Ale ewidentnie coś się dzieje. Ten list to dobra wiadomość. Leszek żyje. Tego się trzymajmy. – Podniosła się z ławki. – Jeśli czegoś się dowiem, dam ci znać. Tymczasem bądź dobrej myśli. Mam przecucie, że wkrótce znowu się z tobą skontaktuje. – Oddała Dorocie kartkę. – Masz ochotę gdzieś wyjść? Pogadać przy kawie?

– Szczerze? Ochotę mam. Ale nie mam czasu. Ostatnie dni były tragiczne. Nie mogłam na niczym się skupić i zawaliłam masę rzeczy. Teraz muszę nadrabiać. Wskoczmy gdzieś we dwie, jak tylko ten koszmar się skończy, dobrze?

– Jasne. Zadzwoń, kiedy tylko będziesz chciała pogadać.

W drodze powrotnej Marta dostrzegła zamieszanie przy wejściu do pawilonu D, zlokalizowanego tuż przy ogrodzeniu szpitala. Mieściła się tam neurologia, hematologia i parę innych pomniejszych oddziałów oraz pracowni. W tłumie ludzi zgromadzonych przed wejściem dostrzegła kilka kamer telewizyjnych. Dziennikarze. Nie przejęła się tym zbyttnio. W końcu był to ogromny, stołeczny szpital. Tu niemal co tydzień działo się coś niezwykłego, wartego kilku sekund w *Teleexpressie* czy *Panoramie*.

– I jak, dalej spokój? – spytała Młodego, kiedy wróciła na swój oddział.

– Odpukać, tak. Zaraz powinny spłynąć wyniki tego gościa z wodobrzuszem. Będziemy go nakłuwac?

– Prawdopodobnie. Co w USG? – Sprawdziła wynik. Wodobrzusze było znaczne, zresztą tego właśnie się spodziewała. – No tak... Weź od niego zgodę na nakłucie jamy

otrzewnej i poinformuj pielęgniarki, żeby przygotowały zestaw. Pójdę z tobą. Widział ktoś Starego? – spytała kolegów w dyżurce.

– Nie, nawet nie wiem, czy nadal jest na oddziale. Kwadrans temu chciałam z nim pogadać o jednym z pacjentów, ale gabinet był zamknięty – odpowiedziała doktor Makowska.

Marta do niczego ordynatora nie potrzebowała, pytanie zadała z czystej ciekawości. Sprawa nagrania i Volandy przybierała niespodziewany obrót. Chcąc nie chcąc, była w nią zamieszana. O powadze sytuacji świadczył fakt, że Stary nadal nie poprosił Marty o rozmowę na temat *Naeglerii*. W normalnych okolicznościach byłaby to kwestia numer jeden. Ludzie nie mówiliby o niczym innym.

Razem z Nowaczykiem i pielęgniarką poszli do nowo przyjętego pacjenta, któremu Młody wykonał wzorowe nakłucie jamy otrzewnej. Leszek był dobrym nauczycielem.

Po raz kolejny zajrzała do wszystkich swoich pacjentów, którzy wymagali szczególnej uwagi, i ponownie skierowała się w stronę dyżurki. Ile razy dziennie pokonywała tę trasę? Nie liczyła, ale z pewnością nie mniej niż dwadzieścia. Przyłożyła kartę do czytnika i weszła do środka.

– Ale jak to się stało? Przecież to niemożliwe, na miłość boską! – wykrzykiwał doktor Hołowacz. Lekarze w dyżurce wydawali się czymś mocno podekscytowani. Czyżby sprawa nagrania miała wyjaśnić się szybciej, niż się tego spodziewała?

– Niemożliwe, a jednak właśnie się wydarzyło – odpowiedziała doktor Zawada.

– O czym rozmawiacie? Co się stało? – spytała Marta, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Kilka tygodni temu zepsuła się klamka i lekarze nie mogli doprosić się naprawy. Zdążyli już opracować metodę „na biodro”. Była skuteczna, tylko nieco hałaśliwa.

– Wypadek w pracowni plazmaferezy. Nie żyje pacjent.

Plazmafereza to zabieg polegający na pobraniu pewnej ilości krwi, a następnie rozdzieleniu jej na poszczególne składniki. Zależnie od wskazań niektóre z tych składników (takie, które powodują chorobę) zostają odfiltrowane, a pozostałe ponownie przetoczone choremu. W rezultacie ta sama krew pobierana od chorego, zostaje mu zwrócona, ale już bez oddzielonych elementów patologicznych.

– Reakcja anafilaktyczna? – domyśliła się Marta. Plazmafereza była bezpiecznym zabiegiem i powikłania zdarzały się rzadko. Anafilaksja była jednak możliwa.

– No właśnie nie. W tym sęk. Zepsuł się separator. Wypompował z pacjenta całą krew, nie przetaczając nic w zamian.

– Ale przecież to niemożliwe! – Marta zareagowała dokładnie tak, jak przed chwilą doktor Hołowacz. Była to pierwsza myśl, która przychodziła do głowy.

– A jednak się wydarzyło – powtórzyła cierpliwie doktor Zawada. – Wyssało z gościa całą krew. Jak jakiś pieprzony mechaniczny wampir! – To porównanie wprawiło wszystkich w zadumę. Było trafne i samo się narzucało.

– Ale to naprawdę niemożliwe. Przecież nawet jeśli zdarzyła się awaria, to zabieg odbywa się pod nadzorem lekarza i pielęgniarki, można go przerwać. Zresztą pacjent sam chyba czuje, że dzieje się coś złego, może zgłosić problem – przerwała ciszę Marta.

– Lekarz widzi pacjenta na początku i na końcu zabiegu, a pielęgniarka akurat na chwilę musiała wyjść. Pacjent pewnie i krzyczał, ale nikt go nie słyszał.

– Co za śmierć! Dziennikarze pewnie znowu rzucą się na nasz szpital jak sępy. Już i tak od dawna nie można tu pracować w spokoju. – Doktor Hołowacz pokiwał głową.

- Już się rzucili. - Marta przypomniała sobie zbiegowisko pod pawilonem D.
- Nic w tym dziwnego. Nie powiedziałam wam, kim był pacjent... - Doktor Zawada rozejrzała się po twarzach zgromadzonych. - Kojarzycie Aleksandra Dreja?
- Czyściciel kamienic? - Marcie zawirowało w głowie. Usiadła na najbliższym krześle.
- Dokładnie.
- Grubsza sprawa. W takim razie może to nie był wypadek. W końcu gościu zalazł wielu osobom za skórę. - Doktor Hołowacz potarł w zamyśleniu brodę.
- Nie, to był z całą pewnością wypadek. - Doktor Zawada pokręciła głową. - Znam pielęgniarkę, która miała pilnować pacjenta.
- Kto to był?
- Ela Gąska. Jedna z najlepszych pielęgniarek w „Błęńskiej”. Pracuje tu już ponad dwadzieścia lat. Ona nie dałaby się wrobić w żaden układ, to krystalicznie uczciwa osoba.

W dyżurce znów na moment zapanowała cisza.

- To jakaś tragedia - przerwała milczenie doktor Olszewska. - Ja też ją znam. Przecież ona niecały rok temu straciła córkę. Byłam na pogrzebie. Dziewczynę zabił ten psychopata, Bestia z Mokotowa, co go nadal szukają. W kilku kawałkach ją znaleźli. Ela do dzisiaj do psychiatrii chodzi...

- Co za dramat, żeby takie historie w naszym szpitalu... - Najstarsza stażem doktor Korecka wydawała się mocno wstrząśnięta usłyszaną historią.

Marta nie zabrała głosu. Śmierć Dreja była dla niej dużym zaskoczeniem. Potwierdzała, że nie była jedyną Wyleczoną w szpitalu. Zastanowiła się przez moment nad okolicznościami zdarzenia. Ciekawe, czy historia leczenia psychiatrycznego będzie dla Gąski okolicznością łagodzącą? Jak zareagowała na wiadomość, że pacjent, którego z pewnością знаła, był odpowiedzialny za śmierć jej córki? I czy Michał musiał ją długo przekonywać do tego, co zrobiła? Bo fakt, że zepsuła separator celowo, ona bądź ktoś inny, ale za jej wiedzą i zgodą, nie ulegał dla Marty najmniejszej wątpliwości.

Lekarze zaczęli się rozchodzić do swoich obowiązków, choć byli zszokowani wypadkiem z plazmaferezą, który z pewnością długo pozostanie na ustach całego personelu „Błęńskiej”. Takie rzeczy zdarzały się niezmiernie rzadko, a w „Błęńskiej” po raz pierwszy.

Marta siedziała przy biurku, wypełniając obszerną tabelę w ramach „karty kwalifikacji dorosłych do leczenia żywieniowego” pacjenta, którego właśnie przyjęła na oddział. Był to jeden z obowiązkowych załączników do dokumentacji medycznej, wymaganych przez Narodowy Fundusz Zdrowia. Pacjent miał dwadzieścia lat, został przyjęty z powodu mononukleozy i sądząc po jego wyglądzie, spędzał mnóstwo czasu na siłowni, ale Marta i tak musiała uzupełnić rubryki odpowiedziami na pytania niezwiązane z faktycznymi problemami chłopaka. „Przesiewowa ocena stanu odżywienia”, „Szczegółowa ocena stanu odżywienia”, „Cel leczenia żywieniowego”... Marta miała ochotę wziąć do ręki czerwony flamaster i napisać na karcie drukowanymi literami: „JEGO TYLKO, KURWA, BOLI GARDŁO I MA WIELKIE TRANSAMINAZY”. Był to na dodatek jeden z wielu załączników, które musiała wypełnić, a które każdego roku ulegały magicznemu rozmnożeniu. Zupełnie jakby każdy z kolejnych dyrektorów NFZ musiał po sobie zostawić jakiś załącznikowy spadek.

- Marta, mówię do ciebie. – W głosie doktor Zawady brzmiało zniecierpliwienie. Marta podniosła głowę znad papierów.
- O co chodzi?
- Dzwonią do ciebie z intensywnej terapii. – Zawada pomachała słuchawką telefonu, którą trzymała w ręce. – Doktor Wolska już podchodzi – powiedziała do słuchawki i odłożyła ją na stół. – To ten nowy przystojny gazmajster – rzuciła na odchodnym do Marty, zniżając głos i puszczając oko.
- Halo? Marta Wolska przy telefonie.
- Dzień dobry, pani doktor, tu Łukasz Michalski, anestezyjolog. Rozmawialiśmy kilka razy na temat Niucha... Eee... Daniela Schulza.
- Tak, tak, dzień dobry, panie doktorze.
- Dzwonię, żeby powiedzieć pani, że Schulz zmarł godzinę temu. To był pani pacjent, przychodziła pani do nas w jego sprawie kilka razy, pomyślałem, że chciałaby pani o tym wiedzieć.
- Ach tak... Zmarł...
- No chyba nie miał innego wyjścia, po tym co mu rozpoznaliście – zaśmiał się Michalski. – Poczytałem trochę na temat negleriozy po naszej ostatniej rozmowie. Rzadka sprawa. Wręcz wyjątkowa. A biorąc pod uwagę to, kim był Schulz, bałem się, że zostaniemy obłożeni przez pismaków, kiedy zgon wreszcie nastąpi. Na szczęście umarł w dobrym momencie, że tak powiem. No bo przecież nic nie przebiję tego, co się stało w „Błęńskiej” parę godzin temu. Słyszała pani doktor?
- Słyszałam. Straszne.
- Fakt, śmierć jak z horroru. „Nieustraszeni pogromcy wampirów” – edycja Warszawa. Pacjent nadziany forsą po cebulki włosów, a i tak nic mu to nie pomogło. Jak komuś coś pisane, to przed tym nie ucieknie. Ale wracając do Schulza... Macie może już jakiś pomysł, skąd mu się ta *Naegleria* w ogóle wzięła?
- Pracujemy nad tym – skłamała.
- Widziałem, że pani doktor opublikowała jakiś czas temu artykuł na temat obecności *Naeglerii* w polskich jeziorach. Myśli pani, że jest się czym przejmować? Dzieciaka mam, siedem lat w tym roku skończy. Co roku na Mazury jeździmy, rozumie pani...
- Rozumiem, ale nie musi się pan doktor martwić. Mazury są z całą pewnością wolne od tej ameby. Problem dotyczy jezior ciepłych całorocznie, w pobliżu elektrowni, tak jak te koło Konina.
- Dobrze wiedzieć. Do Konina nie jeździmy. Nawet nie wiem dokładnie, gdzie to jest.
- W Wielkopolsce. – Marta się uśmiechnęła.
- Nie no, tyle to wiem. Mam kolegę anestezyjologa, który do Poznania się przeprowadził. Dzwonimy czasem do siebie. Warszawka na mnie mówi, niby żartobliwie. Ale kiedy ja na niego zacząłem mówić prowincja, to wcale mu się to nie spodobało. Wie pani, co mi powiedział? „Na wschód od Konina Azja się zaczyna”. Taki dowcipniś, he, he. Ale stąd wiem, że ten Konin to musi być gdzieś niedaleko Poznania.
- Marta znowu się uśmiechnęła.
- Może nie powinienem, ale zapytam – będzie pani pisała artykuł na temat Schulza? Chociaż jakiś case study. Szkoda, żeby się taki materiał zmarnował. Zwłaszcza że publikowała już pani w tym temacie.

– Tak, pracuję nad tym.

– To dobrze. Ale swoją drogą, jaki to niezwykły zbieg okoliczności. Że akurat pani doktor trafił się taki pacjent. Najpierw artykuł teoretyczny, a teraz przypadek kliniczny. Wprost nie do uwierzenia...

Marta zastygła na moment. W głosie Michalskiego było coś niepokojącego. Tak jakby dawał jej do zrozumienia, że coś wie lub że czegoś się domyśla. „Przecież to absurd, facet po prostu głośno powiedział to, co wkrótce zaczną mówić inni”. Z sykiem wypuściła powietrze i skarciła się w duchu za swoje przewrażliwienie.

– No, nie do końca. To początkowo nie był mój pacjent, przejęłam go po Leszku Skalskim, który zaginał w niewyjaśnionych okolicznościach.

– Słyszałem, kiepska sprawa. Nadal go nie znaleźli?

– No, nie.

– Podobno, jeśli ktoś nie odnajdzie się w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin, to małe szanse, że odnajdzie się żywy.

– Nie znam się na takich statystykach. Ale bardzo go na oddziale lubimy i nie tracimy nadziei.

– Tak, tak, słusznie. Nadzieja jest ważna. Hm... No dobrze, rozgadałem się na wszystkie możliwe tematy, a przecież zadzwoniłem tylko z wieścią o Schulzu. Jeszcze dzisiaj prześlemy go do Krainy Oz, więc o dalsze losy naszego Niuchacza zatroszczą się lekarze ostatniego kontaktu. My zrobiliśmy co w naszej mocy. Pani również. Muszę powiedzieć, że z chęcią przeczytam pani artykuł, kiedy zostanie napisany. Już dawno żaden temat nie zainteresował mnie tak jak *Naegleria*. Miłego dnia życzę, pani doktor. Do widzenia.

– Wzajemnie. Dziękuję za telefon. Do widzenia.

Co za dzień! I to już któryś z kolei. Nie podzielała zadowolenia anestezjologa ze śmieci Schulza akurat w tym momencie. Miała nadzieję na flesze i kamery. Zdecydowanie pomogłoby to w promocji artykułu, który zamierzała napisać. Co prawda był to artykuł naukowy, nieprzeznaczony dla przeciętnego odbiorcy, ale już od dawna świat nauki i kultury masowej przenikały się nawzajem, oddzielone bardzo cienką linią. Ze szkodą dla nauki.

No nic, minie zainteresowanie pacjentem wyciśniętym jak cytryna, wróci czas na pacjenta z mózgiem zjedzonym przez ameby. To całe zamieszanie z nieudaną plazmaferezą miało jeden plus – nie musiała jeszcze informować kolegów z oddziału zakaźnego o przyczynie śmierci Schulza, bo istniała niewielka szansa, że dowiedzą się o tym z innych źródeł i zamęczą ją pretensjami o trzymanie tego w sekrecie. Kto jak kto, ale lekarze z oddziału zakaźnego z pewnością docenią wagę tej informacji, a także wartość publikacji na ten temat. Miała więcej czasu, żeby się przygotować. Tym bardziej że Stary zajęty był policją i nie miał teraz głowy do żadnych ameb. Lubiła większość swoich kolegów i nie podejrzewała nikogo o zawiść, ale jak zwykli mówić Rosjanie, „tiszje jedziesz, dalsze budiesz”. Zamierzała być cicho tak długo, jak się da.

Wyszła na korytarz i zadzwoniła do Doroty. Powiedziała jej o Schulzu i poprosiła, by zajęła się sekcją jego zwłok osobiście. W odpowiedzi wysłuchała histerycznych domysłów na temat końca świata: „Najpierw śmierć Franczaka, potem zniknięcie Leszka, następnie separator zabija pacjenta, teraz jakies ameby zjadają innemu mózg!”. Bez wątplenia, Dorota bardzo źle znosiła zniknięcie Leszka. Marta najchętniej wyznałaby jej całą prawdę o narzeczonym, gdyby tylko miała pewność, że nie pociągnie to za sobą żadnych przykrych dla przyjaciółki konsekwencji.

Skończyła pracę po siedemnastej, półtorej godziny po czasie. I tak nieźle. Myślała, że nie uda się jej wyrwać przed szóstą. Wsiadła z autobusu na przystanku Metro Politechnika i pieszo ruszyła w stronę domu. Mijając biuro podróży, przystanąła przed witryną i zaczęła czytać oferty wyjazdów. Wszystko brzmiało egzotycznie i zachęcająco. Przypomniała sobie swój niedawny sen i wyjazd do Tunezji sprzed kilku lat. Ciepły piasek i szum morza na pewno dobrze by jej zrobiły. Może nawet udałoby się przekonać Michała do wspólnego wypadu? Otworzyła drzwi biura i weszła do środka. Powiało przyjemnym chłodem klimatyzacji, a w powietrzu poczuła zapach wakacji. Musieli chyba używać jakiejś specjalnej mieszanki aromatów, bo natychmiast zapragnęła spakować się i wsiąść do samolotu. W pomieszczeniu stały dwa biurka i dwa komputery, ale tylko jedno stanowisko było czynne. Siedziała przy nim sympatycznie wyglądająca blondynka w wieku dwudziestu kilku lat. Powitała Martę ciepło, wskazała ręką fotel obok wielkiego bananowca i wróciła do obsługiwania pary, która zajmowała krzesła przed jej monitorem. Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza, przerywana jedynie kliknięciami klawiatury.

– Przepraszam państwa, proszę dać mi jeszcze sekundkę, na pewno coś dla państwa znajduję – zapewniła blondynka klientów i natychmiast wróciła do klikania. Po następnych kilku minutach przerwała poszukiwania i niepocieszonym głosem oznajmiła: – Niestety, bardzo mi przykro, ale wycieczki do Bośni mamy tylko połączone z Hercegowiną.

Kiedy nadeszła kolej Marty, blondynka promiennie się uśmiechnęła.

– Szuka pani jakiejś konkretnej destynacji?

– Nie. Chcę jedynie, żeby było ciepło i w pobliżu wody. No i żeby nie musiała lecieć tam dwanaście godzin. Nie lubię długich lotów.

– Rozumiem. Może w takim razie Zanzibar? Jest teraz modny.

Marta uniosła brwi.

– Ale trzeba tam długo lecieć. A ja właśnie powiedziałam, że nie lubię długich podróży. Poza tym wolałabym jakiś region wolny od malarii, nie chcę brać profilaktyki.

– Ale na Zanzibarze nie ma malarii!

– Owszem, jest.

– Skąd, to przecież wyspa, na wyspach nie ma malarii.

Marta uniosła brwi jeszcze wyżej.

– A Haiti i Dominikana? A Nowa Gwinea? Nawet Bali nie jest zupełnie wolne od ryzyka.

– No może, ale na Zanzibarze z całą pewnością malarii nie ma.

– Hm... wie pani, jestem lekarzem, pracuję w „Błęńskiej” na oddziale zakaźnym. W zeszłym miesiącu mieliśmy pacjentkę z malarią po powrocie z Zanzibaru.

– Z całą pewnością nie mógł to być Zanzibar, bo tam nie ma malarii.

Marta westchnęła i wstała z krzesła. Nie miała siły, żeby się kłócić, straciła też ochotę na rozmowę. Pożegnała się z blondynką i wyszła na ulicę, dźwigając pod pachą gruby katalog biura z ofertami wyjazdów. Sama poszuka czegoś w domu. Po drodze wstąpiła jeszcze do piekarni i kupiła zapas pieczywa na kilka dni dla dwóch osób. Musiała przecież żywić Leszka.

Kiedy otworzyła drzwi od mieszkania, znalazła go siedzącego przy kuchennym stole.

- Prosiłam, żebyś wchodził do składziku, jak tylko usłyszysz klucz w zamku. To przecież mógł być Michał albo pani Maria.
- Nie było takiej potrzeby, wiedziałem, że to ty.
- Niby w jaki sposób?
- Słyszałem twoje kroki na schodach. Tylko ty tak ciężko chodzisz. Jak przygnieciona życiem. Powinnaś więcej się ruszać, ćwiczyć, nie wiem.
- Podjęła próbę zabicia go wzrokiem, kładąc na stole torbę z pieczywem.
- Wspaniale, jestem głodny jak wilk. Zjadłem wszystkie bułki. - Nie przejął się jej spojrzeniem.
- Jakie bułki? Przecież zostawiłam ci obiad w lodówce, wystarczyło podgrzać.
- No tak, ale nie wiem, jak obsługiwać tę twoją dziwną kuchenkę. Powinnaś mieć mikrofalę, jak normalni ludzie.
- To indukcja, działa jak zwykła kuchenka elektryczna. Patrz. - Zademontrowała dwoma ruchami.
- I tak nie zapamiętam. Mogłabyś mi podgrzać, skoro wróciłaś?
- W milczeniu wyjęła z lodówki garnek i postawiła na kuchence. Miała Leszka serdecznie dość i marzyła o tym, by się wreszcie wynieść.
- Co robiłaś cały dzień? - Postanowiła jednak być dobrą gospodynią i wykazać nieco zainteresowania jej osobą.
- Czytałem. Masz sporą bibliotekę. Potem trochę na necie siedziałem.
- Marta zostawiła mu swój stary komputer, którego od dawna nie używała. Komórka Leszka była w posiadaniu policji.
- Niektóre książki są jeszcze po mojej babci. Mam nadzieję, że nie logowałeś się na swojego bloga ani żadne profile społecznościowe?
- Jasne, że nie. Nie jestem głupi.
- Nałożyła posiłek jemu i sobie. Przez chwilę jedli w milczeniu.
- Dobrze. Co to jest?
- Chili z soczewicy i czerwonej fasoli.
- A to w środku, co smakuje jak mięso?
- Soja.
- Szkoda, miałem nadzieję, że jednak prawdziwe mięso. Tęsknię za mięsem. Nie kupiłabyś mi jakiegos kotleta?
- Nie przeginaj - wycodziła przez zęby i wróciła do posiłku.
- Leszek westchnął i również zajął się jedzeniem.
- Wiem, że miałem z nikim się nie kontaktować, ale to wyjątkowa sprawa. Naprawdę, Marta, muszę - oznajmił, kiedy skończyli kolację.
- O czym ty mówisz?
- Muszę koniecznie spotkać się z Maćkiem Klichem, tym dziennikarzem, o którym ci mówiłem.
- Tym, przez którego teraz tu u mnie siedzisz?
- To nie przez niego! Jestem o tym przekonany. Gościu jest w porządku.
- To już nieistotne. I tak z nikim się nie spotkasz. Chyba że zdecydujesz się ujawnić, wtedy możesz się widywać, z kim zechcesz.
- Nie mogę się ujawnić. A z nim muszę się zobaczyć.
- Po co?
- Żeby przekazać mu nagranie. Chcę, żeby je dostał. W końcu to gruba rzecz.

– To dlaczego przesłałeś nagranie do mnie, a nie do niego? Tak mu ufasz i tej waszej współpracy?

– To świetny materiał, nie chciałem dawać mu go ot tak. Myślałem, że sam to ogarnę. Tu chodzi o zasięgi mojego bloga, rozumiesz. Ale teraz dla mnie jest już za późno, za to on mógłby zająć się tym tematem.

– Nie, nic nie rozumiem, ale nieważne. I tak się z nim nie spotkasz.

– To może chociaż prześleś mu mailem?

– Nie możesz logować się do swojej poczty.

– Skorzystam z twojej...

– Wykluczone, już za bardzo mi w życiu namieszales. Nie chcę któregoś dnia natknąć się w mieszkaniu na jednego z tych dwóch miłych panów, którzy grozili ci bronią.

– Marta, to kanalie, zabili Franczaka. Naprawdę chcesz pozwolić, by uszło im to na sucho?

– Nie ujdzie. Policja zajmuje się tą sprawą.

– Tak jak zajęła się moją?

– Już ci powiedziałam, że nie wierzę, by policja maczała w tym palce. To raczej ten twój cały Klich.

Dyskutowali na ten temat dobre piętnaście minut. Leszek nie dawał się tak łatwo przekonać, kiedy wbił sobie coś do głowy.

– Niech będzie, zaniosę mu to nagranie – powiedziała w końcu, zrezygnowana.

– Co? – Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– To co słyszałeś. Zaniosę mu nagranie. Zapiszesz je na jakimś pendrivie, a ja się z nim spotkam gdzieś w miejscu publicznym i przekażę. Daj mi jego numer telefonu. Wyślę mu wiadomość z jakiejś bramki SMS. Albo lepiej daj adres mailowy. Jeszcze się zastanowię.

Komórka w jej torebce rozbrzmiała Khadją Nin.

– Cześć, skończyłeś pracę? Świetnie. O której mogę u ciebie być? Nie, u mnie jest straszny bałagan. Ostatnio u ciebie było tak miło... – Spojrzała spode łba na Leszka, który uśmiechał się kpiąco i wykonywał rękami obsceniczne gesty. – Dobrze, to za godzinę będę.

Wsunęła komórkę z powrotem do torebki i pogroziła Leszkowi.

– To wszystko przez ciebie i twoje głupie pomysły. Idę pod prysznic, a potem wychodzę.

Zatrzasnęła za sobą z hukiem drzwi do łazienki. Weekend zapowiadał się cudownie i nie miała zamiaru pozwolić, by cokolwiek go zepsuło.

ROZDZIAŁ 11

Otworzyła oczy i spojrzała na zegar na ścianie. Była dziewiąta. Jak na wolną sobotę, można uznać, że blady świt. Michał nie miał w oknach zasłon zaciemniających i lipcowe słońce bez przeszkód sięgało teraz łóżka, drażniąc jej zamknięte powieki. Musiała je otworzyć, a potem szybko zmrudzić. Tyle razy prosiła go, żeby sprawił sobie chociaż żaluzje. Jednak jemu słońce nie przeszkadzało, leżał teraz zwrócony w stronę ściany, od czasu do czasu wydając z siebie pojedyncze chrapnięcia. Dla Marty był to definitywny koniec snu. Tym bardziej że kot Michała, dostrzegłszy poruszenie na łóżku, wskoczył na szafkę nocną i chrząkał teraz zapamiętale, najwyraźniej domagając się śniadania. Kot miał na imię Kot i został uratowany z pożaru. Poparzone struny głosowe uniemożliwiały mu wydawanie zwykłych kocich dźwięków. Marta pogłaskała go po grzbiecie, uważając, by nie dotknąć ogromnej blizny na boku. Kot zamruczał zachęcająco, a potem na nowo rozpoczął swoją zachrypiałą tyradę.

Wstała i wrzuciła mu do miski zawartość puszek z karmą. Rzucił się na nią, jak gdyby nie jadł od miesiąca. Na własne oczy widziała jednak, jak wczoraj wieczorem Michał zaserwował mu dokładnie taką samą porcję.

Przeciągnęła się leniwie i rozejrzała po mieszkaniu Michała. Było niewielką kawalerką, ale gustownie i praktycznie urządzonej. Michał mieszkał w niej sam, nie licząc kota i mrówek w formikarium, więc chyba była wygodna. Zwykle panował tu nieskazitelny porządek, ale dziś na podłodze walały się ich ubrania, a w zlewice piętrzyły naczynia nieumyte po późnej kolacji.

Rozrzucone niedbale ubrania były świadectwem gwałtownego pożądania, które ogarnęło ich nagle po obejrzeniu filmu na jednym z kanałów. Film nie był pornograficzny, nie miał nawet zbyt dużego zabarwienia erotycznego, jednak rozpałił ich do czerwoności, choć godzinę wcześniej uprawiali już seks. I to jaki. Marta dotknęła lewego ramienia i natychmiast syknęła z bólu. Tak jak przypuszczała, na skórze zaczynał pojawiać się krwiatek. Ostatnimi czasy Michał był mało delikatny. Robił się taki wtedy, gdy kochali się u niego w domu. A wczoraj było naprawdę ostro. Michał właściwie rzucił ją o ścianę, kiedy tylko pojawiła się w mieszkaniu, a następnie, nazywając rzeczy po imieniu, zerznął ją na stojąco, mocno i szybko. Przygniótł do ściany swoim ciałem i nie odpuścił, dopóki w niej nie skończył. Ten brutalny przypływ namiętności zaskoczył, ale jednocześnie i podniecił Martę, dlatego nie protestowała. Choć zdecydowanie wolała, gdy był czuły. Taki, jak wtedy, gdy uprawiali seks u niej, na Mokotowskiej.

„Doktor Jekyll i pan Hyde” – pomyślała, oglądając w lustrze siniak na ramieniu.

Otworzyła lodówkę i krytycznie oceniła jej zawartość. Kiedy budzili się na Litewskiej, za śniadania odpowiedzialny był Michał. Dzisiaj jednak postanowiła pozwolić mu na kilka dodatkowych chwil snu. Sama zaczęła przygotowywać posiłek.

Obudził się, kiedy rozbijała jajka. Podszedł do niej, pocałował za uchem i zsunął jej majtki. Wszedł w nią, tym razem delikatnie. Powolne, leniwe ruchy rozpałiły ją, choć początkowo nie miała ochoty. Reszty dopełniły palce Michała, delikatnie pieszczące jej sutki. Poczowała, jak robi się mokra. Oparła dłoń o blat i zamknęła oczy, pozwalając Michałowi wykonać całą robotę. Skończyli jednocześnie, co nie zdarzało się często.

„Doktor Jekyll i pan Hyde” – pomyślała znowu, całując go w usta.

Śniadanie zjedli w milczeniu, każde zatopione w swoich własnych myślach.

– Jak w pracy? – spytał wreszcie Michał.

– Wszystko dobrze. Schulz nie żyje.

– Słyszałem. Jeden z głowy. Jesteś niezwykle skuteczna. To wprost przerażające. –
Postanowił się z nią podroczyć.

– Raczej nieskuteczna. Płacą mi, żeby żył.

– Co teraz? Będzie sekcja?

– W tych okolicznościach? Jasne, że tak.

– Ale niczego nie znajdą?

– Wprost przeciwnie. Wszyscy już wiedzą, czego szukać. Sekcja tylko potwierdzi
diagnozę.

– Marta, plan był inny! – Zielone oczy Michała zaszyły ciemną chmurą.

– Był, ale się zmył. Plan jest teraz taki, że napiszę artykuł o pierwszym przypadku
negleriozy w Polsce.

– To nie jest bezpieczne. Gdzie Schulz miałby niby złapać to gównó? Przez ostatnie
miesiące siedział zamknięty, z daleka od wszelkich cieków wodnych, nie licząc
więziennego prysznicza. Poza tym pisałaś już kiedyś artykuł o tym dziadowskim
robaku, to zbyt duży zbieg okoliczności. Ludzie zaczną coś podejrzać.

Marta pomyślała o niedawnej rozmowie z anestezjologiem. On również zwrócił
uwagę na ten zbieg okoliczności.

– Nie zaczną. A nawet jeśli, to niczego mi nie udowodnią. Przecież on trafił do nas
chory. Gorączkował już w więzieniu.

– Jak znam tych chujków, a znam ich dobrze, to symulował, żeby trafić do szpitala
i z niego nawiać.

– A jednak trafił z powodu gorączki, a nie próby ucieczki. Zresztą najpierw
zajmował się nim Leszek. Kiedy przejęłam Schulza, był już chory. Obiektywnie. Nie
udawał. Mam na to dowody w postaci wyników badań.

– Jednak nadal twierdzę, że to cholernie zły pomysł. Po co ci to?

– Chcę w przyszłości zrobić habilitację. A artykuł na ten temat to będzie bomba.
Zachodnie czasopisma, masa punktów i cytowań, cały ten szajs. Drugiej takiej szansy
już nigdy więcej nie dostanę.

– Narażasz siebie i mnie. I cały układ.

– Jaki układ? – podchwyciła.

– Wyleczonych – odpowiedział niechętnie.

– O, to jednak układ istnieje?

– Nie łap mnie za słowa, wiesz dobrze, o co chodzi. Wysiłek wielu ludzi włożony w
to, by pozbyć się z powierzchni planety najgorszych kanałii, jakie po niej chodzą,
może pójść na marne. Tylko dlatego, że łasisz się na punkty i cytowania.

– Nic się nie stanie. Nie panikuj. Mam wszystko pod kontrolą.

Dlaczego to powiedziała? Przecież już od dawna nie miała niczego pod kontrolą. Jej
życie wymykało się jakimkolwiek planom i przewidywaniom.

Na szczęście Michał nie ciągnął tego tematu, wrócił do przerwanej posiłku. Był
wścickły i starał się nie patrzeć na Martę. Znow zapadło milczenie.

– A jak w twojej pracy? – spytała, bo cisza zaczynała być męcząca.

– Wszystko w porządku.

– Ruszyło się coś w sprawie nagrania?

– Ciało Franczaka na wniosek prokuratury zostało przekazane do zakładu medycyny sądowej. Patolog oceni, czy do śmierci przyczyniły się osoby trzecie.

To już wiedziała.

– A Stary i reszta z nagrania? – drażyła temat.

– Zostali przesłuchani.

– Ale nie zatrzymani?

– Na razie nie ma dowodów na to, by zgon Franczaka nastąpił inaczej niż z przyczyn naturalnych. Rozmowa z nagrania o niczym nie świadczy, tego nawet nie można podciągnąć pod groźby.

– Czyli nie?

– Jasne, że nie. Przecież tłumaczę ci, że nie ma ku temu żadnych podstaw.

– Ja oceniam to zupełnie inaczej. – To naprawdę był ton jej głosu? Sama dla siebie brzmiała jak obrażona dwunastolatka.

– Marta, daj mi wykonywać moją pracę. Jeśli nastąpi jakiś przełom, dam ci znać. Na razie lepiej, żebyś się tą sprawą nie interesowała. Za bardzo jesteś z nią związana.

Marta zacisnęła usta. Michał nie chciał jej nic mówić, a jednocześnie oczekiwał, że będzie ślepo wykonywać wszystkie polecenia i spełniać jego zachcianki.

– Co jest? – Ujął jej brodę w dwa palce i uniósł ku górze.

– Nie podoba mi się to.

– Co? – Naprawdę niczego nie rozumiał czy tylko udawał?

– My. Nasz związek.

– Możesz sprecyzować, co konkretnie?

– Robisz, co chcesz, gdzie chcesz, z kim chcesz. A ja służę do dymania. I może jeszcze do wykonywania wyroków śmierci, od czasu do czasu. Czuję się jak jakiś nadworny kat, którego książe i władca pieprzy, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. I nic nie dostaje w zamian.

– Hej, hej! – Mocniej ścisnął jej brodę.

– Tak właśnie jest. Przecież my nawet ze sobą już nie potrafimy rozmawiać.

– Przecież rozmawiamy.

– To nie jest rozmowa. To wymiana informacji.

– Właśnie podałaś definicję rozmowy.

– Widzisz? Właśnie to mam na myśli – wycedziła przez zęby.

Michał westchnął, wstał z krzesła i zaczął się ubierać.

– Ja naprawdę nie wiem, co cię ugryzło, Marta. Jesteś dzisiaj jakaś dziwna. A dzień zaczął się przecież tak dobrze.

Nic nie odpowiedziała. Zacisnęła zęby jeszcze bardziej.

– Muszę już iść – rzucił, nie patrząc na nią. – Mam dzisiaj masę rzeczy do załatwienia w robocie.

– Dzisiaj? Przecież jest sobota. – Jej wściekłość narastała. Rzadko zdarzały jej się wolne weekendy i miała nadzieję, że ten spędzą razem.

– Taka praca. Też coś o tym wiesz. – Podeszedł do niej i pocałował ją w czoło. – Widzimy się wieczorem?

– Jeszcze nie wiem. Też mam masę rzeczy do zrobienia. – Odsunęła się od niego.

W milczeniu schował do kieszeni portfel i odznakę.

– A, jeszcze jedno – rzucił na odchodnym. – Byłbym zapomniiał. – Schylił się i z szuflady biurka wyjął grubą teczkę. – Kolejne akta sprawy twoich rodziców. Te kopie

naprawdę nie były łatwe do zdobycia. Żeby nie było, że nadworny kat jest dymany za friko. – Wręczył jej teczkę, tłumiąc uśmiech.

Zanim zniknęła za drzwiami wyjściowymi, zdążyła uderzyć go poduszką. Jego zachowanie drażniło ją czasami tak bardzo, że miała ochotę nauczyć go szacunku. Na przykład za pomocą *Naeglerii fowleri*. Zamiast tego kopnęła drzwi wyjściowe, co zirykowało ją jeszcze bardziej. Zachowywała się jak idiotka.

Ich związek od początku był złym pomysłem i nie łudziła się, by mógł przetrwać. Ale trwał. Na dodatek czuła, że zaczyna się za bardzo angażować. W odróżnieniu od Michała, który nie wydawał się zainteresowany pogłębieniem relacji. Spotykali się w wolnym czasie, jedli wspólnie posiłki, oglądali filmy, uprawiali seks. Nie rozmawiali jednak na temat przyszłości ich związku. Bo może nie było żadnej przyszłości. Może dobry seks i wspólne poglądy na temat oczekiwanej długości życia zbrodniarzy-degeneratów to było jedyne, co tak naprawdę ich łączyło. Pomyślała o wieczorach i porankach spędzonych w towarzystwie Michała. Śmiała się z jego dowcipów, chętnie słuchała o jego pracy. Tęskniła za nim, kiedy go nie było, i pragnęła, by częściej bywali razem. Może to był problem – chciała czegoś, czego on nigdy nie będzie w stanie jej dać.

Wcale nie miała do niego pretensji o to, że wplątał ją w tę całą sprawę z Wyleczonymi. Wiedziała, że wiele ryzykowała w razie wpadki, ale całym sercem popierała ideę pozbywania się sadystów. Dzięki temu świat miał szansę stać się odrobinę lepszy. Fakt, że była lekarzem, nie miał żadnego znaczenia. Zresztą nie postępowała wbrew treści Przyrzeczenia Lekarskiego (nazywanego błędnie przez niektórych przysięgą Hipokratesa, choć tak naprawdę niewiele miało ono z tą przysięgą wspólnego): *Przyrzekam według najlepszej mej wiedzy przeciwdziałać cierpieniu i zapobiegać chorobom, a chorym nieść pomoc bez żadnych różnic, takich jak: rasa, religia, narodowość, poglądy polityczne, stan majątkowy i inne, mając na celu wyłącznie ich dobro i okazując im należyty szacunek*. Przecież w swym działaniu dosłownie kierowała się literą przyrzeczenia – według najlepszej wiedzy przeciwdziałała cierpieniu: cierpieniu rodzin, okaleczanych przez zbrodnie przestępców, zapobiegając mu najskuteczniej, jak tylko można było. Okazywała również wszystkim pacjentom należyty szacunek. To przecież wyłącznie wina Schulza i jemu podobnych, że żaden szacunek im się nie należał.

Kiedyś, podczas dyżuru na oddziale zamkniętym, jak zwykle pełnym przestępców zwiezionych z Warszawy i okolic, miała okazję wysłuchać zwierzeń jednego z nich. Opowiadał o swojej „pracy” związanej z odzyskiwaniem długów. „Wie pani – mówił, kiedy Marta zakładała mu mankiet ciśnieniomierza – najskuteczniejsze akcje przeprowadzaliśmy w rodzinach, w których były dzieciaki. Dla nich ludzie skłonni są zrobić wszystko. Kiedyś pocięliśmy babie dłonie, ale dopiero jak wystawiłem jej kilkumiesięcznego bachora za barierkę balkonu na dziesiątym piętrze, oddała nam pieniądze. Wszystkie, jakie miała”. Marta miała ochotę założyć mu ten mankiet na szyi. I mocno zacisnąć. Kiedy podczas odprawy Leszek spytał, jaki jest sens udzielania pomocy takim bydlakom, usłyszał wykład o tym, że lekarze powinni być bezstronni. „Nie powinniśmy bawić się w Boga” – takie były dosłowne słowa Starego. Tyle że, w opinii Marty, właśnie to robili – bawili się w Boga. Przecież Tokarczyk (bo tak ów męt miał na nazwisko) otrzymał od losu karę – jego choroba była stanem, którego nie przeżyłby bez pomocy lekarzy. Tymczasem oni robili wszystko, by mógł tej kary uniknąć. I udało się, Tokarczyk opuścił mury „Błęńskiej” zupełnie zdrowy. Tylko

po to, by trzy miesiące później trafić do więzienia za zabójstwo młodej dziewczyny, która była przypadkowym świadkiem tego, jak brutalnie próbował od kogoś odzyskać dług. Otrzymała dwa ciosy nożem i zmarła jeszcze przed przyjazdem karetki. Marta długo nie mogła się otrząsnąć, gdy o tym usłyszała. Tamtej nocy, na dyżurze, miała szansę zapobiec tragedii. Ale ona pozostała „bezzstronna”. Na szczęście poznała Michała, który zupełnie zmienił jej sposób myślenia.

Michał... poczuła, jak na nowo wzbiera w niej złość. Tak naprawdę nic o nim nie wiedziała. Dla niego liczyło się tylko „tu i teraz”. Nigdy nie opowiadał jej o rodzicach. Nie wiedziała nawet, czy ma jakieś rodzeństwo, bo każde pytanie o rodzinę zbywał żartami. Policjant, który pochodził ze Stalowej Woli, a w Warszawie studiował psychologię – to były jedyne konkretne fakty z jego życia, o których jej powiedział. Miała nadzieję, że były prawdziwe.

– Wynoś się, głupi kocie, pss! – huknęła na Kota, który zaczął łąsić się do jej kolan. I zaraz tego pożałowała. Przestraszony jej reakcją Kot schował się pod stołem. Tylko tego brakowało, żeby odgrywała się na Bogu ducha winnym zwierzęciu, na dodatek zwierzęciu po przejściach! Z poczuciem winy otworzyła kolejną puszkę karmy i wytrząsnęła jej zawartość do miski. Michał nie lubił, kiedy przekarmiła Kota, i ciągle przypominał jej o zaleceniach weterynarza. Za to Kot miał na ten temat zupełnie inne zdanie.

– Przepraszam, nie chciałam. – Pogłaskała go po grzbiecie, kiedy podszedł do miski. Kot zamruczał radośnie i wchłonął drugie śniadanie w takim tempie, jak gdyby nie dostał pierwszego.

Obrzuciła wzrokiem teczkę z dokumentami zostawioną jej przez Michała i zapomniała o kłótni. Morderstwo rodziców było sprawą, z którą nie potrafiła sobie poradzić. A z akt, które już przeczytała, wyłaniał się obraz ojca, jakiego nie знаła. Skorumpowanego księgowego, zatrudnionego w fikcyjnej firmie, będącej częścią największej afery finansowej III RP. Wcale w to nie wierzyła. W ani jedno słowo wypowiedziane przez świadków. Wszyscy kłamali. Próbuując bronić swoich tyłków, zrzucali winę na osobę, która nie była już w stanie się bronić. Czy jej babcia również nie wierzyła w winę swojego syna? Czy dlatego całe życie próbowała wyjaśnić prawdę? Tylko co ona mogła, zwykła urzędniczka, ciężko pracująca, by utrzymać wnuczki...

Rozmyślenia przerwał Marcie dźwięk telefonu. Miała nadzieję, że dzwonił Michał, skruszony, z propozycją wspólnego obiadu w jakimś miłym miejscu. Telefon zawodził cicho, przykryty kocem lub poduszką, i zanim zdążyła go odnaleźć, dzwonek zamilkł. Przekopała się przez bałagan i spojrzała na wyświetlacz. Uniosła brwi w zdziwieniu. Oddzwoniła.

– Czeeeść, pewnie cię obudziłam? – W telefonie zaczął radosny głos jej siostry.

– Nie, już nie śpię, nie mogłam znaleźć telefonu. Już wróciłaś? Czy dzwonisz z Malagi?

– Ach, Malaga. Byliśmy tam tylko kilka dni. Było za gorąco, więc przenieśliśmy się na Teneryfę.

– To na Teneryfie w lipcu jest chłodniej? – spytała Marta z przekąsem. Problemy egzystencjalne Kamili zawsze ostro kontrastowały z jej własnymi.

– Nie, ale wiesz, na wyspach to zawsze trochę inaczej. Bryza, itepe.

– Mhm... – Marta westchnęła. Zazdrościła siostrze wakacji. Sama chętnie wyjechałaby gdzieś teraz z Warszawy.

– W każdym razie jesteście już z powrotem. Nie widziałyśmy się kilka tygodni i dzwonię, by spytać, czy dałabyś się zaprosić na jakieś lody dziś po południu.

– Świetny pomysł, nie mam żadnych planów. – Siostra spadła jej jak z nieba. Wizja soboty spędzonej w towarzystwie uwięzionego w jej mieszkaniu Leszka działała równie przygnębiająco, jak wspomnienie niepotrzebnej kłótni z Michałem. – Przeprowadzisz Weronikę?

– Weronika jest u dziadków. Stęsknili się za nią, więc pozwoliłam im zabrać ją na parę dni. Tym bardziej że Cezary już gdzieś zdążył wyjechać. Służbowo, rozumiesz.

Cezary (nie Czarek, co podkreślał przy każdej okazji) był mężem Kamili. Prowadził różnego rodzaju interesy, powiązane z rodzinną firmą własnego ojca, przez co był w ciągłych rozjazdach. Rozjazdy miały związek również z tym, że zdradzał Kamilę na prawo i lewo, o czym ta doskonale wiedziała. Jednak przymykała oko na te wysoki, w zamian za komfort życia, jaki od niego otrzymywała. Zresztą nie miał romansów, raczej przygody na jedną noc, co z jakiegoś powodu stanowiło dla Kamili różnicę. Marta dowiedziała się o tym wszystkim zupełnym przypadkiem, kilka lat temu.

Któregoś dnia dała się namówić Mikołajowi, swojemu byłemu mężowi, na udział w imprezie zorganizowanej przez jednego z jego pacjentów. Mikołaj był wówczas na etapie rozkręcania prywatnej przychodni, w której jako ortopeda skupiał się na medycynie sportowej. „Wiesz, Marta, to całe warszawskie towarzystwo lubi poszpanować fizyczną aktywnością. Biegają, chodzą na siłownię, jeżdżą na nartach i rowerze. Większość nie ma jednak bladego pojęcia, jak się do tego zabrać. Uszkodzają te swoje łąkotki, naciągają więzadła. A ja się nad tym pochylam ze współczuciem, tłumaczę jak dzieciom co i jak, dopieszczęm. Inaczej niż te chamy z publicznych przychodni. I oni to lubią. I oni są za to gotowi gruby hajs płacić” – tłumaczył swój plan biznesowy. Częścią tego planu było uczestniczenie w przeróżnych imprezach, na których „mógł złapać kontakty”. Tamta impreza była pierwszą i zarazem ostatnią, w której Marta wzięła udział. Odbывała się na trzydziestym lub czterdziestym którymś piętrze Żagla – wieżowca przy Złotej 44. Marta łatwo zapominała takie szczegóły. Za to doskonale pamiętała piękną panoramę centrum Warszawy, jasną i mieniącą się blaskiem światła, mimo późnej pory. Stała jak urzeczona w wielkim oknie i patrzyła w dół. Za jej plecami zaś odbywały się sceny, których wolała nie widzieć. Kokainę serwowano obok truskawek, szampana i kawioru. Myśląc początkowo, że to cukier puder, zanurzyła w niej nawet jeden z owoców. Przed niefortunną pomyłką uratował ją jeden z gości. „Ostro zaczynasz, mała, ale ja takie pomysły lubię. Ciebie też już lubię. Jak pójdziesz ze mną taaaam – wskazał ręką niesprecyzowany kierunek, ledwie trzymając się na nogach – to pokażę ci jak bardzo”. Wyjął z wewnętrznej kieszeni plik banknotów i pomachał jej przed nosem. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Ludzie zajęci byli pić, wciąganiem białego proszku i kopulowaniem. To była prawdziwa orgia. Marta sądziła, że takie rzeczy miały miejsce wyłącznie w starożytnym Rzymie i pornolach retro z NRD.

Trzeba przyznać, że na początku wszystko wyglądało w miarę normalnie: muzyka, wino, rozmowy w małych grupach. Jak na każdej imprezie. Szarmancki gospodarz oprowadził ich po mieszkaniu, wymieniając głośno nazwiska celebrytek, które przybyły na przyjęcie. I bezceremonialnie pokazując je przy tym palcem, co jednak nieszczególnie im przeszkadzało. Uśmiechały się tylko, wyglądając jak milion dolarów. „To też jest jakaś celebrytka?” – spytała Mikołaja, gdy zostali sami, wskazując młodą kobietę w krótkiej złotej sukience z tak dużym dekoltem, że ledwie zakrywał jej sutki.

Marta nie interesowała się popkulturą, nie miała na to czasu. Nie znała zgromadzonych tu sławnych ludzi ani z wyglądu, ani z nazwiska. Mikołaj roześmiał się głośno. „Poważnie pytasz? Przecież to zwykła kurwa. Mietek lubi je sprowadzać na te swoje party. Dla kolegów. Nie wiem, jak możesz nie widzieć różnicy”. Rozejrzała się wokół. Gdyby nie fakt, że parę minut wcześniej wskazano jej celebrytki palcem, naprawdę nie byłaby w stanie znaleźć różnicy. Właściwie to nie była nawet przekonana, czy faktycznie jakaś istniała.

Kiedy zaczęło robić się naprawdę gorąco i kiedy kolejny pijany czy też naćpany gość złożył jej niedwuznaczną propozycję, uznała, że pora opuścić imprezę. Mikołaj, załatwiając jakieś szemrane interesy, w międzyczasie gdzieś zniknął i zostawił ją na pastwę rozbawionej hulastry. Zachowanie typowe dla niego. Po kolei otwierała drzwi do zamkniętych pomieszczeń w apartamencie, mając nadzieję, że znajdzie za nimi męża. Jednak zamiast niego znalazła Cezarego. Siedział rozpostarty na welwetowej kanapie, z opuszczonymi spodniami. Przed nim klęczała kobieta w złotej sukience i ssła mu penisa. Nawet nie zauważył Marty, skupiając się na własnych doznaniach. Szybko zamknęła drzwi wstrząśnięta tym, co zobaczyła.

Długo myślała, czy w ogóle powiedzieć o tym siostrze, a jeśli tak, to jak zrobić to w miarę delikatnie. Pewnego dnia zdobyła się na odwagę. Jednak gdy było już jasne, w jakim kierunku zmierza rozmowa, Kamila szybko ją przerwała.

– Czy ty naprawdę myślisz, że ja jestem ślepa albo naiwna? – spytała Martę. – Przecież ja doskonale wiem, co on wyprawia. Zawsze był psem na baby. Tak się poznaliśmy. Ale to jest jedyna jego wada. Poza tym ma same zalety. Jest dobrym mężem i wspianiałym ojcem. Nie interesują mnie jego lafiryndy. Tak długo, jak zachowuje dyskrecję, nie wdaje się w żadne romanse i nie zaraża mnie żadnym syfem, nie wnिकam w to, co wyrabia na tych swoich wyjazdach czy imprezach. I nawet nie chcę o tym wiedzieć.

Więc nigdy więcej nie poruszyły tego tematu. Teraz również udała, że nie słyszy sarkazmu w głosie Kamili: „Służbowo, rozumiesz”.

– Szkoda, że nie ma Weroniki, ale trudno. O której i gdzie się widzimy? – spytała siostrę.

Ta, jak zwykle, wybrała jakąś knajpkę na Mokotowie. Zawsze, kiedy decydowała o miejscu spotkania, było to gdzieś w obrębie tej dzielnicy. Czy miało to związek z tym, że tam się wychowywały, kiedy żyli rodzice? Nigdy o to nie zapytała.

Pożegnały się po ustaleniu godziny, a siostra obiecała na koniec, że dotrze punktualnie. Marta wiedziała, że „punktualnie” oznacza nie później niż dwadzieścia minut po ustalonym czasie spotkania.

Zrobiła sobie drugą kawę, przypadkiem rozsypując na blacie cukier. Wiedziała, że Michał nie znosi rozsypanego cukru, więc po namyśle rozsypała go nawet ciut więcej, tym razem już celowo. Wychodząc z mieszkania Michała, z zadowoleniem oceniła bałagan, jaki zostawiała – nieumyte naczynia piętrzyły się w zlewie, a ręczniki i pościel walały się po podłodze. Michał był nieznośnie pedantyczny i taki widok po powrocie z pracy z całą pewnością go nie uszczęśliwi. Łagodnie mówiąc. I dobrze.

Na Mokotowskiej zastała Leszka siedzącego w kuchni nad kubkiem parującej kawy i przeglądającego katalog z biura turystycznego. Nie spytała, dlaczego nie ukrył się w składziku, słysząc dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Znała odpowiedź.

– Co, randka nie wyszła? – spytał bez ogródek.

– Nie interesuj się – odburknęła. – I jak? Kawka smakuje? – dodała słodkim głosem.

– Taaak. A co? – W jego głosie zabrzmiała podejrzliwość.

– To kopi luwak, indonezyjska kawa z gówien cywet.

Spojrzał na kubek, potem na opakowanie ze zdjęciem cywety, z którego pochodziły ziarna, i mocno się skrzywił.

– Fuj! – Nalał sobie wody do szklanki i zaczął płukać usta, spluwając do zlewu. – Po co ktoś miałby to produkować? I po co trzymasz coś takiego w domu?

Technicznie rzecz biorąc, to, co powiedziała Leszkowi, nie było prawdą. Kopi luwak była zwykłą kawą, tyle że pochodzącą z ziaren nadtrawionych przez karmione nią cywety. I opłukanych z resztek, które razem z ziarnami kawowca wyszły z odbytów tych zwierząt. Chyba opłukanych. Tak czy siak, sama idea picia czegoś równie obrzydliwego była odpychająca i Marta nigdy nawet nie wzięła kopi luwak do ust. Była prezentem od jednego z pacjentów, zupełnie nietrafionym. I nawet opinia najdroższej kawy świata nie zdołała przełamać jej niechęci. Po co ją zatem trzymała? Żeby podarować ją kolejnej osobie, gdyby nadarzyła się okazja. Ot, taki przechodni prezent. Teraz, kiedy Leszek otworzył opakowanie, kawa nie nadawała się już nawet do tego.

Zostawiła go jego własnym kubkom smakowym i rozpoczęła sobotni rytuał podlewania roślin. Nowe nabytki, kupione kilka dni temu w sieci, jeszcze nie dotarły i zastanawiała się, czy powinna jeszcze kiedykolwiek zamawiać w sklepie, który wybrała. Pochyliła się niżej nad czerwoną aglaonemą odmiany „Suksom Jaipong” – wydawało jej się, że dostrzega białe kropki na brzegach liści, i na moment zabrakło jej tchu. Zapłaciła za tę roślinę majątek i nie zniósłaby widoku wełnowców. Na szczęście były to tylko drobne kryształki substancji naturalnie wytwarzanej przez ten gatunek.

– Czy ty naprawdę musisz mieć tyle roślin? – Leszek postanowił towarzyszyć jej przy podlewaniu. Najwyraźniej nudził się jak mops, siedząc samotnie całymi dniami.

– A czy ty musisz mnie wkurzać od samego rana? – Udała złość, ale w gruncie rzeczy było jej go szkoda. Nie miał nawet fejsbuka. Przez moment chciała powiedzieć mu o Schulzu i *Naeglerii*, miałby zajęcie, czytając informacje o pierwotniaku, ale szybko się rozmyśliła. Leszek nigdy nie spytał o Niuchacza, choć przecież ten był początkowo jego pacjentem, na dodatek kimś w rodzaju patocelebryty. Widocznie w tej chwili nie było to dla niego takie ważne. – Daj mi lepiej adres mailowy tego twojego znajomego dziennikarza. Umówię spotkanie incognito. Z miejskiego wi-fi i fikcyjnego adresu.

Zrobiła to po drodze na spotkanie z Kamilą. Wysłała wiadomość, na którą otrzymała odpowiedź już po kilku sekundach. „Będę” – brzmiała treść maila od Maćka Klicha. Krótko i na temat. Cechy niezbyt często spotykane u dziennikarza. „Może jednak nie jest taki najgorszy” – pomyślała.

Do kawiarni dotarła oczywiście przed siostrą i aż dwadzieścia minut przed czasem. Zajęła miejsce w ogródku, do czego czuła się niemal zobowiązana – w końcu była pełnia lata i należało się tym cieszyć. Zamówiła drinka, choć pewnie wypadało poczekać z alkoholem na Kamilę, i rozejrzała się po sąsiednich stolikach. Obok siedziały dwie młode dziewczyny, pokazywały sobie coś w telefonach i bez przerwy chichotały.

– A ten? Co sądzisz o nim? Fajny, nie? – Blondynka po raz kolejny podsunęła koleżance wyświetlacz pod nos.

– Taki jakiś trochę nie teges – skrzywiła się brunetka. – To już ten rudawy był lepszy.

Po dziesięciu minutach Marta wiedziała, że blondynka ma na imię Agata, poznała również historię jej internetowych przygód, z których każda przypominała poprzednią. Było w nich dużo „ruchania” i kończyły się komentarzami w stylu: „Mówię ci, Sara, co za stulejarz!” albo „Ten to miał czikibansiora!”. Brunetka nie przestawała wypytywać koleżankę o szczegóły i Marta miała wrażenie, że przy kolejnej opowieści jej głowa eksploduje. Rozejrzała się po ogródku w poszukiwaniu innego wolnego miejsca, z daleka od walniętych lolitek. W ogródku były jeszcze dwa puste stoliki. W pobliżu jednego siedział przesadnie zadbany mężczyzna w rurkach, z uchem przy telefonie komórkowym, co kilka minut wybuchając śmiechem przypominającym rżenie wykastrowanego konia. Wybrała ten obok eleganckich czterdziestolatek. Liczyła, że przynajmniej przy nich dane jej będzie usłyszeć śpiew ptaków z pobliskiego parku.

– Jak to masz czarno-białe sny? – spytała ze zdziwieniem kobieta siedząca bliżej jej krzesła.

– Normalnie, bez kolorów – odparła jej koleżanka.

– Współczuję, ja zawsze miewam full HD, z zapachami i dźwiękami. Czarno-białe nie są naturalne. To może oznaczać konfrontację ze sferą nieświadomości lub przeciążenie emocjonalne. Albo blokadę mentalną, co byłoby czarnym scenariuszem. Powinnaś porozmawiać o tym z Denisem na następnym mityngu. Za pieniądze, jakie od nas kasuje, powinien cię natychmiast odblokować. To nie jest naturalne – powtórzyła z przekonaniem.

To by było na tyle, jeśli chodzi o śpiew ptaków. Marta znów rozejrzała się po ogródku. Właśnie zwalniał się stolik w samym rogu, odizolowany od innych wielką donicą z pelargoniami. Wstała i szybko ruszyła w jego stronę, w obawie że ubiegnie ją ktoś inny. Wiedziała, że zachowuje się jak maniaczka z Dnia Świra, ale miała to gdzieś.

Kiedy zajęła miejsce, dostrzegła Kamilę. Zresztą trudno było jej nie dostrzec. Siostra weszła do ogródka, niemalże płynąc w powietrzu – efekt zajęć z baletu w dzieciństwie. Kamila potrafiła chodzić w ten sposób nawet na dwudziestocentymetrowych szpilkach. W jej stronę natychmiast powędrowały męskie spojrzenia – efekt bycia zgrabną blondynką z ogromnymi niebieskimi oczami. Co prawda wszyscy mówili, że są do siebie podobne, ale Marta miała w sobie coś stanowczego, jakąś dużą pewność siebie, graniczącą z arogancją, co zniechęcało mężczyzn do flirtu. Kamila z kolei była kobiecością w syropie – słodka, miła i zawsze uśmiechnięta. I bez worków pod oczami – nie tylko nie dyżurowała i każdej nocy wysypiała się we własnym łóżku, ale nie musiała w ogóle pracować, na dodatek mając do dyspozycji gospozię i nianię. Przywitały się i Kamila natychmiast rozpoczęła szczebiot na temat Teneryfy i tego, co tam robiła. Przerwała dopiero, gdy do stolika podeszła kelnerka przyjąć zamówienie.

– Nie chcesz drinka? Dobre mojito tu mają – powiedziała Marta, zamawiając drugie.

– Nie, dla mnie nic z alkoholem. Poproszę lemoniadę. Rabarbarową.

Marta wlepiła w nią zdziwione spojrzenie.

– Lemoniadę rabarbarową? Jest coś, o czym nie wiem?

– Trudno powiedzieć, może tak, może nie.

– Czyli co?

– Czyli staramy się o braciszka albo siostrzyczkę dla Weroniki. Więc na wszelki wypadek w ogóle nie biorę do ust niczego, co ma na etykiecie procenty.

– Od dawna tak się staracie?

– Od paru miesięcy. Ten wyjazd do Hiszpanii był częściowo z tym związany. Wakacje, zero stresu, wtedy jest łatwiej... Wiem, nic ci nie mówiłam, ale byłam pewna, że walniesz mi kazanie. Nie miałam siły na kłótnie.

– Dlaczego miałabym się z tobą o to kłócić?

– Bo już od jakiegoś czasu nękałaś mnie pytaniami, kiedy wrócę do pracy. A jak zajdę w kolejną ciążę, to zapewne nieprędko.

– Wiesz, że robię to tylko dla twojego dobra. Skończyłaś aplikację adwokacką, a zdążyłaś popracować w zawodzie niecały rok.

Rok w kancelarii Werner i Werner, której klientem był Cezary. Kamila tak właśnie poznała swojego męża. Zaszła z nim w nieplanowaną ciążę po czterech miesiącach znajomości, a Cezary od razu się jej oświadczył. Patrząc wstecz, Marta nie była już taka pewna, czy Weronika faktycznie była nieplanowanym dzieckiem. Kamila nie znosiła swojej pracy.

– Wróć teraz czy za cztery lata. Co za różnica. – Niefrasobliwość w głosie siostry była ujmująca. Marta po ośmiu latach niepraktykowania mogłaby właściwie pożegnać się z medycyną. – Prawo to nie medycyna – Kamila odgadła jej myśli.

– No chyba jednak nawet w prawie coś się zmienia przez osiem lat.

– Marta, nie bądź dzieckiem, w moim zawodzie nie ma znaczenia, ile umiesz, tylko kogo znasz. Adwokat jest pośrednikiem od wręczania kopert. Trochę naprodukujesz się na sali sądowej, trochę popisziesz, ale tak naprawdę liczy się jedynie to, czy masz dojsście do sędziego. Oni boją się obcych. Myślisz, że stary Werner to taki tuz w stolicy, bo kodeksów się na pamięć nauczył? Nie. On tu wszystkich zna. Wie, kto pija dobrą whisky, a kto gustuje w cyncach brunetkach. Wszystko jest towarem, a on wie, komu i co dostarczyć. I dlatego ma efekty.

Marta westchnęła. Skłonność Kamili do przesady była cechą rodzinną. Sama również ją posiadała, choć – z oczywistych względów – u siebie dostrzegała ją rzadko.

– Nie chcę się z tobą kłócić. Jesteś dorosła. Zresztą bardzo ucieszy mnie wiadomość o siostrzenicy albo siostrzeńcu – ucięła temat. – Masz jakieś zdjęcia z tej Teneryfy? Tylko nie jak się staracie, błagam, bez takich!

– Ha, ha, bardzo śmieszne – odpowiedziała Kamila i zaczęła klikać w ekran swojego smartfona, by po chwili przekazać go siostrze. – Przesuwaj w lewo.

Marta przez kilkanaście minut oglądała pocztówkowe widoczki i słuchała relacji siostry, która powróciła do radosnego szczebiotu. Nigdy nie wróżyła jej małżeństwu długiego stażu, ale wyglądało na to, że się myliła. Cezary podobno stanął na wysokości zadania i przez kilka tygodni nie zerznął żadnej pokojówki. Albo przynajmniej zrobił to tak dyskretnie, że nie zepsuł Kamili urlopu. Zorganizował całej trójce piękny pobyt w pięciogwiazdkowym resorcie i mnóstwo innych atrakcji. Co przez ten czas robiła Marta? Spędzała czas głównie w szpitalu. A z atrakcji mogłaby wymienić uderzenie butelką od metadonu przez nawalonego ćpuna z oddziału zamkniętego i bluzgi jakiejś raszpli z problemami psychicznymi, które ktoś nieopatrznie zinterpretował jako objawy boreliozy. I kto komu w tej rodzinie powinien prawić kazania na temat życiowych wyborów? Westchnęła i przeszła do tematu, który bardzo chciała z siostrą przedyskutować.

– Pamiętasz, czym zajmował się nasz ojciec?

– Tata? Słabo. Wiem od babci, że był księgowym. – Pytanie zdziwiło Kamilę. Popatrzyła na siostrę wyczekująco.

– Tak, ale gdzie był tym księgowym?

– No, w jakiejś firmie. Nie znam szczegółów. Import eksport, takie tam. Kawa, herbata, coś w tym stylu.

– Waluta zagraniczna? Transakcje finansowe? – drążyła Marta. Miała pięć lat, kiedy niemal na jej oczach zamordowano rodziców, i niewiele z tamtego okresu pamiętała. Bardzo rzadko rozmawiała też na ten temat z babcią, która bała się, że takie rozmowy mogą Marcie zaszkodzić. Zapewne jednak babcia nie miała takich oporów w stosunku do Kamili, która w chwili śmierci rodziców była zbyt małym dzieckiem, by w ogóle cokolwiek pamiętać. Na dodatek w dniu morderstwa przebywała z daleka od domu.

– Jezu, nie wiem, raczej nie. Na pewno nie. Babcia nic takiego nie mówiła. Ale skąd nagle naszła cię ochota, by rozmawiać o takich rzeczach? – Spojrzała z troską na Martę.

– Mówi ci coś określenie „afera FOZZ”?

– Teraz to już całkiem mnie zaniepokoiłaś. No, tyle co każdemu. Jakiś gigantyczny przekręt z zagranicznym zadłużeniem. Do końca nigdy niewyjaśniony. Dlaczego pytasz?

– Podobno nasz ojciec maczał w tym palce. Dlatego tamtej nocy ktoś zjawił się u nas w domu. Szukano czegoś.

– Pierwsze słyszę. Skąd masz takie informacje?

– Przeczytałam w aktach sprawy. Dostałam kopie od Michała.

– Tego twojego gliniarza? – Kamila nigdy nie poznała Michała. Znała go jedynie z opowieści siostry. Marta kiwnęła głową. – Czemu nic nie mówiłaś? Dawno temu je przeczytałaś?

– Nie, to świeża sprawa. Zresztą nie przeczytałam jeszcze wszystkich. Z trudem przez to przechodzę. Połowy rzeczy nie rozumiem. Ten prawniczy bełkot mnie wykończy. Dlatego chciałam z tobą o tym porozmawiać. Może ty rzuciłabyś na te teczki okiem? Na pewno wyłuskasz coś, co ja przeoczyłam.

– Ale po co?

Ale po co? Zamordowano jej rodziców, całe życie była sierotą, a teraz, kiedy ma możliwość poznania prawdy, siostra pyta po co?

– Naprawdę nie interesuje cię, co się stało z rodzicami? Dlaczego ktoś ich zabił?

– Przecież wiemy, co się z nimi stało. Ktoś ich zabił, sama to przed chwilą powiedziałaś.

– Serio, w takiej chwili robisz mi wykład z logiki? – Teraz była już wściekła na siostrę.

– Marta, Pol-Exchange to stara sprawa. Zostaw to w spokoju. Nikomu już nie pomożesz.

– Skąd znasz nazwę firmy, w której pracował ojciec? Mówiłaś, że nic nie pamiętasz.

– Niewiele. Ale to akurat pamiętam. – Kamila zrobiła głośny wydech i spojrzała w lewo. Zawsze tak robiła, gdy kłamała.

– Ale jak możesz to pamiętać, skoro ojciec oficjalnie zatrudniony był w innej firmie? O Pol-Exchange dowiedziałam się z dokumentów ze śledztwa.

– Widocznie babcia coś musiała mówić. – Kamila płała się w swoich tłumaczeniach.

– Babcia nic nie wiedziała. Informacje o tej firmie znalazłam w utajnionych aktach.
– Jakim cudem ten twój facet zdobył dla ciebie akta sądowe zawierające informacje niejawne? Przecież nie jesteś stroną...

– Nie odwracaj kota ogonem – przerwała jej Marta. – Coś wiesz. Pytanie, co? I dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

– Jezu, Marta, przysięgam, że prawie nic nie wiem. Jakieś strzępki informacji, o których dowiedziałam się przypadkiem, dawno temu, na jakiejś firmowej imprezie. Banda pijanych debili, znajomych Wernera, zaczęła mnie i spytała, czy jestem „tą Wolską”. Chodziło im o ojca. Tak się dowiedziałam. Jeden z nich był obrońcą kogoś zamieszanego w aferę FOZZ. Gadał może trochę za dużo. Ale tam byli sami prawnicy, więc w sumie nic takiego się nie stało. Każdy na takich imprezach gada za dużo.

– Co jeszcze mówili?

– Nie pamiętam, to było tak dawno temu...

– Chcesz mi powiedzieć, że weszłaś w posiadanie ważnych informacji, dotyczących naszego ojca, ale minęły od tego czasu cztery lata, więc zdążyłaś zapomnieć? – Marta czasami zastanawiała się, czy siostra faktycznie jest z nią spokrewniona. To był ten moment.

– Pięc. Może nawet więcej... A te informacje wcale nie były takie ważne. Zresztą nie chcę o tym rozmawiać. Jeśli ojciec był defraudantem, to nie jest to powód do dumy.

– A co, jeśli nie był? Jeśli ktoś go zrobił? Nie pomyślałaś o tym? Co jeśli zabili go jak Falzmanna, bo był z tych uczciwych?

– A co, jeśli był winny? Naprawdę chcesz się o tym przekonać? Nie lepiej zostawić to tak, jak jest, i łudzić się, że jednak nie był? Bo ja na przykład tak wolę. Mogę? Czy też koniecznie muszę wечно rozdrapywać rany? Jak ty? Całe moje dzieciństwo kręciło się wokół biednej, poszkodowanej Martusi. Wszyscy łązili wokół ciebie na paluszkach i schodzili ci z drogi. Robiłaś, co chciałaś, a ja musiałam kłaść uszy po sobie. Ale teraz jesteśmy dorosłe i jest inaczej. W dupie mam twoje pomysły. Oczywiście rób, co chcesz, w końcu jesteś wolnym człowiekiem. Ale mnie do tego nie miesza! Nie wiem, kto zabił rodziców, i nie chcę tego wiedzieć. I nie chcę już nigdy słyszeć o tej sprawie. Rozumiesz? Nigdy! – Ten nagły wybuch gniewu zdziwił Martę. Kamila wiedziała więcej, niż chciała powiedzieć, to było oczywiste. Jednak Marta postanowiła drażnić temat przy innej okazji. Nie dzisiaj. Znała siostrę na tyle dobrze, by wiedzieć, że dziś nic już z niej nie wyciągnie.

– W porządku. Zrozumiałam przekaz. Niech ci będzie. Pokój? – Wyciągnęła w stronę siostry środkowy palec.

– Pokój. – Kamila uśmiechnęła się i zrobiła to samo. Przez moment ich środkowe palce dotknęły się w geście, który wypracowały jeszcze w dzieciństwie. Teraz nie mogły już się na siebie gniewać. Tak ustaliły lata temu i ciągle się tego trzymały.

– Chcesz jeszcze jedną lemoniadę rabarbarową? – spytała Marta, by przypieczętować rozejm.

– Bardzo.

Marta przywołała wzrokiem kelnerkę i złożyła zamówienie. Do końca spotkania rozmawiały wyłącznie o Weronice, jej przedszkolu i nowych sklepach z wyposażeniem wnętrz, które Kamila odkryła, remontując pokój córki. Remont bardzo ją wciągnął. Początkowo wynajęła projektantkę, która miała dopilnować, by wszystko zostało wykonane profesjonalnie. Ale kiedy zaproponowała Kamili, by książki na półkach w biblioteczkę ułożyć kolorami okładek, Kamila wiedziała już, że z tej współpracy nic nie

wyjdzie. A praca przy pokoju Weroniki tak bardzo zaabsorbowała siostrę, że zaczęła przebąkiwać coś o zmianie zawodu i zajęciu się architekturą wewnątrz na poważnie. Marta westchnęła. Znała to uczucie. Sama nieraz myślała o porzuceniu medycyny i zajęciu się czymś innym. Na przykład założeniem ekskluzywnej kwiaciarni. Albo knajpki wyłącznie z wegetariańskim jedzeniem. Jednak wiedziała, że każda branża ma swoje problemy. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma – kolejny truizm ze stuprocentową zawartością prawdy.

Wróciła do domu późnym popołudniem. Kiedy oglądali z Leszkiem film, rozłożeni na fotelach, z popcornem w jednej ręce i colą w drugiej, odezwała się jej komórka. Od razu domyśliła się, kto dzwoni.

– I jak, zrobiłaś już te rzeczy, które miałas do zrobienia? – spytał Michał tym swoim lekko kpiącym tonem, który zawsze uwielbiała, ale który teraz bardzo ją irytował. Chciała go zabić. Ale najpierw rozebrać i przelecieć.

– A ty? Już zrobiłeś? – Postarała się, by jej głos zabrzmiał podobnie.

– Owszem. I teraz nie mogę przestać myśleć o tobie. Chyba zaraz pojawię się na Mokotowskiej. Myślisz, że to dobry pomysł? – Ostatniemu zdaniu nadał nieco lubieżny ton. Ten teatrzyk zaczynał się jej podobać.

– Nie, to bardzo, bardzo, bardzo zły pomysł. – Brakowało jej tylko pejczyka, by ukarać ten pomysł.

– Hm...

– Ale mam lepszy. To ja pojawię się na Litewskiej. Co ty na to? – dodała już normalnym tonem.

– Szampan i truskawki się chłódzą. Zaraz rozkładam czerwony dywan. Przybywaj, o pani!

Rozłączyła się i zadowolona wsadziła do ust kolejną porcję popcornu. Leszek uniósł brwi i skrzywił usta.

– Co to było? Gracie w coś? Zresztą nie mów, nie chcę wiedzieć.

– I dobrze. Wsadzanie nosa w cudze sprawy może się źle skończyć. Zresztą jak widać na załączonym obrazku. – Wstała z fotela. – Miłego oglądania, ja muszę iść. Tylko nie mów mi, kto zabił. Kiedyś dokończę ten film, bo fajny.

Sobota dopiero się dla niej zaczynała.

ROZDZIAŁ 12

Marta przeszła przez niepozorną bramę cmentarza od strony parkingu przy Ostrowieckiej i skręciła w lewo. Przystanęła pod pomnikiem przedstawiającym robotnika trzymającego koło i wznoszącego rękę w kierunku orła. „Pamięci Polek i Polaków deportowanych do prac niewolniczych w III Rzeszy w latach 1939–1945” – głosił napis na tablicy. Znajdowała się w miejscu, w którym powinna skręcić w prawo. Chyba. Już od dawna nie odwiedziła Powązek, chociaż kiedyś bywała tu bardzo często. Na początku swojej pracy nie była w stanie oswoić się ze śmiercią pacjentów. Czuła głębokie pragnienie ratowania każdego, kto trafił pod jej opiekę, choć przecież nie było to możliwe. Niektórzy odchodzili mimo starań. A niektórzy trafiali do szpitala właśnie ze względu na to, że umierali, a jej wyłączną rolą było sprawić, by ta śmierć była wolna od cierpienia. Spacer po Powązkowskim Cmentarzu Wojskowym pomagały jej się z tym pogodzić. Dlaczego akurat ten cmentarz? Bo był pełen grobów ludzi, którzy umarli, by ratować życie innych. Bohaterów. Walczyli, wiedząc, co ryzykują. Wierzyli jednak, że istnieją rzeczy ważniejsze od życia. Było w tym coś romantycznego i jednocześnie budującego. Wyciszała się tu i odzyskiwała poczucie sensu. Miała nadzieję, że Powązki były alegorią tego, co czeka po drugiej stronie – pięknym parkiem, w którym wszyscy odnajdują spokój.

Tym razem jednak nie wybrała Cmentarza Wojskowego ze względu na podniosłą atmosferę. Kierowała się pobudkami czysto praktycznymi. Była to przestrzeń publiczna, w której cały czas kręcili się ludzie. A jednocześnie miejsce na tyle intymne, by można było dyskretnie porozmawiać, a także w porę dostrzec ewentualny ogon, gdyby dziennikarz, z którym miała się spotkać, był zamieszany w aferę z Volandą.

Po kilkunastu metrach przystanęła niezdecydowana. Chyba jednak trochę się zgubiła. Na szczęście nie był to problem – jak zwykle przyszła przed czasem, a cmentarz nie był w końcu aż tak duży. Pokręciła się wśród grobów i już po chwili dostrzegła miejsce, w którym umówiła się z Maćkiem Klichem. Ku jej zaskoczeniu stał tam już jakiś mężczyzna. Najwyraźniej Klich. Jeśli to faktycznie był on, to również nie lubił się spóźniać. Przystanęła, by przez chwilę poobserwować go z daleka. Niezbyt wysoki, ale też nie za niski, przed czterdziestką, nieco przy kości, sprawiał sympatyczne wrażenie. Ubrał się elegancko, w błękitną koszulę z długim rękawem, choć dzień zapowiadał się upalnie. Stał przy ogromnej kotwicy, znaku Polskiej Walczącej, i patrzył w przeciwną stronę.

Kaszlnęła głośno, zbliżając się do kotwicy, nie chcąc go przestraszyć. Odwrócił się w jej kierunku. Miał ładne brązowe oczy i przenikliwe spojrzenie.

– Pan Maciej Klich? – spytała.

– Tak, dzień dobry. – Wyciągnął do niej rękę.

– Dzień dobry, jestem Ani. Ani Sakis. – Marta odwzajemniła uścisk dłoni. – To ja wysłałam panu wiadomość z prośbą o spotkanie. Przepraszam za taką formę kontaktu, ale miałam powód.

– Ani Sakis? Oryginalne nazwisko.

– Tak. Estońskie.

– Jest pani Estonką? Mówi pani bardzo dobrze po polsku.

– Mój ojciec pochodzi z Estonii, mama jest Polką. Ja urodziłam się i wychowałam w Polsce.

– Rozumiem. Napisała pani, że nasze spotkanie ma związek z Leszkiem Skalskim. Czy wie pani, co się z nim stało?

– Niestety nie. Wiem tylko tyle, że znaleziono jego samochód i komórkę i że poszukiwania nadal trwają.

– To o co w takim razie chodzi?

– O to. – Marta wyjęła z torebki kopertę z pendrive'em i podała dziennikarzowi.

– Co to jest? – Spojrzał z zainteresowaniem na napis na kopercie.

– Nie mam pojęcia. Nie otwierałam tej koperty. Dostałam ją od Leszka jakiś czas temu z prośbą, bym odnalazła pana i ją przekazała, gdyby coś mu się stało. Nikt nie wie, gdzie Leszek teraz jest, a nie znikałby bez powodu, więc sądzę, że to coś, Niestety, nastąpiło.

Z wahaniem obracał w dłoniach kopertę, jak gdyby obawiając się jej zawartości.

– Mogę spytać, kim pani jest? W sensie dla Leszka?

– Tak. Jestem...yyy... jego przyjaciółką. – Wiedziała, że to pytanie padnie. Długo zastanawiała się, co odpowiedzieć. „Yyy... przyjaciółka” było wygodnym, dwuznacznym rozwiązaniem. Oznaczało wszystko i nic.

– Ach, zatem to pani jest tym lekarzem? Leszek opowiadał mi co nieco.

Dorota... naprawdę o niej wiedział? Tego tylko brakowało, żeby mieszać ją w to wszystko. Musiała natychmiast coś wymyślić.

– Tak, poniekąd. Jestem lekarzem weterynarii. – Ten pomysł przyszedł jej do głowy w ostatniej chwili.

– Weterynarii... – Przez moment próbował zrozumieć, co właśnie powiedziała. – Ach tak, faktycznie, weterynarii. – Marta zastanawiała się, czy rzeczywiście uwierzył, czy też chciał ratować sytuację, na wypadek gdyby Leszek miał mieć więcej przyjaciółek.

– Wie pan – udało przejętą – nie chciałabym zostać włączona w jakieś nielegalne sprawy. Oczywiście nie podejrzewam Leszka o nic takiego, ale jednak jego zniknięcie bardzo mnie martwi. On ma dar wplątywania się w przeróżne historie, nie zawsze bezpieczne... – To akurat było prawdą. – A ja się boję. Najwycyzejniej w świecie się boję. Dlatego wołałabym, żeby moje nazwisko nie było w żaden sposób powiązane z tą sprawą. Czy może mi pan to obiecać?

– Oczywiście. Cokolwiek znajdę w tej kopercie, pani nie będzie w to wciągnięta. Obiecuję.

Uśmiechnęła się do niego promiennie. Odwzajemnił uśmiech.

– Muszę już iść. Chciałam tylko przekazać kopertę. Nie będę dłużej pana zatrzymywać. – Spojrzała mu głęboko w oczy. Miała nadzieję, że złapie haczyk. Tak naprawdę chciała porozmawiać z nim dłużej, żeby wysondować, co z niego za typ. Po to właśnie tu przyszła. Leszka można było oszukać, ale jej – nigdy. Rozgryzała ludzi dość szybko.

– W którą stronę pani idzie? Odprowadzę panią. – Złapał.

– Tak? Świetnie. Nieswojo czuję się sama pośród tych wszystkich grobów.

– To dlaczego wybrała pani akurat takie miejsce na spotkanie?

– Sama nie wiem, tak robią na filmach. Nie mam za dużego doświadczenia w konspiracji... – Zrobiła minę z rodzaju „jestem taka głupiotka i bezbronna”. – Za to

panu pewnie często się takie historie przytrafiają? Dziennikarz śledczy... To niesamowicie ciekawy zawód. – Popatrzyła na niego z podziwem.

– No, owszem, nie powiem. – Uśmiechnął się, zadowolony z komplementu. – Różne rzeczy już widziałem. A pani prowadzi własną praktykę?

– Teraz tak, mam gabinet na Ursynowie. Ale długo byłam w rozjazdach. Pracowałam dla rozmaitych organizacji pozarządowych, wie pan. Głównie Weterynarzy Świata. Ostatnio w Kostaryce, taki program tam realizowaliśmy, pomocy bezpańskim psom. W Tajlandii z kolei zajmowaliśmy się słoniami...

– Poważnie? To niezmiernie interesujące. Może kiedyś moglibyśmy się spotkać i opowiedziałyby mi pani o swojej pracy? – Czyżby podrywał dziewczynę kolegi? Pierwsza czerwona lampka. – A tak z ciekawości, na co chorują słonie?

„Na co chorują słonie? Dobre pytanie”. Kojarzyła Dumbo, miał za duże uszy. Był jeszcze słoń Trąbalski, ale z tym chyba wszystko było w porządku. A nie, miał kiepską pamięć.

– To ssaki, więc podobnie jak ludzie miewają zakażenia wirusowe, bakteryjne, pasożytnicze, nowotwory... A pan jaką tematyką zajmuje się w swoich artykułach? – Zmieniła temat, żeby nie zrobić z siebie zupełnej idiotki. Po jaką cholerę wymyślała tę historię z Kostaryką i Tajlandią? Mogła po prostu powiedzieć, że na tym Ursynowie szczeni psy na wściekłość.

– Głównie medyczną. W sensie polityka lekowa rządu, nieprawidłowości w prowadzeniu placówek medycznych, afery farmaceutyczne. Tego typu rzeczy. A pani od dawna zna Leszka? – Tym razem on zmienił temat.

– Tak, choć czas to pojęcie względne. – Nie miała czasu na wymyślanie błyskotliwych odpowiedzi. – Jak pan myśli, co mogło mu się stać?

– Wiem tyle, co i pani, że znaleziono jego samochód i rzeczy osobiste. Wszyscy go szukają i mają nadzieję, że odnajdzie się cały i zdrowy.

– Ale ma pan jakieś podejrzenia? W końcu z jakiegoś powodu to właśnie panu miałam przekazać tę kopertę.

– Pani Ani... Hm, to zbrzmiało jak jakieś haiku. Może przejdziemy na ty? Tak będzie łatwiej. Maciek jestem. – Ponownie podał jej dłoń.

– Ani. – Uśmiechnęła się i znów ją uścisnęła.

– Ani... uroczę imię. No więc Ani, wiem tyle, ile powiedziała nam policja. Naprawdę nie mam zielonego pojęcia, w co się wpakował. A tobie nic nie mówił? Kiedy widzieliście się po raz ostatni?

Przejrzała jego taktykę. Gładko odwracał kota ogonem i starał się wyciągnąć z niej jak najwięcej informacji. Zmarszczyła brwi.

– Nie pamiętam dokładnie. A wy?

– W ogóle się ostatnio rzadko widywaliśmy. A kiedy dostałaś od niego tę kopertę?

– Tego też nie pamiętam dokładnie.

– A niedokładnie?

– Niedokładnie też nie za bardzo.

– No wybacz, ale musisz znać chociaż jakiś przedział czasowy. Dni, tygodnie?

– Tak. Jakoś tak.

– To dni czy tygodnie?

Zaczynał działać jej na nerwy. Przecież wyraźnie dawała do zrozumienia, że to pytanie było dla niej niewygodne. Widocznie musiała to zrobić jeszcze wyraźniej.

- Masz na myśli czas jako koncepcję fizyki klasycznej czy mechaniki relatywistycznej? – Postarała się, by kpina w jej głosie była słyszalna.

Nie odpowiedział, ale posłał jej dziwne spojrzenie. Dostrzegła w nim mieszankę rozbawienia i czegoś jeszcze. Miał naprawdę ładne oczy. Takie bursztynowo-czekoladowe. Przez moment szli w milczeniu.

- Zobacz, jakie wspaniałe epitafium! – Postanowiła zmienić temat, by wrócić do rozmowy. Z każdego zdania dowiadywała się o nim nowych rzeczy. Nawet jeśli kłamał. – „Kto tak potrafił powiedzieć polski wiersz? By liść usłyszeć, gdy wokoło cisza” – przeczytała litery wyryte na płycie nagrobnej. Naprawdę wspaniałe.

Przechodzili aleją, w której pochowani byli aktorzy. Maciek podchwycił temat i zaczęli dyskusję o zmarłych sławnych ludziach, co pewien czas odczytując głośno napisy na ich grobach. Potem przeszli na tematy żywych aktorów i filmów, jakie ostatnio oglądali. Aż wreszcie skończyli na książkach. Poruszali wyłącznie neutralne tematy. Rozmawiało im się naprawdę dobrze, mężczyzna był błyskotliwy, dowcipny i niezmiernie sympatyczny. No i ten jego głos – miękki, a jednocześnie stanowczy... Aż chcieli się go słuchać. Powinien prowadzić audycję w radiu.

- A ty, Ani? Jakie chciałabyś mieć epitafium? – spytał niespodziewanie.

- Ja? Hm... niech pomyślę. „Tu leży Ani Sakis. Zawsze chciała prowadzić bloga kulinarnego”.

- Naprawdę? Prowadzisz bloga kulinarnego?

- Nie, ale zawsze chciałam. – Roześmiali się oboje.

- Czyli lubisz gotować?

- Uwielbiam. A ty? Jakie masz hobby? – podchwyciła szybko.

- Ja? Lubię być w centrum zainteresowania. – Znowu śmiech.

- To chyba dobrze wybrałeś zawód?

- Raczej słabo. Wiem, że pewnie możesz mieć inne zdanie, słuchając różnych dziennikarskich gwiazd i ich wynurzeń, ale ja jestem ze starej szkoły, która mówi, że dziennikarz powinien umieć słuchać. A tego musiałem się nauczyć. Bo gadane mam od małego, to akurat przyszło samo.

Dotarli do bramy i uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie.

- Do zobaczenia... Ani. – Znowu popatrzył na nią w ten dziwny sposób. Jednak nie potrafiła go rozgryźć. Skutecznie się maskował. – Mam nadzieję, że spotkamy się ponownie, kiedy Leszek do nas wróci.

Powiedział „kiedy”, a nie „jeśli”.

- Do widzenia, Maćku. Miło było cię poznać. – Mówiła szczerze. – Ja również mam taką nadzieję. – Cały czas trzymał jej dłoń, znacznie dłużej, niż wypadało. Naprawdę ją podrywał? Czy po prostu miał taki sposób bycia?

Na wszelki wypadek nie obejrzała się za siebie, idąc w stronę przystanku. Jeśli stał i patrzył w jej kierunku, nie dała mu pretekstu do żadnych dwuznacznych domysłów.

Kiedy weszła do mieszkania, Leszek polerował szmatką liście jej monstery. Nie skomentowała tego, choć miała wielką ochotę. Coraz wyraźniej mu odbijało.

- I jak? – spytał, wstając z podłogi.

- Straszny z niego manipulant.

- Co nie? – Roześmiał się. – Wiedziałem, że się polubicie.

- Nie polubiliśmy się. Zresztą podałam mu fałszywe nazwisko.

- Poważnie? Dlaczego?

- Na wszelki wypadek. Gdyby jednak miał coś wspólnego z Volandą.

– Nie ma. Ręczę za niego.

– Już to mówisz. Nie dzielam twojego optymizmu. Nie wiadomo, czy to nie on wpakował cię w tę całą sytuację. – Zatoczyła ręką koło, jakby za „całą sytuację” uznała monstery, fikusy i paprocie.

– Nie będę się z tobą kłócił. Głodny jestem, a jak Polak głodny, to zły. Jeszcze powiem o jedno słowo za dużo i wyrzucisz mnie z tej miejscówki. A to bardzo dobra miejscówka.

Gotowała mu i robiła za niego pranie. Oczywiście, że to była bardzo dobra miejscówka.

– Twój dług rośnie. Mam nadzieję, że reinkarnacja istnieje, bo inaczej nigdy się nie wypłacisz... Ja też jestem głodna – dodała po chwili. – Chodź do kuchni, zrobię nam jakiś makaron. I streszczę, co mówił Klich.

Szybko uwinęła się z sosem, opowiadając i odpowiadając na pytania Leszka. Umówiła się z Michałem na spacer po Starówce po południu. Oboje mieszkali w Śródmieściu, ale rzadko mieli czas, by zwiedzać okolicę, a dzisiejszy pogodny dzień wprost do tego zachęcał. Poza tym kusila perspektywa zjedzenia „polskiego hot dog’a”, czyli bułki nadziewanej pieczarkami, którą w naprawdę dobrej wersji można było kupić tylko w okolicy Rynku. Jej smak nie zmienił się od czasów dzieciństwa, kiedy Marta przechadzała się po Starówce z babcią i Kamilą.

Doskwierały jej co prawda wyrzuty sumienia, że ciągle zostawia Leszka samego, ale miała przecież własne życie. On też już wkrótce odzyska swoje, a przynajmniej na to liczyła. Drażniła ją jego ciągła obecność i chciała wreszcie wrócić do starych nawyków.

Po obiedzie pożegnała Skalskiego i ruszyła w stronę Alei Ujazdowskich, gdzie umówiła się z Michałem. Dostrzegła go z daleka i podświadomie przyspieszyła kroku. Po rozwodzie z Mikołajem postanowiła, że już nigdy więcej się nie zakocha. Miała niejasne przeczucie, że to postanowienie mogło okazać się trudniejsze w realizacji, niż sądziła.

ROZDZIAŁ 13

Jak w każdy poniedziałek, Marta wyszła do szpitala wcześniej niż w inne dni. Początek tygodnia to pora, kiedy wielu ludzi wraca do prac, których nie znosi. Po dwóch dniach odpoczynku, które tylko dotkliwiej uświadamiają im, jak bardzo frustruje ich własne życie zawodowe. Poniedziałkowy poranek to czas wypadków i chamskich odzywek kierowców. Dlatego tego dnia dotarcie do pracy trwało zwykle dłużej niż w jakikolwiek inny dzień. Marta przewidywała to, nastawiając budzik kwadrans wcześniej niż zwykle.

Weszła do głównej dyżurki lekarskiej jako pierwsza. Zastała w niej tylko Aleksandra Mączkę, lekarza, który właśnie kończył niedzielny dyżur. Nie pracował w Klinice Chorób Zakaźnych, formalnie nie był nawet pracownikiem „Błęńskiej”. Był jednym z tak zwanych lekarzy kontraktowych, wynajmowanych wyłącznie na dyżury. Braki kadrowe były tak duże, że dyrekcja szpitala musiała sięgać po „obcych”. Ich udział w procesie diagnostyki i leczenia ograniczał się do zlecenia najpotrzebniejszych badań i właściwego reagowania na nagłe sytuacje. Pacjenci często nie byli w stanie zrozumieć, dlaczego lekarz dyżurny nie chce porozmawiać z nimi na temat stanu ich zdrowia albo dalszego postępowania. Tymczasem dyżurni mieli pod opieką kilkudziesięciu zupełnie obcych ludzi, o których historii chorób praktycznie nic nie wiedzieli. Właśnie dlatego. Ich wyłącznym zadaniem było zapewnienie bezpieczeństwa pacjentom do momentu, kiedy w szpitalu zjawi się lekarz, który faktycznie prowadzi leczenie.

Marta przywitała się z Mączką i przez chwilę porozmawiała z nim na temat przebiegu dyżuru oraz stanu pacjentów. Ucieszyła się, słysząc, że mały Piotruś Łapka, dzieciak od żelków, spędził weekend aktywnie, ćwicząc chodzenie i nawet bawiąc się z rodzeństwem, które przyszło go odwiedzić. Nie był jej pacjentem, ale od początku szczerze mu kibicowała i śledziła jego postępy. Po kilku minutach dyżurka zaczęła zapełniać się lekarzami, a tym samym gwarem mieszaniny rozmów o tym, jak komu minął weekend oraz czyj pacjent wymagał zmiany leków.

Gwar ucichł dopiero po wejściu ordynatora. Stary tryskał dziś energią i dobrym humorem. Najwyraźniej policja dała mu już spokój w związku z nagraniem. Na razie. Jeśli wyniki sekcji zwłok profesora Franczaka potwierdzą zabójstwo, sprawa wróci jak tornado. Stary wydawał się jednak zupełnie tym nie przejmować. Rzucił żartami na lewo i prawo, komentując również w niewybredny sposób przypadki medyczne, które właśnie omawiano.

Po odprawie z ordynatorem zaczęto przygotowania do obchodu. Na oddziale chorób zakaźnych panował zwyczaj, że obchód prowadzony był w kameralnym, dwuosobowym gronie, składającym się z ordynatora i lekarza prowadzącego. Kolej Marty wypadła tym razem na końcu, miała więc czas, by sprawdzić wyniki badań pacjentów oraz zmodyfikować karty ich zleceń.

– Możecie darować sobie czekanie, obchód został odwołany – oznajmiła doktor Zawada, wchodząc do dyżurki dwadzieścia minut później.

– Co się stało? – spytał doktor Hołowacz.

– Stary dostał w oko żelkiem i musiał pójść na okulistykę.

– Co? – Doktor Hołowacz w zdziwieniu uniósł brwi.

– Byliśmy w sali u Piotrusia Łapki. Kiedy badałam chłopca, zauważyłam jakieś dziwne kolorowe punkciki na suficie. Wskazałam je palcem, Stary popatrzył w górę. Wtedy jeden się odkleił i pacnął go w oko. Okazało się, że były to żelki. Nie wiem, skąd się tam wzięły, pewnie to robota małego. W każdym razie Stary z bolącym okiem poszedł na okulistykę i kazał przekazać, że dalszej części obchodu nie będzie. Zanim go zbadają, minie pewnie trochę czasu.

„Karma wraca. Nie w taki, to w inny sposób” – pomyślała Marta.

– Nie żebym mu źle życzyła – kontynuowała doktor Zawada – ale świetnie się składa. Nie będzie komu protestować, jeśli wypiszę dziś Waginozę. Zupełnie zdrowa zajmuje izolatkę, a tymczasem prawdziwie chorzy pacjenci muszą leżeć na korytarzu. Hm... to znaczy zdrowa na ciele. O umyśle z litości nie wspomnę... Wypis dam do podpisu Marchlewskiemu. Ten się nie przyjaźni z naszą dyrektorką, więc nie będzie miał oporów.

Najwyraźniej waginistka dorobiła się przezwiska. Najczęściej dostawali jej nielubiani lub uciążliwi pacjenci. Jak Dzwonnik z Notre Dame – pan Antoni z sali numer pięć, który za bardzo zaprzyjaźnił się ze swoim dzwoneczkiem obok łóżka.

– Rozpoznałaś coś u niej? – spytała z ciekawości Marta.

– Ja to od wejścia diagnozę postawiłam. Niestety, psychiatra nie miał szans potwierdzić, bo pacjentka nie zgodziła się na konsultację. W badaniach zupełnie zdrowa. Neurolog i reumatolog też niczego nie znaleźli. Wypisuję ją z fibromialgią, czyli uogólnionym bólem. Niech się teraz inni nią martwią. – Uśmiechnęła się złośliwie. Iwona Pstrąg miała niewątpliwy talent do zrażania do siebie ludzi. Doktor Zawada na co dzień była najsympatyczniejszą panią doktor na oddziale.

Marta zrobiła obchód tylko z Nowaczykiem. Nadal wołała na niego Młody, choć zdążyła już zapamiętać, jak naprawdę się nazywał. Radził sobie całkiem przyzwoicie i Marta miała nadzieję, że równie dobrze pójdzie mu podczas pierwszego dyżuru. O ile, oczywiście, nie zdarzy się nic nieprzewidzianego.

Kolejne godziny mijały na wypełnianiu rutynowych obowiązków – zleceń, przyjęć, wypisów. Dzień jak co dzień. Piekiło rozpętało się dopiero około godziny trzynastej.

– Widzieliście ten list?! – wykrzyknął doktor Kurek. – Czytaliście dzisiejszą pocztę służbową?

Zebrani w dyżurce pokręcili głowami.

– To posłuchajcie. – Kurek odchrząknął i zaczął czytać. – Do pracowników Warszawskiego Szpitala Klinicznego im. Wandy Bieńskiej. Informuję, że od dnia... cooo? To już od jutra! Wprowadza się zakaz wyrzucania prywatnych śmieci. Pracownicy proszeni są o zabieranie śmieci do domu i wyrzucanie ich do prywatnych koszy. Kosze z czarnymi workami z pomieszczeń służbowych i socjalnych, w tym z dyżurek lekarskich i pielęgniarskich, zostaną usunięte. Pozostawione zostaną jedynie kosze w pomieszczeniach dla pacjentów oraz kosze z czerwonymi workami, na odpady medyczne. Podpisano: dyrektor szpitala, magister Anna Kujawiak-Pachciarz. Nie wierzę w to, co właśnie przeczytałem. Pani Gosiu, widziała to pani?! – ryknął na powitanie oddziałowej, która właśnie w tym momencie pojawiła się w dyżurce, przynosząc kolejne karty przyjęć ze Szpitalnego Oddziału Ratunkowego.

– Widziałam. Kto w szpitalu pracuje, ten na kabarecie się nie śmieje – odpowiedziała zrezygnowana. Położyła karty na stole i wyszła bez dalszych komentarzy.

– Ja tego dłużej nie wytrzymam! – krzyczał tymczasem Kurek. – Zaraz wypowiedzenie złożę. Tu już od dawna nie da się pracować, przecież to jakaś kpina jest!

– Jurek, nie denerwuj się. Przecież to oczywiste, co się stanie. Wszyscy zaczną wyrzucać swoje śmieci do czerwonych koszy. Których utylizacja kosztuje szpital wielokrotnie więcej, bo przecież są to odpady, których nie wolno wywozić na wysypisko. Po kilku tygodniach, kiedy rachunki wzrosną, zamiast spaść, wszystko wróci do normy. – Doktor Hołowacz próbował uspokajać kolegę.

– Nie o to chodzi, Łukasz. Ja wiem, że Pachciarzowa przejedzie się na tych śmieciach. Chodzi o zasady. O to, że jest to dla mnie upokarzające jak cholera. Tyle lat studiów, specjalizacji i jestem traktowany jak jakiś gówniarz, którym można pomiatać na prawo i lewo. W imię czego mam to znosić? Nie, miarka się przebrała, tym razem odchodzę. Niech znajdą sobie innego frajera na moje miejsce!

Jerzy Kurek powtarzał to za każdym razem, kiedy dyrektor Kujawiak-Pachciarz zatrudniała w szpitalu kolejnego członka własnej rodziny, a ten wpadał na kolejny świetny pomysł, jak wyprowadzić szpital z kryzysu finansowego. Tak jak miało to miejsce poprzednim razem, kiedy w łazienkach dla personelu zakręcono ciepłą wodę i odkręcono na powrót dopiero po interwencji Sanepidu. Jednak doktor Kurek nigdy nie odchodził. Był typem, który musiał pokrzyczeć, ale dalej robił swoje.

– No cóż... – zaczęła doktor Zawada. – Skoro już jesteście w temacie rezygnacji, to chciałam wam coś powiedzieć. I tak miałam to zrobić, a teraz nadarzyła się dobra okazja. No więc... Hm... Ja odchodzę. Złożyłam wypowiedzenie kilka tygodni temu, zostało mi jeszcze pięć tygodni pracy.

– Mira, poważnie? Odchodzisz? Z powodu tych głupstw? Daj spokój, trzeba robić swoje i nie przejmować się kretynami. – Doktor Hołowacz próbował teraz łagodzić sytuację z doktor Zawadą.

– Nie, Łukasz. Jurek ma rację. Tu się robi tylko gorzej. Za stara już jestem na takie akcje. Powinam zajmować się pacjentami, a nie irytować każdą kolejną kartką, którą mam wypełniać przy przyjęciu czy wypisie, bo tak się komuś w jakimś urzędzie zamarzyło. Albo zbierać w torebce papierki po kanapkach.

– To co będziesz robić?

– Będę przyjmować pacjentów w przychodni, prywatnie. Dwa razy w tygodniu.

– I to ci wystarczy?

– Mój mąż dostał podwyżkę, dzieci się wyprowadziły. Nie potrzebuję już do życia nie wiadomo ile. Pomyślałam sobie, że dzięki temu częściej do parku wyjdę, zdrowo zacznę się odżywiać, regularnie. I wreszcie się wyśpię, w swoim własnym łóżku.

W dyżurce zapanowała cisza, którą przerwał dzwonek telefonu Marty.

– To Stary, muszę odebrać – wyjaśniła kolegom. – Halo? Tak, dobrze, zaraz przyjdę.

Nie cierpiała, kiedy dzwonił na jej prywatny numer telefonu, kiedy była w pracy. Na dodatek po to, by wezwać ją do swojego gabinetu.

Zapukała i weszła do środka. Niższy od Marty o głowę, siedział na swoim „prezydenckim” krześle z zaklejonym lewym okiem, wyglądając jak bieda-pirat.

– Widział pan profesor nowe zarządzenie dyrektor Kujawiak-Pachciarz? – spytała, gdy usiadła po drugiej stronie jego biurka.

– Widziałem, nic na to nie poradzę – odpowiedział z niechęcią. – Mamy trudne czasy, każdy musi zaciskać pasa. Kto jak kto, ale lekarz powinien takie rzeczy wiedzieć. Ale nie po to panią poprosiłem do siebie. Chciałem porozmawiać o pani

artykule na temat *Naeglerii fowleri*, który rozumiem, że pani już pisze. Na jakim jest etapie?

– No, zbieram dane, na razie teorię. Schulz zmarł ledwie kilka dni temu. Dopiero w sobotę odbyła się jego sekcja.

– Kto bierze udział w pisaniu?

– Ja, doktor Leśniowski i doktor Krahelska.

– Hm... No i ja, oczywiście?

– Oczywiście. – Zasadą było, że szef kliniki, w której powstawał artykuł naukowy, zawsze musiał być dopisany do listy autorów. Nawet jeśli nie przyłożył małego palca u stopy do procesu jego tworzenia.

– Świetnie, świetnie. – Złączył obie dłonie w układzie piramidy. Jakiś czas temu zaczął chodzić na szkolenia z mowy ciała. Marta podejrzewała, że był to pomysł kogoś z tak zwanych przedstawicieli medycznych, czyli wysłanników firm farmaceutycznych, z którymi pozostawał w komitywie. Miał teraz manię wypróbowywania nowo nabytych umiejętności na pracownikach oddziału. Było to idiotyczne i działało Marcie na nerwy. – Mam propozycję, by do naszego zespołu włączyć jeszcze dwóch młodych autorów. Jeden jest co prawda ciągle studentem, ale bardzo zdolnym. Na pewno pomoże pani doktor we wszystkich sprawach, w których będzie mógł.

Stary wręczył jej kartkę, na której widniały dwa nazwiska: Antoni Boczarski i Maurycy Klutz. Znała oba. Pierwszy był synem dziekana i robił w „Błęskiej” specjalizację z otolaryngologii. Drugi był synem rektora i nadal studiował medycynę, chyba na szóstym roku. Marta słyszała o nim tylko dlatego, że jego ojciec bez przerwy wydzwaniał po oddziałach, załatwiając mu zaliczenia kolokwium i egzaminów. Klutzowie byli klanem lekarskim od pokoleń, jedna z sal wykładowych nosiła nawet nazwisko Jana Klutza, dziadka obecnego rektora. Brak predyspozycji intelektualnych najmłodszego Klutza nie mógł być przeszkodą w kultywowaniu tradycji tak znamienitego rodu.

– W czym niby miałyby mi pomóc student i otolaryngolog? Przecież artykuł jest z zakresu parazytologii. – Wiedziała, że opór na niewiele jej się przyda, ale przynajmniej będzie mogła bez wstydu spojrzeć w lustro. Chyba.

– Chciałaby pani opublikować swój artykuł w jakimś zagranicznym periodyku? Takim wysoko punktowanym? No właśnie. A profesor Klutz może sprawić, by tak się stało. Potrzebuje do tego jedynie odpowiedniej motywacji. Naprawdę musimy na ten temat dyskutować? Pani doktor... – Ostatnie dwa wyrazy zabrzmiały jak ostrzeżenie. Być może Stary chodził też na jakieś szkolenia z intonacji głosu.

Ordynator uznał spotkanie za zakończone i Marta mogła wyjść z jego gabinetu. Pomyślała o doktor Zawadzie i jej decyzji o rezygnacji z pracy w szpitalu. Zazdrościła jej tego kroku. Sama również nieraz myślała o zmianie pracy, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby robić coś innego. Może w innym miejscu, owszem. Tylko jakim? Wszystkie polskie szpitale były piekłem i pracowali w nich wyłącznie desperaci. Taka prawda. Marta westchnęła. Gdyby chociaż Stary okazał się zamieszany w tę aferę ze śmiercią Franczaka... Ordynatorem zostałyby ktoś inny i może życie stałoby się choć odrobinę łatwiejsze. Może. Przystanęła przed drzwiami wejściowymi do dyżurki lekarskiej i wyjęła z kieszeni komórkę. Sprawdziła w bazie publikacji dorobek młodego Klutza i Boczarskiego. Gwizdnęła. Każdy z nich miał na swoim koncie po kilkanaście publikacji. Były tu prace z zakresu okulistyki,

ginekologii, ortopedii, psychiatrii, kardiologii i kilku innych specjalizacji. Faktycznie, zdolni młodzi ludzie. Nic dziwnego, że w rodzinie Klutzów i Boczarskich doktoraty broni się najpóźniej na trzecim roku rezydentury, a profesurę ma się jeszcze przed czterdziestką. Dobre geny.

Przyłożyła kartę do czytnika i otworzyła drzwi dyżurki. W środku, jak można było się spodziewać, panowała grobowa atmosfera. Dyskusje ucichły, a choć doktor Zawady nie było, każdy nadal pogrążony był we własnych myślach, wywołanych sensacyjną informacją o jej odejściu. Marta mogłaby przysiąc, że je słyszy: „A mówiłem, żeby wyjechać do Londynu, kiedy jeszcze nie mieliśmy dzieci”, „Dlaczego wybrałem choroby zakaźne? Na egzaminie końcowym dostałem dużo punktów, trzeba było złożyć papiery na radiologię”, „Może jeszcze nie jest za późno, żeby pójść w stronę medycyny estetycznej i założyć własny gabinecik?”.

Dokończyła „papierologię” i wydała instrukcje Młodemu, po czym wykonała dwa krótkie telefony – do Doroty i Marka, zapowiadając swoje rychłe nadejście. Niedaleko budynku Krainy Oz przystanąła w zachwycie przed olbrzymim krzewem szarłatki zwisłego. Park szpitalny pełen był rozmaitych gatunków i odmian krzewów i drzew, z których wiele musiało pamiętać początek ubiegłego wieku. Nigdy się nie zastanawiała, skąd się biorą nowe rośliny, ale najwyraźniej szpital musiał zatrudniać ogrodnika. Przecież szarłat to roślina jednoroczna i nie było możliwości, by mógł wyrosnąć sam – w końcu był gatunkiem egzotycznym. Pochodził z Ameryki Południowej, a jego nasiona służyły Indianom do produkcji ciastek. Wyrabiali je z nasion i ludzkiej krwi. Można powiedzieć, że idealnie pasował do tego miejsca, gdzie krew w każdym kontekście odgrywała kluczową rolę.

Odwiedziny zaczęła od Marka. Jak zwykle siedział pochylony nad mikroskopem. Dzięki *Naeglerii*, sensacyjnemu odkryciu, jego twarz znów nabrała koloru, a oczy odzyskały dawny blask. Przeszedł się przejmować nadchodzącą obroną doktoratu. Na razie wieści o negleriozie nie przedostały się poza teren szpitala. Media nadal żyły piątkową sensacją o tragicznej śmierci Aleksandra Dreja, „króla dzikiej reprivatyzacji”. „Wyssany przez maszynę”, „Bezbronny pacjent w obliczu diabelskiej technologii”, „Szpital miał leczyć, a uśmierca” – grzmiały nagłówki. Nawet zgon Schulza, seryjnego gwałciiciela i mordercy, musiał zejść na dalszy plan. Nic dziwnego, że obco brzmiąca choroba, która była przyczyną tego zgonu, nie wzbudziła jeszcze żadnego zainteresowania. Ale to tylko kwestia czasu, Marta była tego pewna.

– Mamy nowych współautorów. – Zamachała mu na powitanie kartką, którą dostała od Starego. Marek spojrzał na nazwiska i się skrzywił.

– Poważnie? Oni się robią coraz bardziej bezczelni. I co teraz?

– Nic. Poczekamy na rozwój wydarzeń. – Miała na myśli sekcję zwłok Franczaka. Gdyby się okazało, że został jednak zamordowany, Stary tak łatwo by się nie wywinął. Wtedy można by było znaleźć wyjście z sytuacji i pozbyć się tych głąbów – fałszywych współautorów.

– U mnie też były zakusy.

– Tak?

– No. Julunia napomknęła o swojej córce. Ale powiedziałem wprost – pierwszy autor artykułu, czyli ty, jest z Kliniki Chorób Zakaźnych, więc niech o pozwolenie uderza do Czechowskiego. A że z twoim Starym nie żyją w najlepszej komitywie, to już do tego tematu nie wróciła.

– Przynajmniej tyle.

Marek pokiwał głową.

– Mam już koncepcję artykułu. Chcesz o tym porozmawiać?

– No jasne. Ja też sporo o tym myślałem.

– Daj jakąś kartkę, nakreślimy plan.

Przez następne pół godziny żywo dyskutowali na temat kwestii, które ich różniły. Na szczęście nie było tego zbyt wiele. Generalnie zgadzali się co do głównych założeń artykułu. Kiedy skończyli, Marta pożegnała się z Markiem i poszła do Doroty, która pracowała po drugiej stronie budynku. Przyjaciółka również wyglądała lepiej niż kilka dni temu. Wiadomość od Leszka najwyraźniej uwolniła ją od stresu. Jeśli chodzi o artykuł – tu sprawa była prosta. Dorota była szefową zakładu patomorfologii i nikt nie stał jej nad głową, by dopisać swoje nazwisko do cudzej pracy. Poświęciła wolną sobotę na przeprowadzenie autopsji Schulza i mogła już opowiedzieć Marcie o wstępnych wynikach.

– Aha, byłabym zapomniała. Wiesz coś na temat Franczaka? – spytała Marta na odchodnym. Ten temat był właściwie głównym powodem jej wizyty w Krainie Oz. Artykuł był jedynie pretekstem.

– Tak, rozmawiałam ze znajomymi z Zakładu Medycyny Sądowej. Mają już wyniki jego sekcji. Ale to poufne informacje, nie rozpowiadaj ich dalej. Policja prowadzi śledztwo związane z Franczakiem. Wiesz, Marta, wreszcie zaczynają mi się wszystkie te elementy łączyć – zniknięcie Leszka, poprzedzone jego dziwną reakcją na śmierć Franczaka, potem ta sekcja... W co on się wpakował? Naprawdę...

– Nikomu nie powiem. Co stwierdzili? – Musiała przerwać Dorocie. Cierpliwość nie była jej zaletą. A od tej informacji zależało, czy Stary będzie miał problemy, a Leszek w końcu wróci do siebie.

Dorota westchnęła.

– To była naturalna śmierć, bez udziału osób trzecich.

– Co?!

– Franczak zmarł z przyczyn naturalnych. Nikt mu w tym nie pomógł. – Dorota spojrzała uważniej na przyjaciółkę, zdziwiona jej reakcją. – Wydajesz się tym zawiedziona.

– Zawiedziona? Skąd. Po prostu po tym, jak Leszek zniknął, odwołano pogrzeb Franczaka, a w gabinecie Starego pojawiła się policja, wszyscy zaczęli się zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi. Zresztą tak jak i ty. Byłam pewna, że sekcja coś wykaże. Teraz wróciliśmy do punktu wyjścia. To bez sensu.

Dorota wzruszyła ramionami.

– Sekcję przeprowadzał Grzesiek Liszt, a jemu nigdy nic nie umyka. Znalazłby nawet najbardziej dyskretne wkłucia albo finezyjne uszkodzenia. Na ostateczny raport z toksykologii trzeba oczywiście jeszcze poczekać, ale wstępne analizy niczego nie wykazały, więc nie sądzę, by coś mogło nas jeszcze zaskoczyć. Franczakowi nikt nie pomógł w odejściu z tego świata.

Marta pokiwała głową i sięgnęła do klamki.

– Aha, poczekaj, byłabym zapomniała. O co chodzi z tym waszym Starym? Bardzo się ostatnio produkuje w temacie tego nowego leku zapobiegającego HIV.

Dorota podniosła z blatu biurka gazetę i otworzyła na stronie z artykułem, którego tytuł grzmiał: „Volanda szansą dla tysięcy młodych ludzi w Polsce. Czy konserwatywny minister zdrowia powinien podać się do dymisji?”. Marta przejrzała treść artykułu. Przesłanie wywiadu ze Starym przypominało obejrzany przez nią

niedawno program z jego udziałem. Schemat działania jej szefa oraz działów PR firm Zeliga Pharm i WS Public Affairs Management był konsekwentny i przewidywalny. Podpisany pod artykułem Artur Szalowski był albo na pasku finansowym którejś z nich, albo sam przyjmował Volandę i chciał przyszczędzić, tak samo jak „Jarus” z telewizji. Albo jedno i drugie, co było prawdopodobnym scenariuszem.

– Nasz Stary słynie z takich akcji. Szczwany lis jest skuteczny. Dlatego tak długo utrzymuje się na stołku konsultanta wojewódzkiego. Zobaczysz, że Volanda wejdzie do refundacji jeszcze w tym roku. – Machnęła przyjaciółce ręką na pożegnanie i ruszyła w drogę powrotną na oddział zakaźny.

Wiadomość o naturalnej śmierci Franczaka zmartwiła ją bardziej, niż sama chciała przyznać. Komplikowało jej to życie na wielu płaszczyznach. Może jednak nadszedł czas, by o wszystkim porozmawiać z Michałem? Dziś wieczorem spróbuje przekonać do tego pomysłu Leszka. Była pewna, że Skalski też miał już dość ukrywania się przed bliżej nieokreślonym niebezpieczeństwem.

Na oddziale czekał na nią nowo przyjęty pacjent, na szczęście nie był to żaden skomplikowany przypadek. Przed wyjściem dopilnowała jeszcze, by wszyscy jej pacjenci otrzymali na wieczór odpowiednie zlecenia. Po raz kolejny rozmawiała też z matką jednego z pozostających pod jej opieką dzieci. Tego dnia już trzykrotnie tłumaczyła jej, na czym będzie polegać leczenie, ale kobieta była tak zrozpaczona hospitalizacją syna, że Marta nie miała serca jej odmówić.

W drodze powrotnej do domu planowała kupić pieczywo, ale zniechęciła ją kolejka w piekarni. W sumie powinna jeszcze mieć kilka zamrożonych kajerek... Kiedy przekręcała klucz w zamku, kątem oka dojrzała ruch na klatce schodowej. Z góry zbiegał jakiś mężczyzna. Średniego wzrostu, korpulentny. Wydawał się zdenerwowany. Nie znała go, ale nie przejęła się nim szczególnie. To była spora kamienica i sąsiedzi miewali gości. Dopadł ją z zaskoczenia w momencie, kiedy przekraczała próg mieszkania. Wepchnął ją brutalnie do środka, kopniakiem zamykając za sobą drzwi wejściowe i zaciągając ją do salonu. Rzucił ją na podłogę i zakleił taśmą usta tak, że ledwie mogła odдыchać. Oszołomiona uderzeniem nie była w stanie nic zrobić. Skrępował jej ręce i nogi tak mocno, że poczuła ból. Spojrzała przerażona na napastnika. Nigdy wcześniej go nie widziała i nie miała pojęcia, czego od niej chciał.

– Poszło dobrze, a teraz sobie poczekamy. – Usiadł na podłodze obok niej i obrócił ją tak, by leżała na plecach. – Nie wiesz o co chodzi, co? – Marta w przerażeniu pokręciła głową. Pomyślała, że ma to związek z Leszkiem. Może wyszedł z domu i go dopadli, a teraz mszczą się na niej za to, że mu pomagała.

– Ładna jesteś, nie mogę powiedzieć. Ma gnojek dobry gust. – Zaśmiał się. Czyżby uznali, że jest jego dziewczyną? Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Napastnik podniósł się z podłogi i usiadł w fotelu, bębniąc palcami o poręcz. Siedział tak kilka minut, po czym wstał i podszedł do okna. Wyrżał dyskretnie na zewnątrz, obserwując przez chwilę ulicę. Był zdenerwowany i najwyraźniej na kogoś czekał. Obie te rzeczy zaniepokoiły Martę. Zdenerwowani ludzie robią głupie rzeczy. A ci, na których czekał, mogli okazać się jeszcze gorsi. Poza tym widziała jego twarz, mężczyzna nawet nie próbował się maskować. Oglądała wystarczająco dużo filmów kryminalnych, by wiedzieć, że powinno ją to martwić.

– O której ma do ciebie przyjść, co? Na którą jesteście umówieni? – To pytanie autentycznie ją zdziwiło. Nie wiedziała, o kogo chodzi. Przecież Leszka musieli dorwać

wcześniej. – Słuchaj, odkleję na chwilę taśmę i zadam ci kilka pytań, a ty staraj się odpowiadać krótko i na temat. Jeśli spróbujesz wywinąć jakiś numer, krzyki czy coś w tym stylu, to spuszczę ci autentyczny wpierdol. Przeszaniez być ładna. Zrozumiałaś? – Marta kiwnęła potakująco głową. Mężczyzna znów usiadł na podłodze obok niej i zdjął jej knebel z ust. – Powtarzam pytanie. O której ma przyjść?

– Kto? – Ze strachu zaschło jej w gardle i nie poznała własnego głosu.

– Nie pierdol. Twój kochaś, z którym się spotykasz. Widziałem was razem. Ten kurewski pies, którego zajebię, jak go dorwę.

„Michał?! Co Michał ma wspólnego z Leszkiem? O co tu chodzi?”

– Nie patrz jak jakiś pierdolony bezmózgowiec. Chyba wyraźne pytanie zadałem, nie? Na którą jesteście umówieni?

– Nie jesteście umówieni. Mam zadzwonić.

– Dobra, to zadzwonisz. Ja wykręcę numer, a ty każesz mu tu przyjść. Jak najszybciej. Gdzie masz komórkę?

Wskazała głową torebkę leżącą pod drzwiami. Wyjął z niej telefon.

– Michał bez nazwiska to on? – Skinęła głową. Kim był mężczyzna i skąd znał Michała? – Słuchaj – mówił dalej. – Wybiorę teraz jego numer, a kiedy się odezwie, powiesz tylko „przyjdź do mnie, natychmiast”. Nic więcej. Zrozumiałaś? – Chwył dłoń jej brode i mocno ścisnął. Skrzywiła się z bólu i przytaknęła. Miała nadzieję, że Michał nabierze podejrzeń, że coś jest nie w porządku i zachowa ostrożność.

Wybrał numer i przyłożył telefon do ucha. Trzymał go tak przez kilkadziesiąt sekund, ale po drugiej stronie nikt nie odebrał. Nic nowego. Michał rzadko odbierał telefony, nawet od niej. Taka praca. Nie miała do niego pretensji. Ale teraz wolałaby, żeby jak najprędzej oddzwonił. Facet w jej mieszkaniu wydawał się niezrównoważony i trudno było przewidzieć, co zrobi, jeśli nie dostanie tego, po co przyszedł.

– Nie odbiera – stwierdził oczywistość. – Może jednak nie zależy mu na tobie aż tak bardzo. Trudno, poczekamy. Im dłużej to potrwa, tym gorzej dla ciebie. Ja nie lubię się nudzić. – Zacisnął mocno plastikową trytytkę na jej nogach i kopnął w lewą kostkę. Pod wpływem nagłego bólu z oczu popłynęły jej łzy. Nie przejął się tym zupełnie i znów zakleił jej usta taśmą.

Na nowo zaczął chodzić po pokoju, tam i z powrotem, co jakiś czas wyglądając przez okno. Wreszcie zmęczył się i usiadł przy Marcie. Wolała, kiedy chodził.

– Czy ty w ogóle wiesz, kim jest twój kochaś? I co zrobił? Pewnie, że nie wiesz, bo skąd niby miałabyś wiedzieć – odpowiedział sam sobie. – On zabił mi ojca. Pierdolili w telewizji, że to był wypadek, ale to nie był żaden wypadek. A wiesz, skąd wiem? Nie wiesz, nie wiesz, ty, kurwa, nic nie wiesz. – Uderzył Martę w twarz. – Oni to wszystko uknuli razem, ta pizda ze szpitala i twój jebany pies. Sama mi się do tego przyznała, jak ją docisnąłem. Powiedziała mi o nim. Że przyszedł do niej i powiedział jej o Ance i nagraniach. I wtedy oboje ustawili ten wypadek. Ale mnie nie nabrali. Zbyt duży zbieg okoliczności. Myślałem na początku, że to robota tego dupka od nagrań, który rozpląnął się w powietrzu. Że wrócił i teraz mści się chuj wie za co. Bo kasy dostał kupę. Nigdy nie narzekał. Ale jak z nią skończyłem, to dowiedziałem się prawdy. Odszukałem psa i zobaczyłem, jak spotkał się z tobą. Od razu było widać, że jesteś jego. To upraszcza sprawę. Teraz tylko poczekamy, aż pies przyjdzie do swojej sukii.

Nareszcie wiedziała, kim był. To syn Aleksandra Dreja, „zycściciela kamienic”, wyssanego przez separator do plazmaferezy. A Anka musiała być córką tej pielęgniarki. Jedną z dziewczyn zamordowanych przez Bestię z Mokotowa. Zatem

synalek był drugą osobą, o której wspominał Bestia i której poszukiwał Michał. A tymczasem młody Drej odnalazł jego. No i Martę. Co za ironia losu, że ta sprawa wróciła do niej rykoszetem właśnie w taki sposób. I że Drej junior nie miał pojęcia, kto tak naprawdę leży u jego stóp.

– Nie oddzwania. Zadzwoń jeszcze raz. Tylko bez żadnych numerów, bo pożałujesz. – Odkleił taśmę z jej ust i po raz kolejny wybrał numer Michała. Ale znów bez efektu. Zamachnął się telefonem, chcąc rzucić nim o ścianę, ale w ostatniej chwili rozmyślił się i położył go na podłodze. – No, to teraz się zacznij. Mówiłem ci, że masz przesrane, jeśli ten chuj szybko się tu nie pojawi. No i teraz masz. – Wyjął spod kurtki nóż i przystawił Marcie do szyi. – Chyba że wiesz, gdzie on jest, i zaraz mi powiesz.

– Nie wiem, przysięgam, że nie wiem – odpowiedziała głosem, który należał do innej osoby.

– Nie wierzę ci, ja już w nic nie wierzę. Gadaj, gdzie on jest? Gdzie on, kurwa, jest?! – Drej stracił nad sobą panowanie. Miał rozbiegane oczy o wąskich źrenicach i Marta podejrzewała, że był na haju. – Gdzie on, kurwa, jest?! Gdzie jest?! – darł się coraz głośniej.

Nagle znieruchomiał i osunął się na ziemię. Nad nim stał Leszek, zaciskając dłonie na wąskiej szyjce metalowego wazonu. Na twarzy miał wypisane przerażenie. Wypuścił z rąk wazon i ruszył Marcie na pomoc, niezdarnie próbując ją uwolnić.

– Parapet. – Wskazała mu głową okno. – Tam leży sekator. Przy doniczce z fikusem. Zrozumiał. Znalazł sekator i przeciął plastikowe opaski, krępujące jej ręce i nogi.

– Długo ci to zajęło. Mogłam zginąć – powiedziała z wyrzutem, masując obolałe miejsca.

– Przepraszam, spałem. Coś tam słyszałem, ale myślałem, że jesteś z Michałem. Nie chciałem wychodzić z pokoju. Ale potem usłyszałem krzyki i zrozumiałem, że coś jest nie tak. Jezu, Marta, dzięki, że mnie nie wydałaś. Będę twoim dłużnikiem do końca życia!

– Co? – Nie zrozumiała.

– Słyszałem, jak pyta, gdzie jestem. Ale nie powiedziałaś, choć groził ci nożem.

„Czy ta sytuacja mogłaby być jeszcze bardziej pokręcona?” – pomyślała.

– Nie czas na dziękowanie. Trzeba sprawdzić, co z nim. – Wskazała Dreja i przyłożyła palce do jego tętnicy szyjnej. – Żyje – stwierdziła i zajęła się przeszukiwaniem jego kieszeni. Znalazła taśmę i dwie trytytki. Podała jedną Leszkowi.

– Masz, skrępuj mu nogi. Ja się zajmę rękami. – Sprawnie założyła opaskę uciskową i zakleiła mu usta taśmą. Leszek trzęsącymi się rękami męczył trytytkę, aż w końcu przeciągnął ją, nie krępując nóg Dreja.

– Przepraszam, nie dam rady, nie dam rady! – Schował twarz w dłoniach. – To wszystko moja wina. Okłamałem cię, że nie sprawdzałem poczty. Tak naprawdę kilka razy zalogowałem się na swoje konto. Tak nas namierzeli. Boże, jaki jestem głupi, oboje mogliśmy zginąć! – Drej był nadal nieprzytomny, leżał z rozbitą głową, a jego krew wsiąkała w dywan, ale w każdej chwili mógł odzyskać przytomność. To nie był dobry moment na atak paniki.

– Leszek, opanuj się! Nie mamy więcej opasek. Leć do kuchni i znajdź jakiś sznur. Może w spiżarni. Idź!

Leszek wybiegł z pokoju. Usłyszała, jak zamyka za sobą drzwi do łazienki, a potem jak wymiotuje do sedesu. W sumie to dobrze. Miała trochę czasu na ogarnięcie

problemu. Wyjęła wszystkie wtyczki z przedłużacza i skrępowała nim nogi Dreja. Lepszy rydz niż nic. Upewniwszy się, że na pewno nic jej nie grozi, usiadła na nim i zaczęła go dusić. Nie mógł wyjść z tego żywy. Nie po tym, co jej powiedział. To przez niego już drugi raz niemal straciła życie. To on zlecił Bestii zabójstwa dziewczyn. A teraz wiedział za dużo o Michale i Wyleczonych. Jej palce zaciskały się dokładnie tam, gdzie powinny, ale były za krótkie, by szybko i sprawnie wysłać go na tamten świat. Albo raczej jego szyja była zbyt wielka. Rozejrzała się dokoła. W ostateczności użyje przedłużacza, choć kabel wydawał się jej za gruby. Na szczęście dostrzegła coś jeszcze. Pod kanapą leżała zapomniana skakanka. Marta kupiła ją kiedyś w porywie dobrych chęci, by zadbać o kondycję. Fakt, że skakanka leżała pod kanapą, a Marta nie pamiętała nawet, jak tam się znalazła, świadczył o tym, jak mocny był to poryw. Wreszcie do czegoś się przyda. Zacisnęła ją wokół szyi Dreja, była do tego celu idealna. Nagle krzyknęła cicho, zaskoczona. Pod wpływem duszenia Drej otworzył oczy. Nie mógł nic powiedzieć, taśma szczelnie zaskaniała mu usta. Produkował za to gardłowe dźwięki i wpatrywał się w Martę wytrzeszczonymi oczami, w których malowało się zdziwienie. Nie mogła przepuścić takiej okazji. Nieco poluzowała zacisk skakanki i pochyliła się nad jego twarzą.

– Bu! Niespodzianka – wyszeptła mu do ucha. – No co, nie patrz tak. Doktor Quinn to ja nie jestem. Masz pecha, krótkochujny gnojku. Tak się składa, że jednak wiem wszystko. O twoim tatusiu, o nagraniach. O tym, że podnieca cię ból. Bo podnieca, prawda? Zaraz sprawdzimy. – Wbiła mu czubek buta w mosznę. Oczy Dreja zrobiły się jeszcze większe. – A, no tak, zapomniałam, że to musi być cudzy ból, nie twój własny. Skąd to wszystko wiem? Stąd, że przez cały ten czas szukałam niewłaściwej osoby. To byłam ja. To ja pozabijałam się tego śmiecia, który dostarczał wam nagrania. I to ja zabiłam twojego tatusia, a nie matka Anki – z tym ostatnim skłamała. Śmierć nie powinna być dla niego jakimś przyjemnym przejściem na drugą stronę. Należało mu się chociaż tyle. – Miałaś mnie jak na tacy cały ten czas, ale byłeś za głupi, by to zobaczyć. Bo jesteś tylko głupim, obleśnym wieprzem. Jak twój ojciec. Wiesz, że piszczał jak zarzynany prosiak, kiedy pompowałam z niego krew? Kwi, kwi, kwi... – Usłyszała, jak Leszek spuszcza wodę w sedesie, wychodzi z łazienki i wchodzi do kuchni, by szukać sznura. Musiała przyśpieszyć ten cały cyrk, tym bardziej że Drej zaczął wierzgać w przypiływie nagłej furii. Zacisnęła mocniej skakankę wokół jego szyi i przytrzymała zacisk nawet po tym, gdy wierzganie ustało. Drej skonał szybko, z otwartymi oczami, wpatrując się w nią z lękiem i nienawiścią, w idealnych proporcjach. Zamknęła mu oczy i wrzuciła skakankę z powrotem pod kanapę. Zastanowiła się przez moment, którą z ofiar była Anka. Nigdy nie poznała ani pielęgniarki Elżbiety Gąski ani jej córki. Widziała za to zdjęcia dziewczyn po tym, co zrobił im Bestia, i los żadnej nie wydawał jej się szczególnie lepszy od pozostałych.

Kiedy Leszek wrócił do pokoju, siedziała obok zwłok. Chwilę wcześniej przekreśliła Drejowi głowę tak, by Skalski nie widział jego rysów twarzy i nie mógł go w przyszłości rozpoznać.

– Wreszcie jesteś. Zwiąż mu porządnie nogi, bo nie wiem czy ten przedłużacz wytrzyma, gdy drań się przebudzi.

Leszek miał zaczerwienione oczy i resztki wymiocin na ubraniu. Trzęsącymi się rękami krępował Drejowi nogi w okolicach stawów skokowych. Robił to nieporadnie, ale Marta nie pośpieszała go, w końcu nie miało to już i tak żadnego znaczenia.

– Dobrze się czujesz? Wiesz, że musimy wezwać policję i wszystko im powiedzieć?

Skinął głową.

– Trzeba wymyślić jakąś historię.

– Nie możemy powiedzieć prawdy? Przecież on chciał cię zabić. I mnie.

– Jak wyjaśnimy twoją obecność w moim mieszkaniu? Od ponad tygodnia wszyscy cię szukają.

– Znowu powiem prawdę. Że ktoś mi groził i musiałem się ukrywać. Zresztą on jest potwierdzeniem, że miałem powód. – Wskazał głową na leżącego nieruchomo Dreja. – Nie udusi się? Może powinniśmy ułożyć go w pozycji bocznej ustalonej?

– Nie martw się, złego diabli nie biorą.

– Mówię poważnie. Solidnie oberwał w głowę. Powinniśmy wezwać pogotowie. – Pochylił się nad Drejem i sprawdził mu puls. – Marta, on nie żyje!

– Żyje, nie gadaj bzdur.

– No nie żyje! Zabiłem go! Marta, zabiłem człowieka! – Wbrew temu, co właśnie powiedział, błyskawicznie przystąpił do reanimacji. – Raz Missisipi, dwa Missisipi, trzy Missisipi... – W zapamiętaniu rozpoczął odliczanie uciśnień.

– Przestań, on naprawdę nie żyje – potwierdziła, sprawdzając Drejowi puls.

Leszek nie zareagował. Kontynuował uciśnięcia.

– Mówię, że nie żyje. Zostaw, już mu nie pomożesz. – Odciągnęła go od zwłok, choć stawał opór.

– Zabiłem człowieka, zabiłem człowieka! – Znów schował twarz w dłoniach.

– My zabiliśmy człowieka – sprostowała Marta.

– Przecież to ja go uderzyłem, Marta, to byłem ja!

– Ale ja nie udzieliłam mu pomocy. To jak współudział.

– Co teraz będzie? Nie chcę iść do więzienia!

– Musimy zawiadomić Michała. Będzie wiedział, co zrobić.

Znalazła komórkę i wykręciła numer Łazowskiego. „Proszę, odbierz” błagała w myślach, wsłuchując się w sygnał po drugiej stronie. Tym razem odebrał.

– Przyjeżdż jak najszybciej, stało się coś strasznego. Nie mogę mówić przez telefon.

Był w jej mieszkaniu już po piętnastu minutach.

– Co tu się... – Nie dokończył, dostrzegając zwłoki młodego Dreja.

– Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Leszek, idź do kuchni, zostaw nas samych. – Nie było to taktowne z jej strony, ale oszołomiony Skalski kiwnął tylko głową i spełnił polecenie. Martwiła się o jego stan psychiczny. Miała nadzieję, że znajdzie w kuchennej apteczce coś, co mu pomoże. Choćby doraźnie.

Opowiedziała Michałowi o tym, co się stało. Pominęła zakończenie ze skakanką, którego nie musiał znać. Rana na głowie Dreja wyglądała wystarczająco poważnie, by mogła być powodem śmierci. Oby tylko na jego szyi nie pojawił się za szybko ślad po duszeniu. Medycynę sądową miała wiele lat temu, nie pamiętała wszystkich szczegółów z zakresu ustalania przyczyn zgonu. W przeciwieństwie do Michała, który pewnie miał na ich temat dużą wiedzę. Na razie jednak wszystko potwierdzało jej wersję.

– Leszek zabił młodego Dreja, myśląc, że to jeden z tych, którzy go ścigają?

– Dokładnie.

– Co on u ciebie w ogóle robi?

Marta nabrała powietrza. Streszczenie historii wypadku Leszka, znalezienia go na działce i ukrycia w mieszkaniu zabrało jej kilka minut.

– To było skrajnie głupie z waszej strony, ale wrócimy do tego później. Teraz musimy zastanowić się, co z Drejem.

– Nikt nie może się o nim dowiedzieć!

– Być może już wie.

– Co masz na myśli?

– Odwiedził Gąskę, tę pielęgniarzkę. Od niej dowiedział się o mnie. Muszę sprawdzić, co się z nią dzieje.

– Myślisz, że zawiadomi policję?

– Nie skontaktowała się ze mną, a Drej mógł zobaczyć nas razem najpóźniej wczoraj. Więc jeśli Gąska od wczoraj się nie odezwała, to... – Nie dokończył. – Pojadę do niej i sprawdzę. Ty w tym czasie zajmij się Leszkiem.

– A co z ciałem?

– Musi poczekać. Jesteś lekarzem, chyba aż tak bardzo nie przeszkadza ci widok trupa?

– Normalnie nie, ale ten zaczyna gnicić u mnie na dywanie.

– Wygląda na tanią Ikeę. Kupisz sobie lepszy. A teraz zarygluj drzwi i nikogo nie wpuszczaj do mieszkania. Pod żadnym pozorem.

Starannie zamknęła drzwi wejściowe, tak jak polecił Michał. Weszła do kuchni, usiadła obok Leszka i przytuliła go.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Michał się tym zajmie.

– Nic nie będzie dobrze, Marta. Zabiłem człowieka. Nie wiesz, jakie to uczucie.

Stłumiła uśmiech.

– Leszek, ale to był bardzo zły człowiek. Uratowałeś mi życie, spójrz. – Pokazała mu ślady po uderzeniach Dreja. – Swoje też. Przecież on wpierw skończyłby ze mną, a zaraz potem zająłby się tobą. Michał mówił, że to gangster, jeden z najbardziej bezwzględnych w Warszawie. Policja szukała go już od dawna, zabijał ludzi. Należało mu się. To był tak naprawdę dobry uczynek.

Nie wydawał się przekonany. Musiała zmienić taktykę.

– Wiesz, że mógł zabić Dorotę i Adasia? Michał mówił, że on podobno zabił już jedno dziecko. Również chłopca, nawet w podobnym wieku. Być może im też uratowałeś życie...

Leszek poderwał się z krzesła.

– Ale jestem głupi! Dorota! Muszę do niej jechać! Przecież on mógł ją skrzywdzić!

– Nie bądź niepoważny! I co jej powiesz? Tylko ją przestraszysz tym swoim nagłym pojawieniem się znikąd. Jak to niby wytłumaczysz? – Pchnęła go z powrotem na krzesło. – Siedz tu, ja zadzwonię do Doroty i sprawdzę, czy wszystko u niej w porządku.

Wyjęła komórkę i wybrała numer przyjaciółki.

– Cześć, Marta – usłyszała po drugiej stronie. Włączyła tryb głośnomówiący, żeby Leszek mógł ją usłyszeć.

– Cześć, przepraszam, chciałam zadzwonić do Michała. Przez pomyłkę wybrałam twój numer. Ale skoro się słyszymy, to powiedz, co u ciebie. Wszystko dobrze?

– Tak, bez zmian od... czterech godzin? Bo tyle mniej więcej minęło od chwili, gdy się widzieliśmy w robocie. – Roześmiała się.

– U Adasia też wszystko w porządku?

– Nie za bardzo. Właśnie czyści klatkę Tuptusiowi i narzeka, że mu śmierdzi. – W tle usłyszała niewyraźny komentarz Adasia, którego nie zrozumiała. – A u ciebie?

„Hm... właśnie zabiłam syna jednego z najbogatszych ludzi w mieście. Który zlecał płatnemu mordercy nagrywanie filmów *snuuff*. Aha, a winę zrzuciłam na twojego narzeczonego, który już od ponad tygodnia mieszka w moim domu”.

– Nie jest źle. Też po staremu. Przepraszam, ale muszę kończyć. Zdzwonimy się jutro, dobrze?

– Pewnie, trzymaj się.

Głos Doroty wyraźnie uspokoił Leszka.

– Mówiłam ci, że wszystko z nią w porządku. – Poklepała go po ramieniu. – Nie myślisz logicznie. Ja zresztą też nie. – Machnęła ręką. – Dlatego musimy zdać się na Michała. Tylko on podejmuje teraz racjonalne decyzje.

– Gdzie on jest? – spytał Leszek, nagle uświadamiając sobie jego nieobecność.

– Załatwia coś w naszej sprawie. Odezwie się, jak skończy. O wilku mowa – dodała, bo właśnie zadzwonił. Przeszła do korytarza i odebrała.

– Elżbieta Gaska nie żyje. Drej ją załatwił. Muszę tu jeszcze trochę zostać. Wrócę za godzinę. Dacie radę do tego czasu?

– Chyba tak. Ale pośpiesz się.

Wróciła do kuchni. Teraz, gdy Gaska nie żyła, nikt poza nimi nie wiedział o Dreju. Gdyby udało się przekonać Skalskiego do milczenia, Wyleczeni byłiby bezpieczni. Musiała go urobić. Zaczęła od argumentów związanych z pracą – zabójstwo, nawet w samoobronie, mogłoby źle odbić się na jego karierze. Jednak przede wszystkim musiał myśleć o swojej relacji z Dorotą. Jego narzeczona była bardzo religijną osobą i nie wiadomo, jak by to zniosła. Oszołomiony przez emocje i benzodiazepiny, które mu podała, słuchał bez cienia protestu.

Michał wrócił po godzinie, tak jak obiecał.

– I jak? – spytał, gdy otworzyła drzwi.

– W porządku. Powiedziałam mu, że zabił poszukiwanego mordercę. Trzymaj się tej wersji.

Weszli do kuchni.

– Leszek, mam plan, ale musisz mi pomóc. I muszę wiedzieć, że nie wymiękniesz. Bo jeśli to zrobimy, ja również będę tkwił w tym po uszy. Ryzykuję całe swoje życie. Robię to dla Marty, nie dla ciebie. Ale to ty jesteś słabym ogniwem. Chcę wiedzieć, czy dasz radę.

– Co chcesz zrobić?

– Musimy pozbyć się zwłok. Po cichu. Tak będzie najprościej. Ja znałem tego faceta, to był cyngiel, płatny morderca. Bardzo zły człowiek. Szukaliśmy go już od dawna. Stąd wiem, że nikt nie będzie po nim płakał ani specjalnie się dziwił, jeśli nigdy się nie odnajdzie. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Tak.

– Nie będzie żadnego przesłuchania, żadnych kłopotów. Powrócisz do swojego życia jak gdyby nigdy nic. Co o tym myślisz?

– Zgadzam się na wszystko.

– Muszę wiedzieć, że nie obudzisz się któregoś ranka z poczuciem winy i nie wykręcisz dziewięć dziewięć siedem. Bo od tego, co za chwilę zrobimy, już nie ma odwrotu. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak. Przecież nie powinienem czuć się winny. Skurwiel chciał mnie zabić. I Martę.

– Zrobiłby to, wierz mi. Nie zastanawiałby się nawet przez sekundę. Po to go tutaj przysłano. Robił to przez całe życie. To był śmieć, wynajęty do tej roboty. Gdyby to ode mnie zależało, dostałbyś medal. Ale wiesz, jakie mamy prawo. Wszyscy będą robić kłopoty. Tobie i Marcie. No i pamiętaj, że miał szemranych kolegów. Jeśli dowiedzieliby się, co zrobiłeś, szukaliby zemsty. Nie byłbyś bezpieczny.

– Ani Dorota – dodała Marta. – Musisz myśleć o Dorocie. Ją też dorwą, jeśli się dowiedzą.

– Bez dwóch zdań – podchwycił temat Michał. – Dorota ucierpi jako pierwsza. Oni tak właśnie działają. Zaczynają od tych, na których ci najbardziej zależy. A ciebie zostawiają na koniec. Sam widzisz, nie mamy wyboru. Trzeba działać tak, żeby nikt się nigdy o niczym nie dowiedział.

– Zgadzam się na wszystko. Co chcesz, żebym zrobił?

– Musimy wynieść ciało i wsadzić je do mojego samochodu. A ty mi w tym pomożesz, bo sam nie dam rady. Tylko tyle. Ja zajmę się resztą.

– Dobrze, pomogę ci.

– Rozejrzyjcie się za czymś, do czego moglibyśmy go włożyć. – Wzrok Michała padł na skrzynię stojącą w korytarzu, wskazał ją palcem. – To będzie idealne.

– To łowicka skrzynia posagowa z początku dwudziestego wieku. Długo jej szukałam na aukcjach. Nie zgadzam się! – zaprotestowała Marta.

– Marta, masz w pokoju zakrwawione zwłoki sporego faceta. Jak inaczej zamierzasz wynieść je z mieszkania?

Oczywiście miał rację. Nie było innego sposobu i dobrze o tym wiedziała. Ale rozstanie ze skrzynią było dla niej trudniejsze niż uduszenie młodego Dreja.

We trójkę wpakowali ciało do środka. Razem z nim w skrzyni wylądowały też dywan i wazon. Były poplamione krwią i dla bezpieczeństwa musiały zniknąć. Skrzynia była pojemna i z łatwością pomieściła wszystkie dowody zbrodni. Tak jakby artysta, który tworzył ją przed stu laty, przewidział różne meandry ludzkich losów i dostosował do nich swój produkt. Marta nie spytała nawet, co się stanie z Drejem, a raczej z jej ulubionym kufrem. Akurat tego wolała nie wiedzieć.

– Plan jest taki. Jak tylko odjadę, posprzątajcie dobrze pokój. Ale tak na tip-top. Ma być aseptycznie jak na sali operacyjnej. Potem wzywacie taksówkę i jedziecie do mieszkania Leszka. Dołączę do was, jak już skończę – poinstruował ich Michał. Zanotował adres Leszka, a potem obaj wynieśli skrzynię i wsadzili ją do samochodu Michała. Na szczęście było już ciemno i po ulicy kręciło się niewiele osób.

Zrobili, jak im kazał. Dotarli do domu Leszka trochę po północy. Marta zrobiła kolację z rzeczy, które zabrała ze swojego mieszkania. Nie jadła już od ponad dwunastu godzin i właśnie zaczynała odczuwać głód. Kiedy skończyła kręcić się po kuchni, przyszedł Michał. We trójkę zjedli w milczeniu kanapki z serem i pomidorem.

– Kto z nim jutro zostanie? – Wskazała palcem na Leszka, nie przejmując się jego obecnością. – Ja mam dyżur. Po południu muszę być w szpitalu.

– Nikt nie musi ze mną zostawać. Dam sobie radę. Jestem pełnoletni i pełnosprawny – odparł z przekąsem.

– Zapominacie o pewnym problemie. Leszek jest osobą zaginioną i poszukiwaną przez policję. Musi się jakoś oficjalnie odnaleźć. I wyjaśnić sprawę wypadku – przypomniał Michał. – Mój plan jest taki. – Oczywiście miał plan. – Jutro zawieziemy cię na działkę Marty, dokładnie tam, gdzie cię znalazła. Znajdzie cię po raz drugi. Tym razem zawiadomi policję. Ty powiesz, że niczego nie pamiętasz i nie wiesz, w jaki

sposób się tam dostałeś. Trafisz do szpitala, gdzie częściowo odzyskasz pamięć i opowiesz swoją historię. O wypadku i o tym, jak ze strachu nikogo nie zawiadomiłeś.

– I ktoś to kupi?

– Pewnie nikt. Strasznie naciągane. Ale to nieistotne. Nie jesteś o nic podejrzany. Jesteś osobą zaginioną. Możesz mówić, co chcesz. Radzę, żeby była to głównie prawda, łatwiej zapamiętać. Oczywiście ani słowa o mieszkaniu u Marty.

Uzgodnili szczegóły. Całej trójce zmęczenie dawało się już mocno we znaki, więc nie trwało to długo.

– Marta, odprowadzisz mnie na dół? – spytał Michał, wychodząc z mieszkania. Marta miała nocować u Leszka, na wszelki wypadek.

– Po co ten cały cyrk z niepamięcią? – spytała, kiedy wsiadał do samochodu.

– Dla twojego bezpieczeństwa. Gdyby jednak wysypał się w sprawie Dreja. Facet, który przez ponad tydzień siedzi na jakiejś działce chuj wie po co, po odnalezieniu niczego nie pamięta, a jakiś czas później serwuje historię o zabiciu nieznanego w miejscu, w którym teoretycznie nigdy nie przebywał, nie jest szczególnie wiarygodnym świadkiem.

– A co, jeśli ciało Dreja nagle się zmaterializuje i wtedy nie będzie to już takie niewiarygodne?

– Co masz na myśli, mówiąc, że się zmaterializuje?

– Że gdzieś wypłynie albo jakiś pies je odkopie... no nie wiem.

– Marta, nikt Dreja nie odkopie ani nigdzie nie wypłynie. Tęgo ciała już nie ma.

Spalarnia? Żrący kwas? Żarcie dla zwierząt? W sumie bez różnicy. Jeśli Michał mówił, że ciała nie ma, to znaczy, że faktycznie nie było.

Pożegnali się i wróciła do mieszkania Skalskiego. Odstąpił jej swoje łóżko, sam pościelił sobie na kanapie. Uznała, że to miłe z jego strony. Na przekór dramatycznym wydarzeniom mijającej doby, a może właśnie z ich powodu, spała jak kamień i nie przebudziła się ani razu, pomimo jęków, jakie przez sen wydawał z siebie Leszek.

ROZDZIAŁ 14

Na drugi dzień Marta mogła wreszcie powiadomić Dorotę o odnalezieniu jej narzeczonego.

– Nie mam pojęcia, Dorota. Wiem tyle co ty. Nie chciał mi nic powiedzieć – kłamała przyjaciółce, która popłakała się ze szczęścia, słysząc, że Leszek jest cały i zdrowy. Podała nazwę szpitala, do którego przyjęto go na obserwację.

Kiedy przyszła na dyżur, wszyscy już o Leszku wiedzieli. Powiedziała tylko Dorocie, ale wieść szybko się rozeszła.

Media żyły morderstwem Elżbiety Gąski i poszukiwaniem podejrzanego, na którego od razu wytypowano młodego Dreja. Nie było to trudne, bo zostawił za sobą sporo śladów. Jednak przepadł jak kamień w wodę i podejrzewano, że zbiegł za granicę. To była historia z pierwszych stron gazet – najpierw śmierć ojca, jak z horroru, potem zemsta syna. Marta dowiedziała się, że stary Drej dobrze znał Gąskę. Była jedną z jego stałych pielęgniarek, a leczył się w Warszawskim Szpitalu Klinicznym od wielu lat. Pomimo posiadanego majątku nie ufał prywatnym placówkom i wierzył w renomę „Błęńskiej”. Całkiem możliwe, że to tam któregoś dnia poznał córkę Gąski. Może przyszła odwiedzić matkę w pracy? Czy już wtedy w jego chorej głowie pojawiła się myśl o tym, by brandzlować się na widok krwawiącego ciała dziewczyny? Tego Marta już nigdy nie miała się dowiedzieć.

Żałowała bardzo, że nie mogła wyjawić prawdy o tym, jakimi łajdakami byli obaj Drejowie. Staremu wybaczone nawet to, co wyrabiał z lokatorami nielegalnie przyjmowanych kamienic. Tak jakby tragiczna śmierć mogła uszlachetniać. Tymczasem obaj dostali tylko to, na co już dawno zasłużyli.

Niestety, jej *Naegleria* wypadła blado w świetle historii Drejów. Co prawda zadzwoniło do niej dwóch dziennikarzy z prośbą o komentarz, a jedna z gazet zamieściła krótką wzmiankę o przyczynie śmierci Schulza, ale była to zaledwie kilkuzdaniowa informacja na którejś z dalszych stron.

Kiedy przejmowała dyżur, do gabinetu lekarskiego wparował Stary i przypomniał wszystkim o jutrzejszym zebraniu Towarzystwa Naukowego Chorób Zakaźnych.

– Obecność obowiązkowa. – Pogroził palcem. Nie miał już przepaski na oku i wydawał się z siebie bardzo zadowolony. Wrócił do pełnej formy sprzed odwiedzin policji. Najwyraźniej po wynikach autopsji Franczaka nie czuł już żadnego zagrożenia ze strony organów ścigania.

– Co będzie tematem spotkania? – spytała doktor Zawada.

– Volanda. Mamy nowe dane i postaramy się przegłosować decyzję, która powinna była zapaść już dawno. – To było do przewidzenia. Wystraszył Leszka, pozbył się Franczaka i nie było żadnych innych poważnych mąciwodów, którzy ośmieliliby się wejść mu w drogę. Chciał jak najszybciej przejść do ofensywy i osiągnąć zamierzony cel.

Dyżur nie należał do najłatwiejszych.

– Wie pani, kto jest dzisiaj na SOR-ze? – Marta spytała pielęgniarkę, przechodząc obok gabinetu zabiegowego.

– Piotr Roman Opaliński – skrzywiła się kobieta.

Marta wydała jęk. Opaliński był lekarzem, który nie lubił angażować się w diagnostykę na Szpitalnym Oddziale Ratunkowym i jeśli miał możliwość umieszczenia pacjenta w szpitalu, to tak robił. Nie miało znaczenia, czy istniały ku temu obiektywne przesłanki. Dyskusje z dyżurnymi SOR-u nie wchodziły w grę. Lekarze na poszczególnych oddziałach musieli się im podporządkować. Względy bezpieczeństwa – w końcu to dyżurni SOR-u stali na pierwszej linii frontu i brali na siebie odpowiedzialność za podejmowane decyzje. Na ogół jednak nie było z tym problemu i współpraca między SOR-em a oddziałami układała się bez większych zgrzytów. Wyjątkiem był właśnie Piotr Roman Opaliński, o którym z niewiadomych przyczyn mówiono, używając obu jego imion. Lub posługując się przydomkiem Pier.

Na pierwsze nonsensowne przyjęcie nie musiała długo czekać. Już po godzinie na oddział zawitał czterdziestoletni pacjent z uogólnionym świądem utrzymującym się z różnym nasileniem od kilku tygodni.

– Pani doktor, podejrzewam świerzb. Albo owsiki – odezwał się w jej służbowym telefonie zachrypnięty głos Piera, tłumacząc decyzję o położeniu pacjenta na oddziale zakaźnym.

Uniosła oczy ku niebu. Wystarczył jej jeden rzut oka na skórę pacjenta, by wykluczyć zakażenie świerzbowcem. Przechosy były pojedyncze i obejmowały jedynie skórę podudzi. Pacjent nie był pewien, czy kiedykolwiek swędziała go inna część ciała. Nie było śladów zmian skórnych w miejscach typowych dla tych roztoczy: fałdów skórnych, okolic palców, nadgarstków, pośladków czy narządów płciowych. Czyli w ciepłych, miękkich i zwykle wilgotnych miejscówkach, tak pożądanych przez sprytne samice tego pasożyta. Dolegliwości nie nasilały się w godzinach nocnych ani po rozgrzaniu ciała. Jeśli chodzi o owsiki – tego podejrzenia nie zamierzała nawet komentować. Było absurdalne. Ze względu na charakter dolegliwości i czas ich trwania, pacjent powinien przejść diagnostykę u swojego lekarza rodzinnego, a nie zajmować łóżko w szpitalu klinicznym. Opaliński był idiotą, ale skoro pacjent już leżał, to należało się nim zająć. Zleciła podstawowe badania laboratoryjne, by wykluczyć cholestazę czy mocznicę, z badaniami obrazowymi postanowiła wstrzymać się do rana. Czasem świąd bywa pierwszym objawem poważnych chorób, jak nowotwory, ale częściej świadczy na przykład o alergii. Albo problemach psychicznych. W przypadku nowego pacjenta stawiała na zaniedbania kosmetyczne – skóra na podudziach była wysuszona i łuszczyła się płatami. Kiedy pacjent natarł ją wazeliną, przyniesioną z gabinetu zabiegowego, poczuł natychmiastową ulgę i poprosił o wypis na własne żądanie. Nic dziwnego, wazelina potrafiła działać cuda – ta konkluzja była wynikiem jej wieloletnich obserwacji, nie tylko medycznych, ale również życiowych.

Piotr Roman Opaliński jeszcze kilkakrotnie dzwonił do niej z informacjami o nowych przyjęciach, skonsultowała też paru pacjentów u niego, na SOR-ze. Na szczęście nie było to nic poważnego – głównie biegunki, mononukleozy i, jak zwykle, pogryzienia przez wiewiórki w Łazienkach Królewskich.

Po dyżurze wróciła do domu i wzięła długi prysznic. Oszczędzanie wody nie wchodziło w grę, kiedy musiała spłukać z siebie kilkanaście godzin spędzonych w szpitalu. Po wyjściu z łazienki zobaczyła Michała. Stał oparty o framugę drzwi kuchennych i przypatrywał się jej w milczeniu. Już dawno dała mu klucze do mieszkania, ale dziś użył ich po raz pierwszy.

– Powiniem cię sprać. Tak porządnie. Po numerach, które odstawiłaś. – Podeszedł do niej i zdjął z niej ręcznik.

– Masz na myśli Leszka?

– Też.

– Zauważ, że gdyby nie on, prawdopodobnie ściągałbyś dziś ręcznik z kogoś innego. Drej cię podeszedł. Nie zachowałeś czujności. To ja uratowałam tyłki nam obojgu.

– Tak? I co teraz z tymi tyłkami zrobimy? – Chwycił ją mocno za gołe pośladki. Zapiszczała i wybuchnęła śmiechem. Rozpięła mu spodnie, zsunęła je i odwzajemniła uszczypnięcie.

– Igrasz z ogniem – ostrzegł i zarzucił ją sobie na ramię. Ruszył w stronę sypialni, przytrzymując spadające spodnie drugą ręką.

– Hej, nie jestem workiem cementu – zaprotestowała.

– Wiem, ważysz znacznie więcej – odparł beczelnie, nie przejmując się gradem pięści spadającym na jego plecy.

Seks z Michałem przywracał ją do życia po dyżurze bardziej niż kawa. Czułości przerwał im dopiero dźwięk przychodzącego SMS-a. Michał podniósł komórkę.

– Muszę już iść – oznajmił po przeczytaniu wiadomości.

– Nieee... – jęknęła. – Zostań jeszcze trochę.

– Chciałbym, ale nie mogę. Jadę do Leszka, chcę pokazać mu kilka zdjęć. Chyba mamy coś w jego sprawie.

– Tak? Co?

– Nie mogę na razie o tym mówić.

– Ty nigdy o niczym mi nie mówisz.

– Nie przesadzaj, czasem jednak czegoś się dowiesz. A potem okazuje się, że niepotrzebnie, bo tylko wplątujesz się w kłopoty.

Chciała zaprotestować, ale Michał stał już przy drzwiach, gotowy do wyjścia. Pożegnała go całusem i wróciła do łóżka. Miała za sobą nieprzespaną noc, a zebranie Towarzystwa Naukowego Chorób Zakaźnych było wyznaczone na późne popołudnie. Do tego czasu powinna odespać choć kilka godzin. Jednak po kilkunastu minutach przewracania się z boku na bok dała w końcu za wygraną. Wykręciła numer Doroty, która odebrała dopiero po piątym dzwonku. Gdzieś w tle usłyszała śmiechy Leszka i Adasia.

– Cześć, chciałam spytać, co u Leszka, ale słyszę, że wszystko w porządku.

– Tak, wyszedł już ze szpitala, przywiozłam go do siebie i wzięłam wolne. – Po raz pierwszy od wielu dni przyjaciółka wydawała się szczęśliwa. – W badaniach bez odchyień, nie było potrzeby trzymać go dłużej.

„No raczej, w końcu dobrze o niego dbałam”.

– Cieszę się, to świetna informacja. Dasz mi go na chwilę do telefonu?

– Jasne. Leszek, Marta dzwoni. – Usłyszała w słuchawce zbliżające się kroki.

– Cześć, Marta. – Radość, którą słyszała w jego głosie przed kilkoma sekundami, ustąpiła napięciu. Ale czy mogła się dziwić? Kojarzyła mu się z ciężarem, który będzie musiał dźwigać do końca życia. Jej samej los Dreja nie obchodził ani trochę. Nie czuła w związku z jego śmiercią żadnych wyrzutów sumienia. Podobnie zresztą jak w przypadku pozostałych degeneratów, którym pomogła odejść z tego świata. Sądziła, że to kwestia wykonywanego zawodu, związanych z nim życiowych doświadczeń i obycia ze śmiercią. Ale Leszek był lekarzem kilka lat dłużej niż ona, miał tego

doświadczenia więcej. I mimo wszystko śmierć, którą sądził, że zadał, była dla niego wyraźnym utrapieniem. Dlaczego?

- Cześć, Leszek, jak się czujesz?
- W porządku, zważywszy na okoliczności.
- Na szczęście masz profesjonalną opiekę.
- Najlepszą na świecie! - Jego głos odzyskał nieco ciepła.
- Ostrożnie, bo poczuje się urażona.

Parsknął śmiechem.

- A u ciebie, Marta, jak? Wszystko dobrze?
- Nie mogłoby być lepiej. Michał kontaktował się z tobą?
- Tak, jest w drodze do Doroty. Chce ze mną porozmawiać.
- Wiesz o czym?
- Nie chciał mówić przez telefon. Tobie powiedział?
- Znasz Michała. Można go różnić, a nic nie powie.
- No nie, aż tak dobrze go nie znam. Ale ty pewnie wiesz, o czym mówisz...
- Spadaj! - Dopiero teraz dotarła do niej dwuznaczność tego, co powiedziała. - Nie wiem, czy powinnam ci w ogóle o tym wspominać, ale dzisiaj o siedemnastej ma się odbyć zebranie Towarzystwa Naukowego Chorób Zakaźnych. Powrócił temat Volandy...

- Już o tym wiem. Stary kuje żelazo póki gorące.
- No, cały on. W każdym razie ja się wybieram. Jak rozumiem, ciebie nie będzie?
- Ciężko mi odpowiedzieć na to pytanie. Może i będę, ale nie tak, jak byś to sobie wyobrażała.

- Czyli jak? - Nie zrozumiała.
- Zobacysz. Nie chcę o tym na razie mówić.
- Tylko nie pakuj się znowu w żadne tarapaty. Mam czkawkę po ostatnich.
- Nie, tym razem to będzie czysta sprawa.

Podchodziła nieufnie do pomysłów Leszka. Ale miała dość mieszania się w jego problemy.

- No dobrze, to jesteśmy w kontakcie. Zadzwoń po zebraniu. Trzymaj się.

Odłożyła telefon na szafkę nocną i ziewnęła. Nie lubiła dyżurów, których nie była w stanie odespać, tak jak dziś. Oznaczało to kilkunastogodzinną vegetację na granicy jawy i snu. Niby była przytomna, ale myślała w zwolnionym tempie, a jej reakcje na bodźce były opóźnione przynajmniej dwukrotnie. Na dodatek wszystko ją drażniło. Deprywacja snu była częstą przyczyną wypadków drogowych. Dlatego zawodowym kierowcom mierzy się czas pracy za pomocą tachografów. Ona była jednak lekarzem, a lekarze, zgodnie z powszechnym przekonaniem, powinni pracować po czterysta godzin miesięcznie. „Pani doktor, taki wybrała sobie pani zawód. To jest specyfika naszej pracy” - niezmiennie odpowiadał Stary, kiedy próbowała bronić się przed dziesiątym dyżurem w miesiącu. Sam jednak nie brał ani jednego. Był prawą ręką dyrektora Kujawiak-Pachciarz, nadzorcą, którego wyłącznym zadaniem było pilnowanie plantacji i parobków.

Wstała i podeszła do parapetu, na którym postawiła wczoraj rośliny zamówione w sieci. Wreszcie dotarły, kurier dostarczył je zaledwie kilkanaście minut przed tym, zanim wyszła na dyżur. Syngonium było dwa razy mniejsze niż na zdjęciu, kalatea wysypała się z doniczki podczas transportu, a alokazja wyglądała, jakby już zaczęła wybierać się na tamten świat. Zaczęła od kalatei, bo wymagała pilnych działań i nie

mogła dłużej czekać. Sprawdziła stan jej korzeni i oberwała wyschnięte liście. Praca przy roślinach odprężyła ją nieco i na moment udało się jej zapomnieć o problemach, do których miała wrócić za kilka godzin.

Czas minął jednak szybko. Za kwadrans piąta siedziała już w sali konferencyjnej „Błęńskiej”, czekając na pozostałych członków Towarzystwa, powoli wypełniających wolne krzesła wokół niej. W rogu dojrzała lobbystę Filipa Felda, szefa Nowej Nadziei. Dyskretnie rozmawiał z kimś przez telefon i jak zawsze wydawał się z siebie zadowolony. Pod tym względem zupełnie przypominał Starego.

– Halo, jak mnie słychać? – Zadmuchał w mikrofon Adam Miły, sekretarz Towarzystwa. – Szanowni państwo, jest już po piątej, więc czas najwyższy zacząć nasze zebranie. Ale o szczegółach to już nie ja będę mówił. Oddaję głos naszemu szanownemu prezesowi, który jak zwykle merytorycznie wyłoży nam przyczyny zwołania tego spotkania oraz odpowie wyczerpująco na wszystkie pytania. Szanowny panie profesorze, serdecznie zapraszam na mównicę. – Oklaskami przywitał Starego, który wkroczył na podest tak, jakby właśnie miał odebrać Oscara. Bezmiar serdeczności i uprzejmości w wykonaniu tych gadzin, zwykle wzajemnie kopiących pod sobą dołki, niezmiennie Martę bawił.

– Ja również chciałem serdecznie państwa powitać i podziękować za przybycie, choć wiem, że spotkanie zwołane było z niewielkim wyprzedzeniem. To również smutny moment dla nas wszystkich. W pamięci mamy niedawną śmierć szanownego, niezastąpionego profesora Franczaka, założyciela naszego Towarzystwa. Proponuję na początek, abyśmy minutą ciszy uczcili jego pamięć. – Stary zwiesił głowę, za jego przykładem poszli wszyscy zgromadzeni w sali. Po kilkunastu sekundach niecierpliwie spojrzął na zegarek. – A teraz chciałbym wyjaśnić państwu przyczyny, dla których zorganizowaliśmy to zebranie. – To była najkrótsza minuta świata. – Otóż firma Zeliga Pharm ponownie zwróciła się z prośbą do naszego Towarzystwa o list poparcia w sprawie refundacji Volandy do Rady Transparentności działającej przy Agencji Oceny Nowych Produktów Medycznych i Refundacji. Wiem, że większość z państwa podczas ostatniego głosowania odrzuciła ideę podpisania takiego listu. Jednak od tego czasu wydarzyło się wiele rzeczy, o których chciałbym teraz powiedzieć. Przede wszystkim zainteresowanie mediów tą sprawą przerosło wszelkie oczekiwania. To oczywiście bardzo pozytywna wiadomość, oznaczająca, że nasze społeczeństwo obywatelskie jest dojrzałe i świadome, potrafiące patrzeć na ręce rządzących i wpływać na nich tam, gdzie ci zawodzą. A w tym przypadku zawiedli na całej linii. Volanda to lek, który może uratować życie tysięcy ludzi. Ci ludzie liczą na nas i ufają, że staniemy na wysokości zadania. Proszę państwa, historia nigdy nam nie wybaczy, jeśli nie opowiemy się po ich stronie. Po stronie słabszych i dyskryminowanych. – Stary podniósł szklankę z wodą i przełknął kilka razy. Doskonale przygotował się do tego wystąpienia. Z pewnością zdawał sobie sprawę, że trzeciej szansy już nie dostanie. – Chciałem pokazać państwu pewne dane, przygotowane przez Centrum Edukacji i Praw Człowieka. Poproszę o włączenie prezentacji.

Centrum Edukacji i Praw Człowieka to znana Marcie organizacja „społeczeństwa obywatelskiego”. Została utworzona przez ludzi związanych z Feldem i – podobnie jak Nowa Nadzieja – również finansowana przez Zeligę Pharm. W zarządzie zasiadał Stary. Zresztą Stary zasiadał w radach i zarządach wielu organizacji pozarządowych.

Kiedys sprawdziła go w jednej z internetowych wyszukiwarek, ilustrujących powiązania w rejestrach KRS i CEIDG. Grafika miała kształt gęstej pajęczyny.

– Poproszę o włączenie prezentacji! – powtórzył prośbę, tym razem głośniejszym głosem, bo poprzednia nie wywołała efektu.

Jednak prezentacja nie pojawiła się na żadnym z ekranów. Zamiast tego mikrofon Starego przestał działać. Poklepał go dłonią parę razy i popatrzył w stronę kanciapy technika.

– Halo, halo, prosimy o pomoc. Mamy problemy techniczne, mikrofon nie działa – krzyknął. W odpowiedzi z głośników rozbrzmiał metaliczny zgrzyt, tak głośny, że wszyscy na sali zaczęli zatykać uszy dłońmi. Kiedy ucichł, wśród zgromadzonych przeszedł szmer ulgi i udanego rozbawienia. Nie na długo. Zaraz po tym wszyscy członkowie Towarzystwa usłyszeli rozmowę. Rozmowę, którą Marta dobrze знаła i o której wszystko się zaczęło. Rozpoznała wysoki i piskliwy głos Felda.

„Rozmawiałem z Rysiem z Rady Transparentności. Jak wicie, jest jej przewodniczącym. Wszystko załatwione, klepnie nam przychylnie stanowisko o zasadności objęcia Volandy refundacją. Oczywiście zrobi jakąś chujową analizę, jak to tam mają w zwyczaju, z której wyjdzie jaki to och i ach i że wszystko cacy”.

„Ale co z innymi? Tam przecież z kilkanaście osób w tej Radzie zasiada. Głosowanie będzie. Co ci po samym Rysiu?” – dopytywał Stary.

„Tomciu, kurwa, jacy inni? To zwykle pionki są, które po ponad trzy tysie za jedno posiedzenie biorą. Jedno. A oni takich posiedzeń mają w miesiącu jak Eskimos lodu. Ty myślisz, że tam ktoś się wyłamie i Rysiovi podskoczy? Żeby taką kaskę stracić? W imię czego? Nie, mój drogi, masz Rysia, masz refundację. Każde dziecko to wie, a ty nie wiesz”.

„No to po chuj ci jeszcze list poparcia od Towarzystwa, skoro masz tego całego Rysia?” – W głosie Starego słychać było irytację.

„Bo Rysio lubi mieć dupokrytki, że niby wszyscy eksperci tacy zgodni i że się zaleca, że trzeba... Taki ostrożny się zrobił, nic nie poradzę. To był jego warunek. Chyba cię to nie przerasta, co? Mówiłeś, że jedzą ci z ręki?”

„To sami idioci, zagłosują, jak im powiem, nie o to chodzi”. – Przez salę przeszedł szmer. Stary stał jak wryty. Nie był w stanie wydusić z siebie jednego słowa.

„To o co?”

„Nie lubię robić niepotrzebnych rzeczy, jak nie muszę”.

„No to ci, kurwa, mówię, że musisz”.

„A co zrobimy z Franczakiem i Czaplńskim? Oni tego nie kupią”. – Do rozmowy włączył się Marchlewski.

„Chuj z Czaplńskim, to stary rzęch, nikt go nie bierze na poważnie” – odpowiedział Stary.

„Ale Franczak może nam narobić koło piór. Ciągłe jeszcze ma znajomości w ministerstwie”.

„Panowie, panowie, to już nie jest wasze zmartwienie. Do was należy oprawa merytoryczna – znowu zapiszczał Feld. – Twarde dane, łzawe historyjki o pacjentach i tak dalej. No chyba nie muszę was uczyć, jak to ma wyglądać. Resztę zostawcie nam. Zresztą Franczak to stary dziad, a dziadom, jak wiadomo, wszystko może się przytrafić – udar, zawał serca... No, może w ogóle nie będzie problemu, nie ma co się zamartwiać na wyrost”. – Rechet Felda zabrzmiał upiornie. Przez salę po raz kolejny przebiegł szmer oburzenia.

„Wczoraj mówiłeś coś o jakiejś telewizji? Ktoś się do mnie zgłosi?” – dopytywał Stary.

„No, szanowny panie ordynatorze, studio masz już zaklepane. Jaruś to mój stary znajomy, jeszcze z dawnych, szalonych czasów, he, he. Pytania dostaniesz kilka dni przed, *no worries*. Przychylny sprawie, sam za Volandę buli z własnej kieszeni. Stać go, nie mówię, że nie, ale mieć dwie stówki, a nie mieć dwóch stówek, to już cztery stówki”.

„Dobra, to na kiedy ten list poparcia jest potrzebny?”

„Na wczoraj. Co ty, Tomciu, Jureczka nie znasz? U niego wszystko jest na wczoraj”.

Z głośników po raz drugi rozbrzmiał metaliczny dźwięk, po którym na moment nastąpiła cisza. Cisza, którą zakłóciły pokrzykiwania Starego, kiedy w końcu odzyskał głos.

– Co tu się dzieje? Kto to zrobił? Do sądu cię, draniu, podam, pokaż się!

Członkowie Towarzystwa wpatrywali się w Starego miotającego się po podwyższeniu, osłupieni tym, co właśnie usłyszeli. Feld wymknął się chyłkiem jeszcze w trakcie emisji nagrania.

– Jak pan to wszystko wytłumaczy? – Pierwszy przełamał ciszę profesor Czapliński. – Co to ma znaczyć?

– Ktoś sobie żarty stroi, zupełnie nieśmieszne! Przecież to nie mój głos. Nie mam pojęcia, po co ktoś miałby coś takiego w ogóle robić! – Stary próbował się tłumaczyć, ale na twarzach zgromadzonych odmalowywało się niedowierzanie.

Członkowie Towarzystwa, jeden po drugim, zaczęli dawać upust swoim emocjom. W ciągu dwóch minut w sali konferencyjnej Warszawskiego Szpitala Klinicznego im. Wandy Błęskiej rozpętało się piekło.

ROZDZIAŁ 15

– Podasz keczup? – poprosiła Marta.

– Który? – Leszek złapał dwie czerwone butelki i zamachał nimi nad stołem.

– Ten ostry. – Przechwyciła jedną z nich, polatała swoją wegańską kiełbasę sosem i zawinęła ją w grillowaną tortillę.

– Może chcesz do tego coś zielonego? – Michał podsunął jej pod nos miskę z sałatą.

– Nie lubię warzyw.

– Jesteś najdziwniejszą wegetarianką, jaką znam.

– Już mi to mówiłeś. A ja nadal nie lubię warzyw.

– Ale grzybkami to się chyba poczęstujesz? – Dorota podeszła do nich i postawiła na stole półmisek z grillowanymi pieczarkami, które właśnie zdjęła z rusztu.

– Grzybek to nie warzywo. Grzybki mogą jeść nawet codziennie. – Nałożyła sobie na talerz trzy duże kapelusze.

We czwórkę siedzieli w ogrodzie Doroty. Świeciło słońce, śpiewały ptaki, skwierczące na grillu potrawy smakowicie drażniły receptory węchu. Michał opowiedział dowcip, a Leszek spytał, czy oglądali serial, o którym wszyscy ostatnio dyskutują. Zachowywali się tak, jakby wydarzenia ostatnich tygodni nigdy nie miały miejsca. Z niejasnych przyczyn zaczynało to Martę drażnić.

– Nie mogę uwierzyć, że dałam się nabrać na tę aferę z Volandą – przerwała Dorocie opowieść o nieudanej próbie uprawy malin. Spojrzeli na nią zdziwieni.

– Wszyscy daliśmy się podejść. Skąd mieliśmy wiedzieć, że w tym wszystkim wcale nie chodzi o Volandę – zauważył Michał.

– No właśnie. Fakty wyraźnie wskazywały na ten lek. Nie mogliśmy przewidzieć okoliczności, które nastąpiły później – dodał Leszek.

Już kilkakrotnie omawiali tę sprawę, ale za każdym razem przeżywali ją na nowo. Wszyscy, oprócz Doroty, która starała się o niej zapomnieć. Teraz także, słysząc, w jakim kierunku podąża rozmowa, Krahelska wstała od stołu i podeszła do grilla. Przełożyła na drugi bok kiełbaski i – z rezygnacją malującą się na twarzy – wróciła na swoje miejsce. Przechodząc obok Leszka, pogłaskała go po głowie w matczynym geście. Ten uśmiechnął się, przytrzymał jej dłoń i ucałował w palce. Każdy osobno, po kolei.

– Już dosyć tych czułości. Migdalicie się jak nastolatki – zauważyła złośliwie Marta.

– Chyba nie widziałas, jak migdała się teraz nastolatki. Czasem muszę głowę odwracać, jak z Sabą na spacer dolinką wzdłuż potoku chodzę. Pomyśleć, że jeszcze parę lat i mogę się na Adasia w tych zaroślach natknąć – westchnęła Dorota. – Komuś dołożyć sałatki?

Przez moment wszyscy zajęli się tym, co mieli na talerzach.

– Jak udało ci się namierzyć tych dwóch, którzy grozili mi bronią z samochodu? Nigdy cię o to nie pytałam. – Leszek przerwał ciszę.

Michał przesunął krzesło w bok, żeby lepiej go widzieć. Popołudniowe słońce zaczynało świecić w oczy.

– Zwykle szczęście. Zgłosił się do nas facet, który był świadkiem całego zdarzenia. Jechał z naprzeciwka. Przyszedł dopiero po jakimś czasie. Bał się odpowiedzialności, bo nie udzielił ci pomocy. Ale w końcu górę wzięły wyrzuty sumienia. Domyślił się, że sprawa ma kontekst kryminalny, bo miał w samochodzie zainstalowaną kamerę i nagrał moment wypadku, a potem mijające go auto. Facet, który groził ci bronią, nawet nie zdążył jej schować. Kamera była przyzwoitej jakości, film nagrał się w dobrej rozdzielczości. Na tyle dobrej, że ten dziennikarz, Klich, rozpoznał na nim swojego współpracownika.

Leszek pokiwał głową i spojrzał na Martę. Za każdym razem musiał jej przypominać, jak bardzo myliła się co do Maćka Klicha. Okazało się, że nie miał on ze sprawą nic wspólnego. Poza faktem, że jego bliski współpracownik, Sebastian Mączka, siedział w kieszeni Salpetera i o wszystkim mu donosił. Mączka był prawą ręką Klicha już od wielu lat, więc ten bezwarunkowo mu ufał. Nie wiadomo, jaki był początek nielojalności Mączki. Czy Salpeter zwerbował go, bo wiedział, że dzięki temu dotrze do Klicha, czy też podstawił Klichowi swojego człowieka, licząc na płynące z tego korzyści? Tak czy siak, w rezultacie Salpeter miał dostęp do prawie wszystkich informacji posiadanych przez Klicha. Wśród nich wielu ważnych – Maciek był dziennikarzem śledczym, pracującym dla „Życia i Zdrowia”, jednego z czołowych portali zajmujących się tematami ochrony zdrowia. Informatorami Klicha byli również wysoko postawieni urzędnicy Ministerstwa Zdrowia i NFZ-u. Salpeter wykorzystywał zdobywaną wiedzę do swoich własnych „biznesowych” celów. Kiedy Leszek przyznał się dziennikarzowi, że ma nagranie z rozmowy w gabinecie Starego, ta informacja poprzez Mączkę dotarła do Salpetera. Stało się to kilka miesięcy po tym, jak Leszek podsłuchał przebieg pamiętnego spotkania w „Błęńskiej”. Salpeter nie pracował już wówczas dla Zelig Pharm – w międzyczasie firma farmaceutyczna zrezygnowała z jego usług, sądząc, że do niczego nie jest już im potrzebny. Nie wiedzieli, że upokorzony lobbysta będzie chciał się zemścić.

Wkrótce po tym jak Zelig Pharm rozwiązała z nim umowę, nowym klientem Salpetera została MedicoTec, inny potentat farmaceutyczny. Obie firmy, Zelig Pharm i MedicoTec, zaczęły ubiegać się o objęcie refundacją wytwarzanych przez nie preparatów zawierających beklostatynę, substancję zmniejszającą stężenie lipidów i stosowaną w leczeniu zbyt wysokiego cholesterolu. To miał być kontrakt roku – umowa warta była miliony, a podpisać mogła ją tylko jedna firma. Wiadomość o nagranej w „Błęńskiej” rozmowie była dla Salpetera jak urodzinowy prezent – doskonale wiedział, czego dotyczyła, bo uczestniczył w spotkaniu. Natychmiast postanowił posłużyć się nagraniem do zszargania opinii Zelidze Pharm i tym samym – przetarcia szlaku do refundacji beklostatyny dla MedicoTec. Ogólnopolska afera, opisywana przez wszystkie media, nie mogła przecież pozostać bez wpływu na Radę Transparentności, której członkom też się podczas rozmowy dostało. Aby uruchomić maszynę skandalu, Salpeter potrzebował tylko jednego, ale najważniejszego – żeby Skalski ujawnił wreszcie nagranie. Ono musiało wypłynąć z niezależnego źródła. To była istotna część planu. Nie mogło zostać Leszkowi wykradzione lub odebrane szantażem. Za to „zachęta” dla Leszka idealnie wpisywała się w strategię działania WS Public Affairs Management: zmotywować miało go dwóch gangsterów wymachujących bronią.

– Ale mówiliście, że to nie była prawdziwa broń? – zauważyła Dorota.

– Bo nie była. To atrapa, a właściwie plastikowa zabawka, należąca do dziecka Mączki. Mieli tylko przestraszyć Leszka i sprowokować go do szybszego ujawnienia nagrania. I może jeszcze dodać pikanterii sprawie, gdy zrobi się głośna. Byli tak przekonani o własnej bezkarności, że wybrali się na akcję służbowym samochodem, należącym do MedicoTec. Nie sądzili też, że Leszek wystraszy się tak bardzo, że straci panowanie nad kierownicą i wyląduje w rowie.

– No przepraszam cię bardzo, ale to był mój pierwszy kontakt z bronią. Skąd miałem wiedzieć, że nie jest prawdziwa? Poza tym nigdy wcześniej do mnie nie celowano. To był impuls, wszystko przecież stało się w ciągu sekundy! – zaprotestował Leszek.

– Ale nikt nie ma o to do ciebie pretensji. Poza tym to była dobra imitacja. – Michał mrugnął porozumiewawczo okiem. Nie przestawał nabijać się ze Skalskiego, że ten przestraszył się plastikowej zabawki. – Chodzi o to, że to, co działo się później, pokrzyżowało plany Salpetera. Gangsterzy spowodowali niezamierzony wypadek, a ty, zamiast pójść na policję, wolałeś siedzieć na jakiejś działce. Zachowałeś się zupełnie inaczej, niż od ciebie oczekiwali. – Michał nie wspominał o pobycie Leszka u Marty, bo Dorota nie była wtajemniczona w tę część opowieści.

– Uważacie zatem, że Franczak zmarł śmiercią naturalną? – spytała Marta.

– Oczywiście, od początku ci to mówiłam. Grzesiek Liszt nigdy się nie myli, to jeden z lepszych patologów w Warszawie – odpowiedziała Dorota.

– Przychyłam się do zdania Doroty, ale pewności nie mam. Tego się już pewnie nigdy nie dowiemy. W każdym razie Feld do niczego się nie przyznaje. Twierdzi, że z jego strony to były takie... hm... makabryczne żarty – dodał Michał.

– A ja bym się wcale nie zdziwił, gdyby jednak Feld pomógł Franczakowi odejść z tego świata. Facet z jakiegoś powodu jest mocno zafiksowany na Vollandzie, nie tylko zawodowo, ale również prywatnie. Refundacja tego leku to jego życiowy cel. A Franczak był zawalidogą... Kto by pomyślał, że w tym wszystkim wcale nie chodzi o Vollandę – powtórzył w zamyśleniu Leszek.

– Dwie firmy farmaceutyczne toczą ze sobą wojnę, jak kowboje na Dzikim Zachodzie. Tego jeszcze u nas nie grali! – roześmiała się Dorota.

– Na dodatek wygrywa trzecia. Malutka i nikomu nieznana. Lekodin. Otrzymuje olbrzymi kontrakt na refundację beklostatyny. Gdzie dwóch się bije... – wtrąciła Marta.

– No wiesz, po tym co wyprawiały media, ministerstwo nie mogło podjąć innej decyzji. Zeliga Pharm i MedicoTec kompletnie się skompromitowały. Zeliga z powodu nagrania z udziałem Starego, a MedicoTec przez film, na którym straszili Leszka „bronią”. A wszystko przez to, że idioci użyli służbowego samochodu! Ta historia była długo wałkowana. Nie zdziwię się, jeśli kiedyś ktoś napisze o tym książkę – roześmiał się Leszek.

– A ja się nie zdziwię, jeśli to będziesz ty – skomentowała Marta. – Znasz temat od podszewki. Ta akcja z puszczeniem nagrania podczas spotkania Towarzystwa była mistrzostwem świata. Nadal jestem pod wrażeniem!

– Nieskromnie się z tobą zgodzę. Podobało mi się zwłaszcza to, co działo się potem. – Leszek znowu się roześmiał.

– Myślisz, że zwolnią Starego? – dopytywała Marta.

– Mam nadzieję. Po takim skandalu nie wyobrażam sobie, jak mógłby nadal być naszym szefem.

– Już mnie głowa boli od tych waszych gdybań i roztrząsań – zakończyła temat Dorota. – Muszę iść do sąsiadki po Adasia. Miałam go odebrać już pół godziny temu. Chyba się wystarczająco nabawił z jej synem. Zostawię was na dziesięć minut, porozmawiajcie dla odmiany o czymś przyjemnym. Zapełnię wam talerze, to powinno pomóc. – Podeszła do grilla i zdjęła z rusztu zarumienione kiełbaski. – Marta! Musisz dokończyć swoje pieczarki. Nie wypuszczę cię, jeśli nie zjesz wszystkich. – Przyniosła półmisek bliżej Marty. Przed wyjściem przyniosła im jeszcze zimne piwo.

– Nie daję mi spokoju ten facet, który włamał się do Marty – powiedział Leszek, kiedy Dorota zniknęła za drzwiami. – Wiem, że mieliśmy o nim nigdy nie rozmawiać, ale nie mogę przestać o nim myśleć. Strasznie mnie to gryzie.

To była prawda. Każda wzmianka o tamtym wydarzeniu zmieniała Leszka. Twarz mu szarzała i wydawał się starszy o kilka lat. Przeżywał śmierć młodego Dreja zupełnie niepotrzebnie. Facet nie był tego wart. Marta żałowała, że nie mogła powiedzieć mu tego, co wiedziała o obu Drejach.

– Co ci nie daje spokoju? – spytał Michał na pozór obojętnym głosem.

– Kim on był? Kto go wynajął? Salpeter? I po co?

– W tym samym celu, w którym nastął na ciebie Mączkę i tego drugiego. Żeby cię przestraszyć. A może, żeby siłą odebrać nagranie.

– Czyli zabiłem go niepotrzebnie? Nic by nam nie zrobił? – Skalski miał wyrzuty sumienia i bardzo chciał, by ktoś je zagłuszył.

– Tego bym nie powiedział – zaczął ostrożnie Michał i spojrzał z ukosa na Martę. – To był kryminalista. Wielokrotnie notowany. Głównie za rozboje i pobicia. Kilka domniemanych zabójstw, w tym dziecka, ale się wywinął z braku twardych dowodów. Generalnie bardzo zły człowiek. Nie wiem, jakie były jego plany wobec ciebie, ale sądząc po jego kartotece i tym, co zdążył zrobić Marcie, raczej nie skończyłoby się na siniakach. Zresztą nawet jeśli chciał cię tylko nastraszyć, to przecież nie mogłeś wtedy tego wiedzieć. Działales w samoobronie. Nie miałeś wyboru, Leszek. Naprawdę, zrobiłeś tylko to, co powinieneś. Zachowałbym się tak samo.

– Czuję się może lepiej, gdybyśmy komuś o tym powiedzieli...

– Przecież wiesz, że nie mogliśmy tego zrobić. Nadal nie możemy. Nie wiemy, jak by się to skończyło. Bardzo możliwe, że sąd potraktowałby to zabójstwo jako przekroczenie granicy obrony koniecznej. Nie siedziałbyś tu teraz, z piwem i kiełbaskami. Wiesz o tym, prawda?

– Pomyśl o swojej pracy. Zwolniliby cię ze szpitala – dodała Marta. – I o Dorocie. Masz pojęcie, jak wpłynęłoby to na wasz związek? Ta sprawa musi pozostać między nami. Pamiętaj o tym!

– O czym ma pamiętać? – W drzwiach ujrzeli Dorotę. – Zresztą nieważne. Spójrzcie, kogo wam przyprowadziłam. Nie zdążyłam nawet odejść od furtki. Od razu natknęłam się na tę zabłąkaną sierotę. – Odsunęła się od drzwi i wpuściła do ogrodu Maćka Klicha.

– Witam szanowne towarzystwo – rzucił w kierunku trójki siedzącej przy stole. – Zapomniałem adresu, już miałem dzwonić, kiedy Dorota na mnie wpadła.

– Zaopiekujcie się nim, ja naprawdę muszę iść po Adasia. Piwo jest w kuchni, w lodówce. Dacie sobie radę. Zresztą zaraz wracam. Na razie! – Dorota ponownie wyszła z ogrodu. Maciek z każdym po kolei przywitał się uściskiem dłoni. Rękę Marty przytrzymał nieco dłużej, niż powinien. Marta z satysfakcją zauważyła, że nie uszło to uwadze Michała – jego oczy zwrężyły się jak u kota.

– Jest też Ani Sakis, moja ulubiona pani weterynarz z Ursynowa. Słonie już zdrowe? – spytał zupełnie poważnie.

– Będziesz mnie o nie nagabywał za każdym razem, kiedy się spotkamy?

– Owszem, za każdym. Jest tylko jeden sposób, żebyś zapomniał o tym nieszczęsnym spotkaniu na Powązkach. Wiesz jaki.

Oczy Michała zwięźliły się jeszcze bardziej.

– Wywiad – kontynuował Maciek. – Ten, który mi obiecałaś. Na temat ameby pożerającej mózg. To będzie duża sprawa. Niech tylko ucichnie awantura z wojną lekową.

Wojna lekowa. Tak media nazwały aferę Zelig Pharma i MedicoTec.

– Skoro obiecałam, to znaczy, że obiecałam.

– Już się wykręcasz?

– Nie, ale na razie nie chcę żadnych wywiadów. Mam robotę do wykonania.

Artykuł, który pisała wspólnie z Dorotą i Markiem, był już gotowy, ale na pewno wymagał doszlifowania.

– No przecież mówię, że nie teraz. Ale ta ameba to gorący temat. Ludzie oszaleją. Ba, ja sam oszalałem. Odkąd dowiedziałem się o tym pasożycie, boję się wejść do jakiegokolwiek wody!

– Dlatego dobrze byłoby ustalić, gdzie Schulz się zaraził i czy istnieje ryzyko kolejnych zachorowań. Tyle że na takie badania potrzebne są środki...

– Po wywiadzie środki się znajdują. Masz to jak w banku.

– Dobra, wystarczy już tych waszych wspólnych spraw – przerwał Leszek. Marta podejrzewała, że po cichu zazdrościł jej *Naeglerii*. W końcu Schulz był na początku jego pacjentem i gdyby nie wojna lekowa, teraz on udzielałby wywiadów. Tak przynajmniej mogło mu się wydawać. – Maciek, czego się napijesz? Piwa?

– Przejdę się z tobą do lodówki. Zobaczę, co tam jeszcze macie.

Reszta popołudnia minęła im na rozmowach o wakacjach, drinkach i nowo otwartych restauracjach. Dorota tego dopilnowała. I miała rację – takie odmóżdżające rozmowy o naszym dobrze działały na psychikę po ciężkim tygodniu pracy. Pomimo wypitego alkoholu Marta wróciła do domu z lekką głową.

Wzięła prysznic, włożyła swoją ulubioną bluzę w liście monstery i otworzyła pocztę. Czekala tam na nią wiadomość, której się spodziewała, choć może nie tak prędko. Conor O'Sullivan był redaktorem naczelnym jednego z najbardziej prestiżowych czasopism medycznych zajmujących się tematyką chorób zakaźnych. Z entuzjazmem zawiadamiał ją, że artykuł o *Naeglerii*, który mu przesała, był świetny, dostał dwie dobre recenzje i chętnie go opublikuje po przeróbkach edytorskich i wprowadzeniu drobnych zmian. Marta uśmiechnęła się sama do siebie. Wcale nie potrzebowała syna rektora do tego, by znaleźć sobie wysoko punktowane czasopismo. Nie bez satysfakcji wykreśliła z artykułu wszystkie nazwiska „współautorów”, które wpisał tam Stary. Jego samego również wykreśliła, w końcu nie napisał ani jednego zdania. Teraz, kiedy został zawieszony w obowiązkach ordynatora do czasu wyjaśnienia sprawy z Zeligą Pharm, nie musiała się go obawiać.

Odpisała na wiadomość, dziękując za dobre wieści. List zakończyła słowami: „Tęsknię i zawsze o tobie pamiętam”. Nie było w tym nic dziwnego, bo Conor był jej wielką irlandzką miłością jeszcze z czasów studenckich. Poznali się na półrocznym Erasmusie w Madrycie. Niektórzy z kpiną nazywają Erasmusa „orgasmusem”, ale w przypadku jej i Conora było to coś więcej niż seks. Pierwszy raz w życiu była wówczas

zakochana, podobnie zresztą jak Conor. Oboje byli jednak bardzo młodzi i zbyt ambitni, a ich plany życiowe nie przewidywały przeprowadzki na drugi koniec kontynentu. Dlatego po prostu rozstali się, nie dając sobie szansy, by sprawdzić, jak mogła rozwinąć się ich wspólna historia. Od tego czasu nigdy się nie widzieli. Każde ułożyło sobie życie i nie chcieli kusić losu, na wypadek gdyby stara miłość nie zdążyła zardzewieć. Za to czasami dzwoniли do siebie i korespondowali mailowo. Wspierali się w trudnych momentach, takich jak rozwód Marty czy nagła śmierć syna Conora. Marta nie powiedziała o nim Michałowi i nie planowała tego zrobić. To były dwa różne światy, które zamierzała trzymać z dala od siebie.

Miała wyrzuty sumienia, że wykorzystwała znajomość z Conorem do tak prozaicznych celów jak praca. Zrobiła to po raz pierwszy i – miała nadzieję – ostatni. Zależało jej jednak na szybkiej publikacji, a bez stosownej pomocy nie było to możliwe. Proces publikacyjny w innych wydawnictwach mógł trwać i dwa lata.

Gdy usłyszała dźwięk domofonu, odłożyła laptop i podeszła do drzwi. Michał jak zwykle wolał zapowiedzieć swoje nadejście, zamiast użyć klucza, który mu dała. Wszedł do mieszkania, niosąc plecak.

– Zobacz, co przyniosłem – powiedział, otwierając plecak i wyjmując piżamę.

Marta posłała mu uśmiech i mocno się w niego wtuliła. Pachniał spokojem, szczęściem i czymś jeszcze. Jakimś sekretnym składnikiem, który sprawiał, że świat wydawał się piękniejszy.

Kiedy zadzwonił telefon, po prostu go zignorowała – ta chwila była zbyt cenna, by tak szybko ją przerywać. Jednak telefon zabrzączał ponownie. Do tego zawibrowała również komórka Michała.

– Spokoju nam nie dają nawet wieczorem – jęknęła, ale sprawdziła, kto dzwonił. – To Kamila, muszę odebrać.

– To praca, muszę odebrać – powiedział w tym samym momencie Michał.

Marta przeszła do salonu i usiadła w fotelu.

– Cześć, Kamila, tak, przeszkadzasz, czy to może poczekać do jutra? – przywitała siostrę.

Odpowiedział jej szloch.

– Hej, co się stało? Ja tylko żartowałam, wcale nie przeszkadzasz!

– Prze...przepraszam, ale muszę z to...tobą natychmiast porozmawiać. To... to pilne... – Oprócz płaczu w głosie Kamili było coś jeszcze.

– Ty piłaś? – Zdziwienie Marty było szczere. Kamila bardzo rzadko piła alkohol. Miała teorię, że szkodził włosom i powodował przedwczesne starzenie się skóry. Może zresztą i słuszną. W każdym razie Marta jeszcze nigdy nie widziała siostry pijanej. Słaby drink lub kieliszek wina, długo sączone dla towarzystwa, to było wszystko, na co sobie pozwalała. A ostatnio nie piła w ogóle, bo przecież... Nagle Marta zrozumiała.

– Trochę. Mia...miałam powód... Nic mi w życiu nie wychodzi tak, jak bym chciała... – Szloch przybrał na sile i Kamila nie była w stanie powiedzieć niczego więcej. Nie musiała.

– Kamila, tak mi przykro, chcesz, żebym do ciebie przyjechała?

– Nie dlatego dzwonię. To... To znaczy dlatego też, ale oprócz tego muszę ci coś powiedzieć. Bo... bo jeśli nie powiem teraz, to może już nigdy się nie odważyć, a możliwe... Możliwe, że wszystko dzieje się właśnie dlatego... I ja już... – Marta znów cierpliwie czekała, aż siostra uspokoi się na tyle, by mówić dalej. Pewnie powinna jakoś ją pocieszyć, ale żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. Nie była w tym

dobra. – Ja już dłużej tego nie zniosę, muszę to ko...komuś powiedzieć. Nie, nie ko... komuś, muszę to powiedzieć tobie... ale z dru...drugiej strony wiem, że to ba...bardzo zły pomysł... I ja już sama nie wiem...

– Oczywiście, że możesz mi powiedzieć. Mnie możesz powiedzieć wszystko.

– No bo ja... Pamiętasz, jak mówiłam, że nie wiem, kto... zabił rodziców?

– Tak, pamiętam. – W mieszkaniu zrobiło się nagle chłodno, a pokój zawirował.

– To nie do końca prawda...

– Czyli wiesz, kto ich zabił? – Marta usłyszała swój głos gdzieś z daleka.

– Nie, ale chyba wiem... Wiem, kto zlecił to morderstwo... – wyszeptwała Kamila.

– Kto?!

Cisza.

– Kamila, do cholery, kto?!

– Ja... jednak nie powinnam... To był błąd... Przepraszam.

– Kto?!

– Muszę kończyć.

– Kamila? Kamila, kto to był?! – Po paru sekundach zorientowała się, że krzyczy do głośnego telefonu.

– Wszystko dobrze? – W drzwiach stanął Michał. Był czymś mocno poruszony.

– Tak, wszystko... wszystko w porządku. Takie tam... rodzinne sprawy. – Starą się brzmieć swobodnie. Odłożyła telefon na stolik i wcisnęła drżące ręce w poręcz fotela. Mogły ją zdradzić.

– Muszę iść do pracy.

– O tej porze? Czego chcą?

– Dostaliśmy anonim.

– I z powodu tego anonimu musisz iść do pracy?

– Ktoś przesłał nam wydruk twojego starego artykułu o *Naeglerii*. Z dopiskiem, że możesz być zamieszana w śmierć Schulza.

– Co takiego?!

– To, co słyszałaś. Dlatego muszę tam jechać.

– Co teraz będzie?

– Nie wiem. Od początku mówiłem ci, żeby zlikwidować go po cichu.

– Wszystko się komplikuje... – powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

– Żebyś wiedziała. Muszę teraz to posprzątać. Jeśli się da. Nie czekaj na mnie, dziś już raczej nie wrócę. – Wyszedł bez pożegnania, trzaskając drzwiami.

Przez chwilę siedziała bez ruchu, wpatrując się w białą ścianę. Potem wtuliła twarz w dłoń i wybuchnęła płaczem. Płakała pierwszy raz od śmierci babci. Jej świat po raz kolejny rozsypany był na kawałki, a ona nie miała już siły, by sklejać go na nowo.